

A close-up photograph of a zebra's body, showing the characteristic black and white stripes. The stripes are vertical and run across the frame, with a warm, golden light illuminating the scene from the right, creating a soft glow on the white stripes and deep shadows in the black ones.

Literacka Nagroda Nobla 2007

DORIS LESSING

TRAWA ŚPIEWA

Świat Książki

DORIS LESSING

TRAWA ŚPIEWA

Z angielskiego przełożyła  
*Joanna Puchalska*

  
Świat Książki

*Dla*  
Pani Gladys Maasdorp  
z Rodezji Południowej,  
z wyrazami ogromnej  
sympatii i szacunku

*W tej zgniłej jamie pomiędzy górami  
W bladym świetle księżycy trawa śpiewa  
Na rozwalonych grobach, przy kaplicy.  
Jest tu pusta kaplica, wiatrom tylko dom.  
Nie ma w niej okien, wiatr w jej drzwi zawiewa,  
Suche kości krzywdy nie zrobią nikomu.  
Tylko kogut stał na szczycie dachu  
Ko-ko-riko, ko-ko-riko  
W błysku błyskawicy. Wtedy wilgotny powiew  
Niosący deszcz*

*Woda w Gangesie opadła i bezwładne liście  
Czekały deszczu, kiedy czarne chmury  
Zbierały się daleko, ponad Himavant.  
Dżungla przypadła, skulona w ciszy.  
Wtedy przemówił grom*

*Z Jałowej ziemi T. S. Elliota w przekładzie Czesława Miłosza*

*Po niepowodzeniach i nieprzystosowaniach najlepiej  
można ocenić słabość cywilizacji.*

*Autor nieznany*

# Rozdział 1

## TAJEMNICZA ZBRODNIA

Od specjalnego wysłannika

*Mary Turner, żona Richarda Turnera, farmera z Ngesi, wczoraj rano została znaleziona martwa na werandzie swego domu. Do popełnienia zbrodni przyznał się zatrzymany wcześniej służący. Motyw pozostaje nieznany. Prawdopodobnie morderca chciał zrabować kosztowności.*

Gazeta nie ujawniła wiele. Przy lekturze opatrzonego sensacyjnym nagłówkiem tekstu zwykli czytelnicy odczuwali zapewne lekką irytację, a także namiastkę satysfakcji; jakby potwierdzało to powszechnie panujące przekonanie, jakby stało się coś, czego właściwie należało się spodziewać. Gdy krajowcy kradną, mordują lub gwałcą, biali doznają takiego właśnie uczucia.

I przechodzili do następnych wiadomości.

Ale mieszkańcy „dystryktu”, którzy znali Turnerów z widzenia lub z plotek od lat krążących na ich temat, nie odwracali strony tak szybko. Byli pewnie i tacy, którzy wycięli wzmiankę o morderstwie i włożyli między stare listy czy stronicę książki; oglądali potem żółknący papier z poważnymi, zatroskanymi minami, traktując to jak znak czy ostrzeżenie. O morderstwie nikt nic nie mówił, i to było

najbardziej niezwykle w tym wszystkim. Zupełnie jakby szóstym zmysłem ludzie wyczuwali to, co należy wiedzieć, a jedyne trzy osoby, które mogłyby wyjaśnić pewne fakty, w ogóle się nie wypowiadały. O zbrodni tej po prostu się nie rozmawiało. „Nieprzyjemna sprawa” – stwierdzał ktoś, a reszta towarzystwa natychmiast przybierała powściągliwy, lecz czujny wyraz twarzy. „Nieprzyjemna” – padała odpowiedź. I na tym się kończyło. Zdawać by się mogło, iż zawarte zostało ciche porozumienie, w myśl którego sprawy Turnerów nie powinno się wywlekać na światło dzienne. A rzecz się zdarzyła w okolicy rolniczej, gdzie żyjące w odosobnieniu białe rodziny, spragnione kontaktów, rozmów i najświeższych nowinek, spotykały się tylko okazjonalnie; najczęściej wszyscy mówili wtedy naraz, wykorzystując krótki moment życia towarzyskiego przed powrotem na farmę, gdzie znów całymi tygodniami będą oglądać tylko twarze swoje i czarnych służących. Normalnie więc takie morderstwo stanowiłoby temat rozmów na kilka miesięcy; ludzie byliby szczęśliwi, że wreszcie mają o czym mówić.

Komuś z zewnątrz mogło się wydawać, że to niestrudzony Charlie Slatter objechał farmy w całej okolicy i namówił mieszkańców do milczenia, ale jemu coś takiego nawet nie przyszłoby do głowy. Charlie działał (nie popełniając nigdy błędów) instynktownie i bez świadomego planu. Najciekawsze więc w całej sprawie było to milczące, podświadome porozumienie. Ludzie zachowywali się jak stado ptaków, które komunikuje się ze sobą – lub tak to wygląda z zewnątrz – w sposób telepatyczny.

Zanim jeszcze z powodu morderstwa Turnerowie stali się sławni, w okolicy mówiono o nich obojętnie i bez większego zaangażowania, jak to się zazwyczaj dzieje w wypadku dziwaków, wyrzutków i odludków. Nie lubiano ich, choć nieliczni sąsiedzi rzadko mieli okazję ich widzieć, a jeśli już,

to przeważnie tylko z daleka. Za co zresztą miano by ich lubić? Turnerowie „woleli swoje własne towarzystwo”, i tyle. Nie bywali nigdy na tańcach, przyjęciach czy zawodach sportowych. Może czegoś się wstydzili? Tak to przynajmniej odbierano. To nienormalne, żeby się ciągle izolować; to afront dla całej okolicy; ciekawe, czemu tak zadzierają nosa. No właśnie, czemu? A w dodatku jak oni żyją! Ten ich dom od biedy nadaje się na okres przejściowy, ale żeby stale mieszkać w czymś takim? Tubylcy mieszkali domy nie gorsze (Bogu dzięki, nieliczni); to zły przykład, gdy krajowcy widzą, że biali mogą mieszkać w czymś takim.

Ktoś użył określenia „biała biedota”. Wywołało to zaniepokojenie. Nie istniały wtedy jeszcze wielkie finansowe przepaści (było to przed epoką potentatów tytoniowych), ale obowiązywał podział. Niewielka społeczność Afrykanerów miała swoje własne życie, Brytyjczycy trzymali się od niej z dala. „Białą biedotą” mogli być Afrykanerzy, ale nie Brytyjczycy. Ktoś jednak, kto określił Turnerów jako „białą biedotę”, upierał się przy swoim. Cóż za różnica? W końcu co decyduje o tym, czy ktoś jest „białą biedotą”? Poziom życia, a więc to kwestia standardów. Turnerom brakowało tylko gromadki dzieci, żeby zostali „białą biedotą”.

Choć takie argumenty trudno było podważyć, ludzie woleli nie uznawać Turnerów za białą biedotę. Byłaby to zdrada swoich. W końcu Turnerowie byli Brytyjczykami.

W ten sposób okolica załatwiła sprawę zgodnie z *esprit de corps*, będącym główną zasadą obowiązującą w społeczeństwie południowoafrykańskim, zasadą, którą sami Turnerowie ignorowali. Najwyraźniej nie odczuwali potrzeby postępowania według nakazów *esprit de corps*; właśnie dlatego stosunek do nich był tak niechętny.

Im dłużej się człowiek zastanawia, tym bardziej niezwykła wydaje się ta sprawa. Nie tyle samo morderstwo, ile to, co ludzie w związku z nim czuli; żalowali Dicka Turnera,

szczerze oburzając się na Mary, jakby była czymś złym, nieczystym; jakby sobie zasłużyła na swój los. Ale nie zadawali pytań.

Pewnie zastanawiano się, kim był ów „specjalny wysłannik” gazety. Wiadomość musiał wysłać ktoś z okolicy, gdyż notatka nie była napisana stylem gazetowym. Ale kto? Marston, zarządca, wyjechał natychmiast po morderstwie. Do gazety mógł wprowadzić napisać sierżant Denham z policji, ale było to mało prawdopodobne. Pozostawał Charlie Slatter, który najwięcej wiedział o Turnerach i był u nich w dniu morderstwa. Można powiedzieć, że praktycznie ujął sprawę w swoje ręce, wysuwając się nawet przed sierżanta. Nie widziano w tym nic złego. W końcu było sprawą białych farmerów, że niemądra kobieta dała się zamordować tubylcowi z powodów, których wprowadzić można się było domyślać, ale nikt nie powiedziałby o nich na głos. Chodziło o byt i pracę, o żony i rodziny, o sposób życia.

Komuś z zewnątrz dziwne by się wydało, że Slatterowi pozwolono przejąć kontrolę nad tą sprawą i załatwić wszystko tak, by nie wracano do niej więcej.

Nie mogło to zostać zaplanowane; po prostu nie było na to czasu. Dlaczego, na przykład, kiedy robotnicy Dicka Turnera przyszli do Charliego z tą wiadomością, wezwał sierżanta listownie? Nie skorzystał z telefonu.

Wszyscy mieszkańcy terenów wiejskich wiedzą, jak to jest z tutejszymi telefonami. Pokręciwszy korbką określoną liczbę razy, podnosi się słuchawkę, a wtedy klik, klik, klik, wszyscy w okolicy podnoszą słuchawki i zaczynają dobiegać ciche szmery, oddechy, szepty, stłumione kaszlnięcia.

Slatter mieszkał w odległości pięciu mil od Turnerów. Robotnicy, którzy znaleźli ciało, przyszli najpierw do niego. A choć sprawa była pilna, nie zadzwonił do Denhama, lecz przez krajowca na rowerze posłał wiadomość na posteru-



nek policji oddalony o dwanaście mil. Sierżant natychmiast wysłał na farmę kilku tubylczych policjantów do przeprowadzenia wstępnych oględzin. Sam udał się do Slattera, ponieważ pewne sformułowania zawarte w liście wzbudziły jego niepokój. To dlatego na miejsce zbrodni przybył później. Policjanci nie musieli szukać mordercy daleko. Przeszli się po domu, dokonali pobieżnych oględzin ciała i tyralierą zaczęli schodzić z niewielkiego wzgórza, na którym stał dom. Tak właśnie znaleźli Mosesa, który widząc ich, wyszedł zza mrowiska, zbliżył się i powiedział (nie wiadomo, czy były to właśnie te słowa, w każdym razie coś takiego): „Oto jestem”. Założyli mu kajdanki i wrócili, by czekać na auto policyjne. Obok domu spotkali Dicka Turnera z dwoma skomlącymi psami. Zachowywał się jak nieprzytomny, mówił do siebie bez sensu, wchodził w busz i wracał z garściami ziemi i liści. Mieli go na oku, ale nie reagowali, bo choć wyraźnie oszalał, był białym człowiekiem, a czarni, nawet policjanci, nie dotykają białej skóry.

Ludzi ciekawiło, dlaczego morderca się poddał. Dużej szansy na ucieczkę wprawdzie nie miał, ale... Mógł zbiec na wzgórze i schronić się tam na jakiś czas. Albo przekraść się przez granicę na terytorium portugalskie. Na jakimś przyjęciu komisarz do spraw krajowców wyjaśnił, że zachowanie Mosesa jest zrozumiałe, jeśli choć trochę zna się historię kraju, czytało się pamiętniki bądź listy dawnych misjonarzy i podróżników, opisujące tubylczą społeczność pod rządami Lobenguli\*. Prawo było surowe: wszyscy wiedzieli, co wolno, a czego nie. Jeśli zatem ktoś popełnił niewybaczalny czyn, na przykład dotknął kobiety należącej do króla, poddawał się karze, którą mogło być wbicie na pal nad

---

\* Lobengula (ok. 1836–1894) – wódz plemion Matabele, który w 1888 roku podpisał dokument pozwalający Anglikom wydobywać bogactwa naturalne na swoim terenie. Zapoczątkowało to angielski podbój tych ziem. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

mrowiskiem albo coś równie nieprzyjemnego. Bierne poddanie się karze było równoznaczne ze stwierdzeniem: „Zrobiłem źle i wiem o tym, dlatego mnie ukarżcie”. Dobrowolne poddawanie się karze należało do tradycji i trzeba przyznać, że jest w tym coś pięknego. Komisarzom do spraw krajowców, którzy muszą coś wiedzieć o ich językach, obyczajach i tak dalej, można wybaczyć tego rodzaju wypowiedzi, choć niezbyt stosowna to uwaga, że coś, co robią tubylcy, jest „piękne”. (Jednak moda się zmienia; czasami dozwolone jest chwalenie dawnych obyczajów, pod warunkiem, iż podkreśli się fakt, jak zdeprawowani stali się krajowcy od tamtych czasów). Ten więc aspekt sprawy przestał być interesujący, a poza tym Moses wcale nie musiał pochodzić z plemienia Matabele. Był z Mashonaland, a że tubylcy wędrują po całej Afryce, równie dobrze mógł się wywodzić z każdego innego miejsca: z terytorium portugalskiego, z Nyasaland czy ze Związku Południowej Afryki. No i czasy wielkiego króla Lobenguli dawno się skończyły. Komisarze do spraw krajowców mają jednak skłonność do myślenia kategoriami przeszłości.

A więc wysławszy list na posterunek, Charlie pojechał do Turnerów swoim wielkim amerykańskim samochodem, poruszając się po złej wiejskiej drodze z dość dużą prędkością.

Kim był Charlie Slatter? Od początku tej tragedii był dla Turnerów uosobieniem Społeczeństwa. Wkracza w tę historię kilkakrotnie; bez niego sprawy nie potoczyłyby się tak, jak to się stało, choć pewnie – wcześniej czy później, tak czy inaczej – i tak musiało się to źle skończyć.

Slatter był kiedyś sprzedawcą w sklepie spożywczym w Londynie. Uwielbiał powtarzać swoim dzieciom, że gdyby nie jego energia i przedsiębiorczość, biegałyby obdarte po slumsach. Nawet po dwudziestu latach spędzonych w Afryce był typowym londyńczykiem, z typowym akcen-

tem. Przybywając do Rodezji, miał w głowie jedno: zarobić pieniądze. I zarobił je. Mnóstwo. Był surowym, brutalnym, bezlitosnym człowiekiem – choć na swój sposób miał też dobre serce, tyle że przejawiające się w sposób dość impulsywny – który po prostu nie mógł się nie dorobić majątku. Pracował tak, jakby kręcił korbką maszyny produkującej banknoty. Był twardy dla żony, zmuszając ją początkowo do znoszenia niepotrzebnych wyrzeczeń; był twardy dla dzieci, dopóki się nie dorobił, a wtedy dostawały wszystko, co chciały; a przede wszystkim był twardy dla robotników na farmie. Oni zaś, te gęsi znoszące złote jaja, byli jeszcze na tym etapie, że nie wiedzieli, iż można żyć inaczej, żyć, nie produkując złota dla innych ludzi. Teraz wiedzą już o tym, zaczynają być tego świadomi. Slatter zaś wierzył w „gospodarkę batogową”. Bat wisiał nad wejściowymi drzwiami jak wypisane na ścianie motto: „Nie będziesz się wzdragał przed zabijaniem, jeśli to konieczne”. Raz w napadzie wściekłości Slatter zabił tubylca. Musiał zapłacić trzydzieści funtów grzywny, i od tego czasu bardzo się pilnował. Ale bat pasował do takich Slatterów; mniej natomiast do ludzi niezbyt pewnych siebie. To Slatter dawno temu pouczał Dicka Turnera, kiedy ten stawiał pierwsze kroki na farmie, że bat powinno się kupić wcześniej niż pług i bronę. I ten bat, jak się przekonamy, nie przyniósł Turnerom nic dobrego.

Slatter był niskim, krępy, silnym mężczyzną o potężnym karku i grubych ramionach. Twarz miał szeroką, z krótkim zarostem, bystrą, czujną, nieco przebiegłą. Jasne włosy nosił krótko przycięte, co upodabniało go do więźnia, ale on nie zważał na wygląd. Małe niebieskie oczka ledwo były widoczne, ponieważ stale je mrużył po latach spędzonych w południowoafrykańskim słońcu.

Pochylony nad kierownicą, niemal do niej przywierając, chciał jak najszybciej dotrzeć do Turnerów; oczy w nieruchomej twarzy wyglądały jak dwie niebieskie szparki. Za-

stanawiał się, dlaczego Marston, zarządca, który w końcu był zatrudniony przez niego, nie powiadomił go osobiście o morderstwie, czy przynajmniej nie przysłał wiadomości. Gdzie był? Chata, w której mieszkał, stoi zaledwie kilkaset jardów od domu. Może dostał pietra i uciekł? Wszystko możliwe, pomyślał Charlie, u tego rodzaju Anglika. Miał głęboko zakorzenioną pogardę dla ulizanych, grzecznych Brytyjczyków, a jednocześnie fascynowały go ich maniery. Jego własni, dorośli już, synowie również byli dżentelmenami. Mnóstwo wydał na to pieniędzy, a teraz nimi gardził, choć jednocześnie był z nich dumny. Ten konflikt uczuć ujawniał się też w jego stosunku do Marstona: twardym i obojętnym, a jednocześnie pełnym szacunku. W tym jednak momencie czuł głównie irytację.

W połowie drogi samochód się zakołysał. Charlie zaklął i zahamował. Okazało się, że złapał gumę; nie, dwie gumy. W rdzawym błocie na drodze widać było kawałki rozbitego szkła. Zirytowany Charlie pomyślał: „Cały Turner! Żeby na drodze leżało szkło!”. Ale Turner siłą rzeczy stał się teraz przedmiotem współczucia, był więc niejako pod ochroną, a zatem złość Slattera skierowała się na Marstona, który jego zdaniem powinien był zapobiec morderstwu. Za co mu się płaci? Po co się go zatrudniło? Slatter był jednakże na swój sposób człowiekiem sprawiedliwym, zwłaszcza gdy rzecz dotyczyła jego rasy. Powściągnął więc złość i zabrał się do zmieniania opony w gęstej, rdzawej błotnistej chlapie na drodze. Trwało to trzy kwadransy, a gdy skończył oraz powybierał kawałki zielonego szkła z błota i wrzucił je w krzaki, twarz i włosy mokre miał od potu.

Kiedy wreszcie dotarł na farmę, z daleka zobaczył sześć lśniących rowerów opartych o ścianę. Przed domem zaś, w cieniu drzew, stało sześciu policjantów krajowców, a między nimi Moses z rękami skutymi z przodu. Słońce połyskiwało na kajdankach, na rowerach, na stosach ciężkich,

mokrych liści. Był gorący, wilgotny poranek. Na niebie kłębiły się bure chmury; wyglądały jak wzdęte na wietrze brudne pranie. Kałuże lśniące na jasnej ziemi odbijały to zachmurzone niebo.

Charlie podszedł do policjantów, którzy zasalutowali na jego widok. Byli w fezach i dość operetkowo wyglądających mundurach. To ostatnie spostrzeżenie w ogóle nie przyszłoby jednak Charliemu do głowy. Lubił, gdy krajowcy byli ubrani albo stosownie do swego zajęcia, albo w przepaski na biodrach. Nie znosił tych na wpół ucywilizowanych. Policjanci, wybrani ze względu na konstytucję fizyczną, prezentowali się imponująco, ale Moses przewyższał ich wszystkich; potężny mężczyzna, czarny jak węgiel, ubrany w koszulkę trykotową i szorty, teraz mokre i ubłocone. Charlie stanął przed mordercą i spojrzał mu prosto w oczy. Ów odpowiedział spojrzeniem pozbawionym wyrazu, obojętnym. Ciekawie w tym momencie wyglądała twarz Charliego – malowało się na niej coś w rodzaju tryumfu, ostrożność, mściwość i strach. Czemu strach? Przed Mosesem, który i tak już wisiał? Ale Charlie wyraźnie czuł się nieswojo. Po chwili opanował się i obejrzał, a wtedy zobaczył ubłoconego Dicka Turnera.

– Turner! – wykrzyknął, lecz zamilkł, przyjrzawszy się uważnie jego twarzy.

Dick najwyraźniej go nie poznawał. Charlie wziął go pod ramię i zaprowadził do samochodu. Nie wiedział jeszcze wtedy, że Dick jest nieuleczalnie obłąkany; gdyby się zorientował, byłby jeszcze bardziej zły. Umieściwszy go na tylnym siedzeniu, poszedł do domu. We frontowym pokoju, z rękami w kieszeniach, stał Marston w swobodnej pozycji. Ale twarz miał bladą i napiętą.

– Gdzieżeś pan był? – z miejsca oskarżycielsko spytał Charlie.

– Normalnie pan Turner budzi mnie rano – odparł mło-

dy człowiek. – Dziś sam się obudziłem, później niż zwykle. Przyszedłem do domu i zobaczyłem panią Turner na werandzie. Potem przyjechali policjanci. Spodziewałem się pana. – Bał się, ale to lęk przed śmiercią dawał się słyszeć w jego głosie, a nie strach, który kierował poczynaniami Charliego. Nie przebywał w tym kraju na tyle długo, by rozumieć ów specyficzny strach Slattera.

Charlie chrząknął. Nie miał zwyczaju odzywać się bez koniecznej potrzeby. Długo i bacznie przyglądał się rozmówcy, jakby w jego wyglądzie szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego zatrudnieni na farmie krajowcy nie zawołali człowieka, który spał tuż obok, ale w pierwszym odruchu przybiegli do niego. Nie patrzył na Marstona ani z niechęcią, ani z pogardą, raczej tak, jak patrzy się na potencjalnego współnika, który musi dowieść, co jest wart.

Odwrócił się i wszedł do sypialni. Mary Turner była sztywnym kształtem przykrytym zabrudzonym białym prześcieradłem. Spod jednego końca prześcieradła wystawała masa jasnych włosów, spod drugiego – pomarszczona żółta stopa. Teraz stała się rzecz ciekawa. Gdy Charlie patrzył na Mary, jego twarz wykrzywiła nienawiść i pogarda, których należałoby się spodziewać raczej w chwili, gdy stał twarzą w twarz z mordercą. Jego brwi zmarszczyły się, wargi w pełnym złości grymasie odsłoniły na kilka sekund zęby. Stał odwrócony plecami do Marstona, który mocno by się zdziwił, gdyby zobaczył wyraz jego twarzy. Po chwili odwrócił się i zamaszystym krokiem wyszedł z pokoju, wypraszając także młodego człowieka.

Marston powiedział:

– Leżała na werandzie. Podniosłem ją i położyłem na łóżku. – Wzdrygnął się na wspomnienie zimnego ciała. – Pomyślałem, że nie powinna tam leżeć. – Zawahał się, przez jego twarz przebiegło drżenie. – Psy ją lizały – dodał.

Charlie skinął głową i obrzucił go uważnym spojrze-

niem. Obojętne mu było, gdzie pani Turner leżała przedtem i gdzie teraz leży. Docenił jednak opanowanie zarządcy, który wziął na siebie tak nieprzyjemną czynność.

– Krew była wszędzie. Wytarłem... Potem dopiero przyszło mi do głowy, że powinienem był zostawić to do przyjazdu policji.

– Nie szkodzi – odparł Charlie z roztargnieniem.

Usiadł na twardym krześle we frontowym pokoju i pograżył się w myślach, pogwizdując cicho przez zęby. Marston stał przy oknie, wypatrując policyjnego samochodu. Od czasu do czasu Charlie rozglądał się uważnie, oblizując wargi. Potem znowu gwizdał. Młodemu człowiekowi działało to na nerwy.

W końcu, ostrożnie, jakby wygłaszał ostrzeżenie przed czymś, Charlie zapytał:

– A co pan o tym wie?

Marston zauważył nacisk położony na słowo „pan” i zaczął się zastanawiać, co wie Slatter. Był opanowany, ale napięty jak struna.

– Nic. Naprawdę. Trudna to sprawa... – Zawahał się, patrząc wymownie na Slattera.

Niemal błagalny wyraz jego twarzy zirytował Charliego, ale też i sprawił mu przyjemność. Zadowolony był, że młody człowiek podporządkowuje mu się. Dobrze znał ten typ. Wielu takich przyjeżdżało z Anglii i brało się do farmerstwa. Najczęściej byli to ludzie po dobrej prywatnej szkole, bardzo angielscy, ale znakomicie umiejący się przystosować. Z punktu widzenia Charliego ta zdolność adaptacji była ich ratunkiem. Aż dziw brał czasami, jak szybko przywykali. Z początku byli niepewni i onieśmieleni, ale zachowywali dumę i trzymali się na dystans; pilnie uczyli się nowych rzeczy, wykazując przy tym dużą wrażliwość i czujność.

Kiedy starzy mieszkańcy mówią: „Trzeba rozumieć ten

kraj”, znaczy to: „Masz się zgodzić z naszymi poglądami na temat krajowców”. A tak naprawdę należy usłyszeć: „Albo nauczysz się myśleć po naszemu, albo wynocha; nie chcemy cię”. Większość młodych przyjeżdżających tu ludzi miała dość dziwne poglądy na równość. Przynajmniej przez pierwszy tydzień byli przerażeni sposobem traktowania krajowców. Oburzali się tym, jak się o tubylcach mówi – jakby to było bydlę. Oburzali się, gdy ich bito, oburzali się tym, jak ich postrzegano. Chcieli traktować tubylców jak istoty ludzkie. Nie mogli jednakże działać wbrew społeczności, do której zamierzali wejść, i bardzo szybko następowała w nich przemiana. Oczywiście, to niełatwe stać się „złym”. Ale też długo nie trwało uważanie tego za „zło”. W sumie do czego sprowadzały się te ich pomysły? Abstrakcyjne pojęcia przyzwoitości i dobrej woli, i tyle. Sama abstrakcja. Jak przychodzi co do czego, nie miewa się żadnych kontaktów z tubylcami poza relacją pan – sługa. Na co dzień nie zna się ich jako istot ludzkich. Wystarczało kilka miesięcy, by wrażliwi, przyzwoici młodzi ludzie twardnieli, przystosowując się do trudnego, suchego, spalonego słońcem kraju; nabierali nowych manier bardziej odpowiednich do ogorzałej skóry i sprężystego od pracy ciała.

Tony’emu Marstonowi łatwiej byłoby teraz, gdyby przebywał w Afryce kilka miesięcy dłużej. Charlie o tym wiedział. Dlatego, choć spoglądał na młodego człowieka surowo, nie potępiał go. Zachowywał tylko czujność i ostrożność. Spytał:

– Co pan ma na myśli, mówiąc, że to trudna sprawa?

Tony zmieszał się, jakby sam nie wiedział, co ma na myśli. I tak naprawdę było. Tygodnie spędzone na farmie Turnerów, w atmosferze dramatu tych ludzi, nie pomogły mu nabrać jasności widzenia. Dwa systemy wartości – ten, który przywiózł ze sobą, i ten, którego się uczył – wciąż



stały w sprzeczności wobec siebie. Niepokoiła go też szorstkość i ostrzegawcza nuta zauważalna w głosie Charliego. Przed czym to ostrzeżenie? Był bowiem na tyle inteligentny, by rozumieć, że jest to ostrzeżenie. Pod tym względem Tony stanowił przeciwieństwo Charliego, który działał instynktownie i nawet nie wiedział, że w jego głosie słyhać groźbę. To wszystko było takie dziwne. A policja? Jakim prawem zawiadamia się najpierw Charliego, który w końcu jest tylko sąsiadem, a nie jego, praktycznie domownika? Dlaczego Charlie właściwie przejmuje dowodzenie?

Nie zgadzało się to z poczuciem sprawiedliwości Marston. Był zdezorientowany, miał własną koncepcję na temat tego morderstwa, której nie dałoby się przedstawić czarno-biało. Kiedy się nad tym głębiej zastanowił, morderstwo było logiczną konsekwencją wydarzeń; wspominając ostatnie dni, stwierdzał, że na coś się zanosilo, niemal gotów był przyznać, że się spodziewał jakiegoś gwałtownego czy tragicznego wydarzenia. Gniew, przemoc, śmierć wydawały się czymś naturalnym w tym rozległym, surowym kraju... Dużo o tym myślał, odkąd nieśpiesznie przyszedł tu rano, dziwiąc się, że nikt go nie obudził, i znalazł na werandzie nieżywą Mary Turner, a policjanci stali na zewnątrz, pilnując służącego. Do tego dochodził jeszcze nieszczęsny Dick Turner, mamroczący coś pod nosem, brodzący po kałużach, szalony, ale wyraźnie niegroźny. Teraz dopiero Tony rozumiał różne rzeczy i był gotów na ten temat rozmawiać. Ale kompletnie nie pojmował Charliego. To było coś, czego nie ogarniał.

– Widzi pan – zaczął. – Przyjeżdżając tutaj, nie wiedziałem wiele o tym kraju.

Charlie z dobroduszną, ale bardzo wyraźną ironią wszedł mu w słowo:

– Dzięki za informację. – Po czym dodał: – Domyśla się pan, dlaczego ten czarnuch zamordował panią Turner?

– Tak, chyba tak.

– No to opowie pan to sierżantowi, jak przyjedzie.

Wyraźnie przytarto mu nosa. Uciszone go. Tony milczał, zły, ale jednocześnie zdziwiony.

Przybyły sierżant najpierw przyjrzał się mordercy, po czym popatrzył na Dicka siedzącego w samochodzie Slattera i wszedł do domu.

– Byłem u pana, Slatter – powiedział, kiwając jednocześnie głową Tony’emu i obrzucając go zaciekawionym spojrzeniem.

Wszedł do sypialni. Jego reakcja była taka sama jak reakcja Charliego: złość i chęć zemsty na mordercy, współczucie dla Dicka i gniewna pogarda dla Mary. Sierżant Denham żył w tym kraju od wielu już lat. Tym razem Tony wyraźnie widział twarze obydwu mężczyzn i doznał szoku. Ich wyraz zaniepokoił go, a nawet wystraszył. Sam czuł spory niesmak, ale nie do tego stopnia; przy tej wiedzy, jaką miał, reagował głównie współczuciem. Podobnie czułby się wobec każdej nieprawidłowości społecznej, doznając czegoś w rodzaju rozczarowania wyobrażaną sobie inaczej rzeczywistością. Zdumiał go zatem tak głęboki instynktowny strach.

Całą trójką przeszli w milczeniu do bawialni.

Charlie Slatter i sierżant Denham stanęli obok siebie niczym dwaj sędziowie, jakby celowo przyjmując taką pozę. Tony stał naprzeciwko nich. Zachowywał spokój, choć gdy patrzyli na niego, a on nie potrafił odczytać wyrazu ich twarzy, ogarniało go absurdałne poczucie winy.

– Nieprzyjemna sprawa – stwierdził krótko sierżant.

Żaden z pozostałych nie odpowiedział. Policjant otworzył notatnik i przygotował ołówek.

– Zadam panu parę pytań, jeśli można – rzekł.

Tony wyraził zgodę ruchem głowy.

– Jak długo pan tu przebywa?

- Około trzech tygodni.
- Mieszka pan w domu?
- Nie, w chacie przy ścieżce.
- Miał pan prowadzić farmę po ich wyjeździe?
- Tak, przez sześć miesięcy.
- A potem?
- Potem zamierzałem podjąć pracę przy uprawie tytoniu.

– Jak się pan dowiedział o morderstwie?

– Nikt mnie nie powiadomił. Gdy obudziłem się rano, przyszedłem tutaj i znalazłem panią Turner.

W głosie Tony'ego zabrzmiało rozgoryczenie. Młody człowiek czuł się urażony, nawet znieważony przez fakt, że go nie powiadomiono, a jeszcze bardziej bolało to, iż obaj mężczyźni nie widzieli nic niezwykłego w takim potraktowaniu go; jakby status nowicjusza w tym kraju pozwalał na takie podejście. Sposób zadawania pytań też budził w nim niechęć. Nie mieli prawa. Zaczynał być naprawdę zły, choć dobrze wiedział, że ci dwaj nie uświadamiają sobie, jak protekcyjnie się wobec niego zachowują. Chyba jednak będzie lepiej, jeśli postara się pojąć, o co tak naprawdę chodzi, zamiast domagać się traktowania z większym szacunkiem.

– Jadał pan posiłki z państwem Turner?

– Tak.

– A poza tym czy bywał pan tu... nazwijmy to... towarzysko?

– Nie, prawie nie. Miałem sporo zajęć, musiałem się wiele uczyć.

– Dogadywał się pan z Turnerem?

– Myślę, że tak. To znaczy, on nie był zbyt wylewny. Ciężko harował. I był mocno nieszczęśliwy, że ma wyjechać.

– Tak, biedaczysko, ciężko mu było, to fakt. – Głos sierżanta nagle stał się czuły, niemal tkliwy i pełen współczu-

cia, choć sierżant wyrzucił z siebie słowa, po czym zacisnął mocno usta, jakby starał się zachowywać dzielnie.

Tony poczuł się zdezorientowany. Reakcje obu mężczyzn były tak nieoczekiwane, że kompletnie wytrącały go z równowagi. Miał zupełnie inne odczucia niż oni; w tej tragedii był kimś z zewnątrz, natomiast sierżant i Charlie Slatter zachowywali się tak, jakby byli osobiście w to wszystko zaangażowani i podświadomie przybierali pozę cierpiętniczej godności, jakby z powodu Dicka Turnera i jego losu przygniatał ich niewypowiedziany ciężar.

A to przecież Charlie niemal dosłownie wyrzucił Dicka z farmy; w poprzednich rozmowach, przy których Tony był obecny, nie wykazywał żadnych sentymentów ani współczucia.

Zapadła dłuższa cisza. Sierżant zamknął notatnik. Ale jeszcze nie skończył wypytywania Tony'ego. Przyglądał mu się uważnie, myśląc nad tym, jak najlepiej sformułować następne pytanie. Takie przynajmniej wrażenie odnosił Tony, który widział wyraźnie, że przesłuchujący dochodzi do najważniejszego momentu sprawy. Mówiła o tym twarz Charliego, czujna, trochę przebiegła, trochę przestraszona.

– Czy będąc tutaj, zauważył pan coś niezwykłego? – spytał sierżant pozornie swobodnym tonem.

– Tak – wypalił Tony, nagle mając serdecznie dosyć tej udręki. Wyraźnie go dręczyli, choć dzieliła ich od niego przepaść, jeśli chodzi o poglądy i doświadczenie.

Popatrzyli na niego chmurnie i wymienili szybkie spojrzenia, po czym odwrócili wzrok, jakby się bali zdradzić z tą konspiracją.

– Co pan zauważył? Mam nadzieję, że rozumie pan... jak nieprzyjemna jest to sprawa? – Ostatnie pytanie stanowiło właściwie niechętny apel.

– Każde morderstwo jest nieprzyjemne – zauważył Tony sucho.

– Kiedy pobędzie pan w tym kraju wystarczająco długo, będzie pan wiedział, że nie lubimy, kiedy czarnuchy mordują białe kobiety.

Słowa „kiedy pobędzie pan w tym kraju” uderzyły Tony’ego nieprzyjemnie. Słyszał je tak często, że zaczęły go już denerwować. Złościł się, gdy tak do niego mówiono, a jednocześnie czuł się jak żółtodziób. Chętnie wygarnąłby całą prawdę jednym niedającym się już odwołać zdaniem, ale prawda nie była taka. Nigdy nie jest. To, co wiedział lub czego domyślał się na temat Mary, a co ci dwaj sprzysięgli się przemilczeć, bardzo łatwo można było powiedzieć na głos. Ale najważniejszą rzeczą, mającą istotne znaczenie – tak mu się przynajmniej wydawało – było zrozumienie tła, okoliczności oraz charakterów Dicka i Mary; historii ich życia. A to nie takie proste. Tony dotarł do prawdy okreśną drogą; tylko w ten sposób zresztą można ją było wyjaśnić. Jego samego przede wszystkim ogarniało wielkie współczucie dla Mary, Dicka i tubylca – budzące gniew i sprzeciw wobec tych okoliczności – a to sprawiało, że sam nie wiedział, od czego zacząć.

– Dobrze – rzekł. – Powiem panom, co wiem, od samego początku, ale obawiam się, że zajmie to trochę czasu...

– Czy to znaczy, że wie pan, dlaczego pani Turner została zamordowana? – Pytanie padło jak błyskawiczny, ale przemyślany, parujący cios.

– No, niezupełnie. Mogę jednak przedstawić pewną teorię. – Dobór słów okazał się niefortunny.

– Nie chcemy teorii, lecz faktów. Przede wszystkim zaś proszę pamiętać o Dicku Turnerze. Dla niego jest to najbardziej przykre. To trzeba mieć teraz na względzie. Biedaczysko.

Znowu to samo – całkowicie nielogiczny apel, który dla tych ludzi najwyraźniej wcale nie był nielogiczny. Potworne! Tony zaczął tracić cierpliwość.

– Chcecie czy nie chcecie posłuchać, co mam do powiedzenia?

– Niech pan mówi. Tylko proszę pamiętać, żadnych fantazji. Same fakty. Czy widział pan coś konkretnego, co rzuciłoby światło na to morderstwo? Na przykład, jak służący próbuje się dostać do biżuterii pani Turner, czy coś takiego? Konkrety, bez przypuszczeń i podejrzeń.

Tony nie wytrzymał i zaśmiał się. Obydwaj mężczyźni skarcili go wzrokiem.

– Wiedzą panowie równie dobrze jak ja, że tej sprawy nie można wyjaśnić tak z marszu. To chyba jasne. Nie da się tego określić czarno-biało.

Trafił w martwy punkt; nie podjęli tematu. Sierżant Denham jakby w ogóle nie usłyszał ostatnich słów. Zmarszczył surowo brwi i spytał:

– Na przykład, jak pani Turner traktowała tego tubylca? Czy dobrze obchodziła się ze służbą?

Tony, zły, chcąc znaleźć jakiś punkt zaczepienia w mętliku emocji, a nie bardzo wiedząc, wobec kogo i do jakiego stopnia ma być lojalny, uchwycił się tego pytania.

– Źle go traktowała. Choć z drugiej strony...

– Zrzędziła, co? W tym kraju kobiety potrafią być straszne, jeśli o to chodzi, i to bardzo często. Prawda, Slatter? – Głos sierżanta był spokojny, poufały, swobodny. – Moja własna żona nieraz doprowadza mnie do szału... To specyfika tutejszych stosunków. Kobiety nie radzą sobie z czarnuchami.

– Tylko mężczyzna potrafi radzić sobie z czarnuchami – włączył się Charlie. – Czarni w ogóle nie rozumieją, że kobieta może wydawać im rozkazy. Ich własne kobiety znają swoje miejsce. – Zaśmiał się.

Sierżant również się roześmiał. Nawiązali nić porozumienia, z wyraźną ulgą włączając w ten układ Tony'ego. Napięcie opadło, niebezpieczeństwo minęło. Tony znowu został

pominięty, a przesłuchanie, jak się wydawało, skończono. Aż trudno mu było uwierzyć.

– Ale, ale... – zaczął, lecz urwał.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego poważnie, wyraźnie zirytowani. Było to oczywiste ostrzeżenie! Takie ostrzeżenie daje się żółtodziobowi, który ma zamiar pograżyć się, mówiąc za dużo. Tego było aż nadto jak na niego. Poddał się; umył ręce. Patrząc na nich, nie mógł wyjść z podziwu. Podlegli tym samym emocjom, zawarli idealne porozumienie, z czego nawet nie zdawali sobie sprawy. Ta wspólnota przekonań była nieuświadomiona, zgodne podejście do sprawy – instynktowne; oni nie mieli świadomości, że coś jest nie tak, wręcz sprzeczne z prawem. No bo czy cokolwiek jest tu wbrew prawu? Przecież to zwykła rozmowa, nieoficjalna, skoro notes został zamknięty, co stało się, gdy sytuacja zaczęła być niezręczna.

Charlie zwrócił się do sierżanta:

– Może lepiej będzie, jak zabierzemy ją stąd? Jest za gorąco, żeby z tym zwlekać.

– Tak – odparł policjant i poszedł wydać odpowiednie rozkazy.

Ta brutalnie rzeczowa uwaga, jak uświadomił sobie Tony później, była jedyną wypowiedzią bezpośrednio dotyczącą biednej Mary Turner. Po co zresztą miano by o niej mówić? Tylko że rozmowa odbywała się między farmerem, który był najbliższym sąsiadem Mary, policjantem, który ją odwiedzał podczas rutynowych objazdów, oraz zarządcą, który mieszkał tu od paru tygodni. Sprawie nie nadano jeszcze biegu urzędowego; Tony uchwycił się tej myśli. Czekał ich jeszcze proces sądowy, który zostanie właściwie przeprowadzony.

– Proces, oczywiście, będzie czystą formalnością – rzekł sierżant, jakby głośno myślał, i spojrzął na Tony'ego.

Stojąc przy samochodzie, obserwował tubylczych poli-

cjantów wsuwających na tylne siedzenie ciało Mary Turner owinięte w koc. Było sztywne; wystające ramię upiornie stuknęło w wąskie drzwi, trudno było je włożyć do środka. W końcu udało się drzwi zamknąć. Wtedy pojawił się inny problem – nie można było tym samym samochodem wieźć mordercy; czarny mężczyzna nie może przebywać tak blisko białej kobiety, nawet jeśli ona nie żyje i została przez niego zamordowana. A oprócz wozu policyjnego w pobliżu było tylko auto Charliego, w którym siedział obłąkany Dick Turner. Zdawać by się mogło, że Mosesa, który popełnił morderstwo, powinno się przewieźć samochodem, ale nie było rady, musiał udać się na posterunek pieszo, w asyście policjantów prowadzących swe rowery.

Gdy ukończono przygotowania, przed opuszczeniem farmy wszyscy zatrzymali się na moment.

Patrzyli na dom z cegły nakryty lśniącym, nagrzanym dachem, na gęste, rozrastające się wokół niego krzaki i grupę czarnych mężczyzn wyruszających właśnie w długi marsz. Moses zachowywał się biernie, pozwalał sobą kierować, nie wykazywał żadnej inicjatywy. Jego twarz była pusta. Patrzył prosto w słońce. Czy myślał właśnie, że już niedługo będzie je oglądał? Trudno było powiedzieć. Żałował? Żadnej oznaki żalu. Bał się? Nie wyglądało na to. Trzej mężczyźni patrzyli na mordercę, pogrążeni we własnych myślach, niepewni i zatroskani, ale to nie on był teraz dla nich ważny. Nie, on był zupełnie nieistotny. To tylko aksjomat, czarny mężczyzna, który będzie kradł, gwałcił, mordował, jeśli da mu się cień sposobności. Nawet dla Tony'ego już się nie liczył; jego wiedza na temat natury krajowców była zbyt nikła, by miał jakiegokolwiek podstawy do snucia domysłów.

– A co z nim? – Charlie wskazał kciukiem Dicka Turnera. Miał na myśli: co z nim będzie w sądzie?

– Wygląda na to, że nie na wiele się zda – odparł sier-



zant, który miał spore doświadczenie, jeśli chodzi o śmierć, zbrodnię i szaleństwo.

Nie, dla nich najważniejsza była Mary Turner, która zdradziła swoich, ale ponieważ była martwa, nie stanowiła już problemu. Jedyne, co pozostało do zrobienia, to zachowanie pozorów. Sierżant Denham dobrze to rozumiał; należało to do jego pracy, choć nie występowało w regulaminie, a wynikało raczej z ducha tego kraju, ducha, którym był przesiąknięty. Charlie Slatter rozumiał to nie gorzej. Nadal ramię w ramię, jakby jeden impuls, jeden żal, jeden strach nimi kierował, stali i patrzyli poważnie na Tony'go, jeszcze przed samym odjazdem posyłając mu ostatnie milczące ostrzeżenie.

Zaczynał rozumieć. Przynajmniej już wiedział, że to, o co przed chwilą toczyła się walka w pustym teraz pokoju, nie miało nic wspólnego z morderstwem. Morderstwo jako takie się nie liczyło. Walka rozstrzygnięta w krótkich zdaniach – czy też raczej w wymownym milczeniu między nimi – w ogóle nie miała nic wspólnego z tym wydarzeniem. Pojąłby to lepiej za kilka miesięcy, kiedy już „przyzwyczaiłby się do tego kraju”. Wtedy starałby się zapomnieć o dawnych przekonaniach, ponieważ życie w segregacji rasowej, z jej wszystkimi niuansami i implikacjami, oznacza zamknięcie się na wiele spraw, jeśli chce się zostać szanowanym członkiem społeczeństwa. Ale na razie, gdy w przeblysku świadomości widział wszystko wyraźnie, rozumiał, iż w postawie Charliego Slattera i sierżanta wypowiada się „biała cywilizacja” walcząca w swojej obronie, „biała cywilizacja”, która nigdy, przenigdy nie przyzna, że biały człowiek, a szczególnie biała kobieta, może mieć z czarnym człowiekiem ludzkie relacje, dobre bądź złe. Bo gdy to przyzna, nastąpi jej upadek, i to nieodwracalny. Przede wszystkim zaś nie może sobie pozwolić na takie niepowodzenia jak w wypadku Turnerów.

Ze względu na to zrozumienie oraz aktualny stan wiedzy – choć pełny wątpliwości i wahań – można zaryzykować stwierdzenie, iż Tony był tą z obecnych na farmie osób, na której owego dnia spoczywała największa odpowiedzialność. Ani Slatterowi, ani sierżantowi nie przyszłoby bowiem do głowy, że robią coś nie tak; za bardzo przejęci byli poczuciem odpowiedzialności, sięgającym wyżyn męczeństwa, jak zawsze, gdy w grę wchodziły relacje między białymi a czarnymi. Ale Tony za bardzo pragnął zostać zaakceptowany przez ten nowy kraj. Musiał się dostosować, bo jeśli nie, to zostanie odrzucony; przesłanie było jasne. Na tyle często słyszał zdanie: „Jak nauczy się pan myśleć po naszymu...”, by nie mieć w tym względzie złudzeń. A gdyby w poczuciu, iż dokonana się potworna niesprawiedliwość, postąpił zgodnie ze swoimi, coraz mniej radykalnymi, poglądami na temat dobra i zła, czy sprawiłoby to jakąkolwiek różnicę jednemu uczestnikowi tragedii, który nie był ani martwy, ani szalony? Przecież Moses tak czy owak zostanie powieszony; popełnił morderstwo, fakt pozostaje faktem. Czy Tony ma więc w imię zasad walczyć na oślep? A jeśli tak, to jakich zasad? Gdyby odważył się powiedzieć, jak niemal to zrobił, kiedy sierżant Denham w końcu wsiadł do samochodu: „Niech pan posłucha, nie mam zamiaru milczeć”, co by w ten sposób osiągnął? Przecież sierżant w ogóle by go nie zrozumiał. Tylko by się zaśepił i zdejmując stopę ze sprzęgła, zapytałby: „Tak? O co chodzi? Ktoś pana prosił, żeby milczeć?”. A gdyby Tony wystękał coś o odpowiedzialności, sierżant spojrzałby znacząco na Charliego i wzruszył ramionami. Na co Tony mógł powiedzieć, nie zważając na ten gest, świadczący o niechęci: „Skoro ktoś ma być winny, proszę obarczyć winą panią Turner. Nie może być i tak, i tak. Albo biali są odpowiedzialni za swoje zachowanie, albo nie. Do morderstwa trzeba dwojga, do morderstwa tego rodzaju. Choć tak napraw-

dę ją też trudno winić. Co miała biedna robić? Taka już była. Mówię wam, w końcu tu mieszkałem. A wy nie. I uważam, że ta sprawa jest tak trudna, iż nie sposób określić, kto jest winien”. A wtedy sierżant odparłby: „Może pan zeznać w sądzie wszystko, co pan uważa za stosowne”. Właśnie tak by powiedział, jakby ta kwestia nie została rozstrzygnięta dziesięć minut wcześniej, choć oficjalnie w ogóle nie została poruszona. „Rzecz nie w tym, kogo należy winić – mógłby odpowiedzieć sierżant. – Czy ktoś w ogóle mówi o winie? Nie da się zaprzeczyć, że czarnuch ją zamordował, prawda?”.

Tony więc nic nie powiedział; wóz policyjny ruszył i zniknął za drzewami. Za nim pojechał Charlie Slatter z Dickiem Turnerem. Tony został na pustej polanie obok pustego domu.

Wolno wszedł do środka, mając przed oczami obraz, który najsilniej wrył mu się w pamięć z wydarzeń tego poranka i który wydawał się kluczem do tego wszystkiego. Był to wyraz twarzy sierżanta i Slattera patrzących na ciało: niemal histeryczna nienawiść i strach.

Usiadł, przyłożył dłoń do fatalnie bolącej głowy, wstał znowu i zdjął z zakurzonej kuchennej półki butelkę po lekarstwach, z napisem „Brandy”. Wypił. Poczł drzenie w kolanach i udach. Ponadto aż mdliło go z odrazy do tego małego, brzydkiego domu, w którego ścianach, a nawet w samej cegle i betonie, wciąż zdawały się zalegać strach i potworność tego morderstwa. Nagle poczuł, że nie może zostać tu ani chwili dłużej.

Popatrzył na popękany, powyginany od słońca, blaszany dach, na splewiałe tandetne meble, zakurzoną ceglana podłogę, na której leżały postrzępione zwierzęce skóry, dziwiąc się, jak tych dwoje, Mary i Dick Turnerowie, mogło znieść życie w takim miejscu, rok za rokiem, przez tak długi czas. Dlaczego mała, kryta słomą chatka, w której on

mieszkał, była lepsza niż to? Dlaczego nie położyli stropów? Przecież od samego upału można tu było oszaleć.

Czując się dość mętnie (w upale brandy podziałała bardzo szybko), zastanawiał się, skąd się to wszystko wzięło, gdzie należy szukać początków tej tragedii. Wbrew Slat-terowi i sierżantowi, uparcie obstawał przy przekonaniu, że przyczyn morderstwa należy upatrywać w przeszłości i że to ona jest tu najważniejsza. Jaką kobietą była Mary Turner, zanim przybyła na farmę i stopniowo straciła psychiczną równowagę wskutek upału, samotności i biedy? A Dick Turner – jaki był? A krajowiec...? Tu jego rozmyślenia utknęły z braku dostatecznej wiedzy. Nie był nawet w stanie wyobrazić sobie osobowości tubylca.

Trąc czoło, próbował rozpaczliwie i po raz ostatni wykrzesać z siebie jakąś wizję, która by pozwoliła wyłuskać to morderstwo z wszelkich niejasności i złożoności, a może nawet uczynić z niego jakiś symbol czy znak ostrzegawczy. Ale nie udało mu się. Było zbyt gorąco. Czuł wielkie rozgoryczenie z powodu zachowania obu mężczyzn. W głowie mu się kręciło. W pokoju musi być ponad sto stopni\*, pomyślał ze złością. Wstawszy z krzesła, przekonał się, że niezbyt pewnie trzyma się na nogach. A wypił najwyżej dwie łyżki brandy! Przeklęty kraj! – pomyślał z wściekłością. Dlaczego musiało się to przytrafić akurat mnie, dlaczego od razu po przyjeździe wplątałem się w tę piekielną historię? Przecież nie mogę być sędzią, ławą przysięgłych i Bogiem miłosiernym w jednej osobie!

Niepewnym krokiem przeszedł na werandę, gdzie tej nocy popełniono morderstwo. Ceglane ściany pobrudzone były krwią, woda w kałuży miała różowe zabarwienie. Duże chude psy, tak samo jak rano, lizały jej brzeg i uciekły z podkulonymi ogonami, kiedy Tony na nie krzyknął. Opar-

---

\* W skali Fahrenheita, czyli około 38 stopni Celsjusza.

ty o ścianę, patrzył ponad brązowozielonym *veldem*\* na niebieskie pagórki rysujące się ostro po deszczu; lało przez pół nocy. Gdy w panującej ciszy zaczęły docierać do niego różne dźwięki, nagle uświadomił sobie, że dokoła słychać cykady. Przedtem za bardzo był zaabsorbowany, by ten dźwięk dotarł do niego. Było to jednostajne, uporczywe brzęczenie dochodzące z każdego krzaka i drzewa. Działo mu na nerwy. „Zabieram się stąd, postanowił nagle. Wyjeżdżam. Na drugi koniec kraju. Umywam ręce. Niech Slatterowie i Denhamowie robią, co im się żywnie podoba. W końcu to nie moja sprawa”.

Jeszcze tego ranka spakował rzeczy i poszedł zawiadomić Charliego, że nie zostanie tutaj. Charlie przyjął to obojętnie, a nawet z ulgą; pomyślał, że i tak nie ma potrzeby zatrudniania zarządcy, skoro Dick nie wróci.

Później farma Turnerów służyła jako dodatkowe tereny dla bydła Slattera. Pasło się ono wszędzie, nawet na wzgórzu, gdzie stał dom. Opustoszały, wkrótce się zawalił.

Tony wrócił do miasta, gdzie jakiś czas włóczył się po barach i hotelach, w nadziei, że dowie się o jakiejś odpowiedniej pracy. Ale utracił swą wcześniejszą bez troską gotowość do adaptacji. Trudno go było zadowolić. Pobył na kilku farmach, ale nigdy długo; farmerstwo straciło dla niego cały urok. Na procesie, który – jak zapowiedział sierżant Denham – był czystą formalnością, zeznał to, czego od niego oczekiwano. Sugerowano zaś, że krajowiec zabił Mary Turner po pijanemu, szukając pieniędzy i biżuterii.

Po procesie Tony włóczył się bez celu, dopóki nie skończyły mu się pieniądze. Morderstwo i tych kilka tygodni spędzonych u Turnerów wywarły na niego większy wpływ, niż początkowo sądził. Pieniądze się rozeszły i trzeba było coś zrobić, żeby mieć na jedzenie. Poznał kogoś z północnej

---

\* *Veld* – w Afryce Południowej bezleśny lub słabo zalesiony teren.



Rodezji, kto opowiedział mu o kopalniach miedzi i fantastycznie wysokich w nich zarobkach. Wydawało się to bardzo atrakcyjne. Wsiadł w pierwszy pociąg i pojechał do zagłębia miedzi; zamierzał oszczędzić trochę pieniędzy, a potem zacząć własny interes. Tymczasem na miejscu okazało się, że zarobki wcale nie są tak dobre jak w opowieściach. Koszty utrzymania były zaś wysokie, no i wszyscy strasznie dużo pili... Szybko rzucił pracę pod ziemią i został kimś w rodzaju kierownika. I tak w końcu wylądował w biurze, gdzie zajmował się papierkową robotą, której uniknięcie stanowiło cel jego przyjazdu do Afryki. Nie było jednak źle. Powinno się brać rzeczy takimi, jakie są. Życie nigdy nie układa się tak, jak się człowiek spodziewa, i tak dalej; powtarzał sobie takie rzeczy, kiedy popadał w depresję i przypominały mu się dawne ambicje.

Dla ludzi „z dystryktu”, wiedzących o nim wszystko z plotek, pozostał młodym człowiekiem z Anglii, który nie dał rady wytrzymać na farmie dłużej niż kilka tygodni. Zabrakło mu pary, mówili. Nie powinien był się tak łatwo poddawać.

## Rozdział 2

W całej Południowej Afryce przy krzyżujących się i rozgałęziających torach kolejowych, w odległości zaledwie kilku mil od siebie, wyrastały małe osady, które podróżnemu mogły wydawać się niewiele znaczącymi skupiskami brzydkich budynków, a tak naprawdę były ważnymi miejscami w rolniczym regionie, ciągnącym się na obszarze setek mil. Przeważnie znajdował się tam budynek stacji, poczta, czasem hotel, zawsze był sklep.

Trudno o lepszy symbol Południowej Afryki, tej stworzonej przez finansjery i potentatów kopalnianych, Afryki, na którą dawni misjonarze i odkrywcy nanoszą Czarny Łąd na mapy patrzyliby z przerażeniem. Sklepy są wszechobecne. Wystarczy przebyć dziesięć mil i będzie następny; spojrzeć przez okno wagonu i oto jest; każda kopalnia ma swój sklep, ma je również wiele farm.

Jest to zawsze jednokondygnacyjny budynek, podzielony jak pasek czekolady na poszczególne kawałki: dział ogólnospożywczy, rzeźnik i monopolowy pod jednym dachem z falistej blachy. Na półkach za wysoką drewnianą ladą znajduje się wszystko, i farby, i szczoteczki do zębów. Na wieszakach wiszą tanie bawełniane sukienki w jaskrawych kolorach, obok nich wznosi się stos pudeł z butami

i stoi szklana gablota z kosmetykami lub słodyczami. Wnętrze przenika charakterystyczny zapach lakieru, krwi zaschniętej na podwórku służącym jako ubojnia, suchej skóry, suszonych owoców i ostrego żółtego mydła. Za ladą stoi Grek, Żyd albo Hindus. Czasami dzieci tego człowieka, niezmiennie nienawidzonego przez cały dystrykt jako krwiopijca i cudzoziemiec, bawią się wśród warzyw, a jego mieszkanie znajduje się na zapleczu.

Dla tysięcy ludzi w całej Południowej Afryce sklep jest ważnym wspomnieniem z dzieciństwa. Wiele się z nim wiąże. Na przykład wspomnienie nocy, kiedy po niekończącej się jeździe przez zimną, pełną kurzu ciemność samochód zatrzymał się niespodziewanie w prostokącie światła padającego z okna, a wewnątrz siedzieli mężczyźni ze szklankami w rękach, po czym senne dziecko wnoszono do jasno oświetlonego baru, gdzie dostawało łyk palącego płynu, żeby „się nie przeziębic”. Albo było to miejsce, gdzie jeździło się dwa razy w tygodniu odebrać pocztę i spotkać z innymi farmerami przebywającymi wiele mil, by najpierw zrobić zakupy, a potem – z nogą opartą na progu auta, nie zważając na palące słońce – przeczytać listy z Kraju. Plac pokryty rdzawym pyłem, niczym muchami upstrzony psami i grupkami gapiących się krajowców – takie wspomnienia od razu przenosiły w myślach do kraju, za którym człowiek bardzo tęsknił, ale do którego za nic by nie wrócił na stałe; „Południowa Afryka siedzi w człowieku”, mawiali ze smutkiem ci, którzy stamtąd wyjechali.

Dla Mary słowo „Kraj”, wymawiane z szacunkiem i nostalgią, oznaczało Anglię, choć oboje rodzice pochodzili z Południowej Afryki i nigdy w Anglii nie byli. Tęsknotę silnie odczuwała zwłaszcza w te dni, kiedy przychodziła pocztą; szła wtedy do sklepu popatrzeć na samochody najpierw przyjeżdżające, a potem odjeżdżające z ładunkiem zakupionych zapasów oraz listów i prasy z Kraju.



Sklep był dla niej prawdziwym centrum życia, ważniejszym niż dla większości dzieci. Należałoby zacząć od tego, że zawsze mieszkała w pobliżu sklepu, w każdej z tych małych, zakurzonych osad. Odkąd pamiętała, matka posyłała ją tam a to po funt suszonych brzoskwiń, a to puszkę łososia, a to żeby dowiedzieć się, czy przyszły już tygodniki. Najchętniej siedziałyby tam godzinami, patrząc na góry lepkich kolorowych słodyczy, przesypując między palcami drobne ziarno w workach pod ścianą czy obserwując ukradkiem małą grecką dziewczynkę, z którą nie wolno się jej było bawić, bo matka mówiła, że jej rodzice to „południowcy”. Później, kiedy była starsza, sklep był czymś innym; tu ojciec pił alkohol. Czasami matka ogarnięta furią szła wyzalić się barmanowi, że nie jest w stanie związać końca z końcem, kiedy mąż tak trwoni pieniądze. Nawet jako dziecko Mary wiedziała, że chodzi głównie o to, aby publicznie ponarzekać i zrobić z siebie męczennicę; matka rozkoszowała się współczującymi spojrzeniami gości w barze; uwielbiała wyrzekać smutnym, a jednocześnie twardym głosem na męża. „Co wieczór tu przychodzi – mówiła. – Co wieczór! A ja mam wykarmić i wychować troje dzieci z tych pieniędzy, których łaskawie nie przepije”. Milkła, oczekując współczucia i zrozumienia ze strony człowieka, który zgarniał pieniądze należące się jej i dzieciom. On mówił jednak: „Ale co ja mogę? Nie odmówię mu przecież”. Po odegraniu swej sceny, wzbudziwszy należytą reakcję publiczności, matka wolnym krokiem wracała szeroką, pełną kurzu drogą do domu, trzymając Mary za rękę – wysoka, chuda kobieta z niezdrowo błyszczącymi, gniewnymi oczami. Bardzo szybko uczyniła z córki swoją powiernicę. Często płakała przy szyciu, a biedna Mary ją pocieszała; z jednej strony chciała od tego uciec jak najdalej, z drugiej jednak czuła się wtedy ważna. Nienawidziła ojca.

Nie znaczy wcale, że po alkoholu stawał się agresywny.

Rzadko bywał pijany tak jak mężczyźni widywani pod barem, którzy napawali Mary strachem i wywoływali wstręt do tego miejsca. Co wieczór wprawiał się w stan pijackiego dobrego humoru i przychodził do domu późno, na wystygłą już kolację, którą jadł sam. Żona traktowała go wówczas z zimną obojętnością. Wyśmiewała się z niego natomiast wobec przyjaciółek, które przychodziły do niej na herbatę, jakby nie chciała dać mężowi tej satysfakcji, że on ją w ogóle obchodzi, albo okazać, że cokolwiek do niego czuje; nawet tego, że kpi z niego i gardzi nim. Zachowywała się tak, jakby dla niej nie istniał. W praktyce zresztą tak właśnie było. Wprawdzie przynosił pieniądze, ale za mało. Był w domu zerem i wiedział o tym. Był to niski mężczyzna o bujnej ciemnej czuprynie, a jego agresywna wesołość stawała się czasem dość krępująca. Do przyjeżdżających, nawet drobnych urzędników zwracał się z najwyższym szacunkiem, a ostro pokrzykiwał na krajowców, dla których stanowił zwierzchność. Pracował na stacji, był kolejarzem.

Wtedy właśnie będący zarówno centrum życia okolicy, jak i miejscem upijania się ojca sklep jawił się Mary jako nieubłagana potęga, skąd raz w miesiącu przysyłano rachunki. Nigdy nie było tak, by wszystko zostało zapłacone; matka wiecznie błagała właściciela o miesiąc zwłoki. O te rachunki rodzice wojowali ze sobą zajadle dwanaście razy w roku. O nic innego się nie kłócili, tylko o pieniądze. Czasem matka stwierdzała sucho, że mogło być o wiele gorzej, tak jak u pani Newman, która miała siedmioro dzieci; ona ma w końcu tylko trzy gęby do wyżywienia. Sporo czasu minęło, nim Mary pojęła sens tej wypowiedzi; pewnego szczególnie suchego i pełnego kurzu roku pozostała matce tylko jedna gęba do wyżywienia, jej własna, jako że brat i siostra umarli na dyzenterię. Na krótki czas pogrążeni w smutku rodzice zbliżyli się do siebie. Mary pomyślała

wtedy, że nawet nieszczęście może mieć dobre strony; zmarłe rodzeństwo było sporo od niej starsze i nie nadało się na towarzyszy zabaw, a jego stratę w jakiś sposób wynagradzało to, że w domu ustały kłótnie i że matka, choć nadal płakała, wyzbyła się tej swojej strasznej, twardej obojętności. Ta faza jednak nie trwała długo. Mary wspominała ją później jako najszczęśliwszy okres swojego dzieciństwa.

Rodzina przeprowadzała się trzykrotnie, zanim Mary poszła do szkoły; później te różne stacje, na których mieszkała, mieszały się jej. Pamiętała jedynie rozprażoną słońcem, zakurzoną wioskę z rozgałęzionymi figowcami na skraju i placem, na którym za każdym razem, gdy przejeżdżały bydlęce wagony, pył unosił się i wirował, a potem osiadał; w gorącym, sennym powietrzu kilka razy dziennie rozlegał się ryk i posapywanie pociągu. Kurz i kury; kurz, dzieci i wałęsający się tubylcy; kurz i sklep – zawsze był sklep.

Posłano ją do szkoły z internatem i wtedy życie się odmieniło. Była szczęśliwa, tak szczęśliwa, że nie zносиła jeździć na wakacje do domu: do wiecznie podchmielonego ojca, zgorzkniałej matki i drewnianej rudery, która wyglądała jak pudełko.

W wieku lat szesnastu skończyła szkołę i podjęła pracę w biurze w jednym z sennych miasteczek rozrzuconych jak rodzynki w drożdżowym cieście po całej Południowej Afryce. Znowu czuła się szczęśliwa. Wydawało się jej, że jest wprost stworzona do pisania na maszynie, stenografowania, prowadzenia księgowości i spokojnego rytmu pracy biura. Lubiła, gdy wszystko odbywało się bez niespodzianek, po kolei, jedno po drugim, według ustalonego porządku, szczególnie zaś lubiła spokojny, pozbawiony emocji i stresu charakter swego zajęcia. W wieku dwudziestu lat miała dobrą pracę, przyjaciół i własne miejsce w życiu mia-

sta. Wtedy umarła matka i Mary została właściwie sama, gdyż ojciec mieszkał pięćset mil dalej, przeniesiony na kolejną stację. Prawie go nie widywała. Był z niej dumny, ale (co ważniejsze) zostawił ją w spokoju. Nawet do siebie nie pisali; nie należeli do ludzi prowadzących korespondencję. Zadowolona była, że się go pozbyła. Życie w samotności nie przerażało jej wcale, lubiła je. Porzucając zaś ojca, w pewien sposób dokonała zemsty za cierpienia matki. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ojciec również mógł cierpieć. „Z jakiego powodu?” – obruszyłaby się natychmiast, gdyby ktoś coś takiego zasugerował. „Jest przecież mężczyzną, nie? Może robić, co mu się podoba”. Przejęła po matce oschły feminizm, zupełnie nieprzydatny w jej własnym życiu, jako że prowadziła wygodną, wolną od trosk egzystencję samotnej kobiety w Południowej Afryce, sama nawet nie wiedząc, ile ma szczęścia. Skąd miała wiedzieć? Nie miała pojęcia, jak jest w innych krajach.

Nigdy na przykład nie przyszło jej do głowy, że ona, córka zwykłego kolejarza i kobiety, która z powodu złej sytuacji finansowej miała życie tak ciężkie, że ze zgryzoty umarła, żyje sobie niczym córki największych bogaczy Południowej Afryki; może robić, co jej się żywnie podoba – może wyjść za mąż, jeśli tylko sobie zażyczy, za tego, kogo zechce. To nie przychodziło jej do głowy. „Klasa” nie jest słowem południowoafrykańskim; jego ekwiwalent, czyli „rasa”, oznaczał dla niej chłopca na posyłki w firmie, gdzie pracowała, domową służbę u znajomych i bezkształtny tłum tubylców na ulicach, który ledwo zauważała. Wiedziała, że krajowcy stają się coraz bardziej „zuchwali” (słowo to dźwięczało w powietrzu), ale tak naprawdę nie miała z nimi do czynienia. Byli poza jej orbitą.

Dopóki nie skończyła dwudziestu pięciu lat, nie wydarzyło się nic, co by zakłóciło to spokojne, wygodne życie. Wtedy umarł ojciec. Zniknęło ostatnie ogniwo łączące ją

z dzieciństwem, którego wspomnienie było jej nienawistne. Nic już nie wiązało jej z ubogim domkiem, rykiem pociągów, kurzem i wiecznymi kłótniami rodziców. Nic a nic! Była wolna. Udając się po pogrzebie do biura, cieszyła się, że wraca do życia, które wiodła do tej pory. Była szczęśliwa. To jedno chyba dałoby się powiedzieć o niej konkretnego, gdyż poza tym nie było w niej nic szczególnego, choć w wieku dwudziestu pięciu lat przeżywała najkorzystniejszy dla siebie okres. Radość i zadowolenie sprawiły, że rozkwitła. Była szczupłą dziewczyną o dość sztywnych ruchach, z modną grzywą jasnych włosów i poważnymi niebieskimi oczami, ładnie ubraną. Znajomi określiliby ją jako „smukłą blondynkę”; trochę naśladowała dziewczęco wyglądające gwiazdy filmowe.

Przez kilka lat nic się nie zmieniło. W dniu swoich trzydziestych urodzin doznała dziwnego, niezrozumiałego w pełni zdumienia, które nawet trudno byłoby określić jako nieprzyjemne – bo w jej odczuciu wszystko było tak samo – że czas minął tak szybko. Trzydziestka! Brzmi poważnie. Ale jej nie dotyczy. Mimo to nie obchodziła tych urodzin, postarała się, by przeszły niezauważone. Była niemal oburzona, że przytrafiło się to jej, która niczym się nie różniła od Mary szesnastoletniej.

Pracowała teraz jako osobista sekretarka szefa i zarabiała dobrze. Gdyby chciała, mogłaby wynająć mieszkanie i żyć całkiem nieźle. Była dość atrakcyjna. Typowa przedstawicielka białej demokracji Południowej Afryki. Głos miała taki jak tysiące innych osób: nosowy, nieco monotony, a mówiąc, ucinała wyrazy. Ubierała się jak setki innych kobiet. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby mieszkała sama, prowadziła stosowne życie towarzyskie, nawet miała własny samochód. Mogła stać się osobą w pełni niezależną. Byłoby to jednak wbrew jej instynktowi.

Mieszkała w klubie założonym specjalnie po to, by po-

móc młodym kobietom, które niewiele zarabiały; ponieważ była tam od dawna, nikomu nie przyszło do głowy poprosić, by się wyprowadziła. Dobrze się czuła w klubie, ponieważ przypominał jej szkołę, z którą niechętnie się rozstała. Lubiła tłum dziewcząt, posiłki w wielkiej sali jadalnej, powroty z kina, a potem wieczorne ploteczki z koleżankami. W klubie była kimś ważnym i lepszym niż przeciętna lokatorka. Przede wszystkim, jako osoba starsza niż inne mieszkanki, wzięła na siebie rolę poczciwej cioci, której można się zwierzyć ze wszystkich kłopotów. Nigdy się nie gorszyła, nikogo nie potępiała i nie rozpowiadała później niczego. Wykazywała się powściągliwością i opanowaniem, jakby drobne troski jej nie dotyczyły. Sztywność zachowania i nieśmiałość chroniły ją przed niechęcią i zazdrością innych. Wydawała się na nie odporna. Było to jej silną, ale zarazem słabą stroną, że nigdy nie okazywała słabości; czuła niechęć do intymności, emocjonalnych scen i bliskich kontaktów, te wręcz ją odrzucały. Wobec młodych kobiet zachowywała się nieco wyniośle, co znaczyło tyle samo co słowa: „Nie dam się w nic wciągnąć”. Było to zupełnie nieświadome.

Poza klubem i biurem, gdzie z racji przepracowania kilku lat też była osobą ważną, prowadziła życie pełne i z pozoru aktywne, choć w gruncie rzeczy o tyle bierne, że w dużym stopniu zależało od innych. Mary nie należała bowiem do kobiet, które inicjują zebrania towarzyskie, czy lubią być w centrum uwagi. Zadowalała się pozycją dziewczyny „zaproszonej”.

Życie naprawdę było wspaniałe; rzeczywistość, która na to pozwalała, już przemija, a gdy się skończy, kobiety będą ją wspominać jak utracony bezpowrotnie Złoty Wiek.

Wstawała późno, a że do biura musiała zdążyć na czas (była punktualna), nie zawsze jadła śniadanie. Do południa pracowała sprawnie, ale bez pośpiechu. Na lunch wracała

do klubu, a potem jeszcze dwie godziny pracy po południu i była wolna. Wtedy grała w tenisa, hokeja na trawie albo pływała. Zawsze z mężczyzną, jednym z licznych, którzy ją „zapraszali”, traktując jak siostrę; Mary to taki świetny kumpel! Tak jak miała mnóstwo przyjaciółek, w tym ani jednej od serca, tak (zdawałoby się) знаła wielu mężczyzn, którzy albo kiedyś ją zapraszali, albo zapraszali ją teraz, albo pożenili się i bywała w ich domach. Zaprzyjaźniona była z połową miasta. Wieczorami chodziła na przyjęcia, które trwały do północy, albo na tańce, albo do kina. Zdarzało się, że była w kinie pięć razy tygodniowo. Nigdy nie kładła się spać przed dwunastą, a czasem nawet znacznie później. I tak mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, rok za rokiem. Południowa Afryka to cudowne miejsce dla niezamężnej białej kobiety. Ale Mary wciąż nie spełniła swego kobiecego powołania, ponieważ nie wyszła za mąż. Lata mijały, przyjaciółki za mąż powychodziły, kilkanaście razy była druhną, dzieci znajomych dorastały, a ona tylko brała udział w życiu towarzyskim, stale zapraszana, wciąż dostosowująca się do innych i wolna. Dużo pracowała, co sprawiało jej przyjemność, i nigdy, ani przez chwilę nie była samotna, z wyjątkiem nocy i godzin snu.

Nie przejmowała się specjalnie mężczyznami. Swoim przyjaciółkom mówiła: „Mężczyźni! Biorą to, co najlepsze”. A przecież poza biurem i klubem jej życie było całkowicie uzależnione od mężczyzn, choć pewnie z oburzeniem odpierałaby ten zarzut. A może też nie była od nich aż tak bardzo zależna, jak się wydawało, bo gdy słuchała narzekań i skarg koleżanek, nie mogła się zrewanżować podobnymi zwierzeniami. One zaś czasami czuły się tym rozczarowane i tym samym zlekceważone. To przecież niesprawiedliwe słuchać, doradzać, być ramieniem do wypłakania się, a samej się nie zwierzać. Prawda zaś była taka, że Mary nie miała problemów. Ze zdumieniem, a nawet

z pewnym lękiem wysłuchiwała historii o trudnych przeżyciach, sama jednak nie miała z niczym podobnym do czynienia. Była najrzadszym na świecie zjawiskiem: kobietą po trzydziestce bez kłopotów sercowych, niewiedzącą, co to bóle głowy, bóle w krzyżu, bezsenność czy nerwica. Nie wiedziała nawet, że jest taką rzadkością.

Cały czas była „jedną z dziewcząt”. Gdy do miasta przyjeżdżała na gościnny występ drużyna krykieta i potrzebne były partnerki do tańca, dzwoniło po Mary. W tym była naprawdę dobra; potrafiła z wyczuciem i w naturalny sposób sprostać każdej sytuacji. Z jednakową uprzejmością i wdziękiem sprzedawała bilety na zabawie dobroczynnej i tańczyła z przyjezdnym graczem.

Czesła się jak dziewczyna, ubierała się w dziewczęce sukienki w pastelowych kolorach i zachowywała się jak nieśmiała, naiwna nastolatka. Gdyby zostawiono ją w spokoju i pozwolono żyć po swojemu, przyszedłby zapewne dzień, kiedy to wszyscy stwierdziliby nagle, że należy do kobiet, które starzeją się niepostrzeżenie, nie przechodząc w ogóle przez fazę wieku średniego; stałaby się małą, zaszoną, nieco gderliwą, upartą, sentymentalną, poczciwą staruszką albo bardzo pobożną, albo bezgranicznie uwielbiającą swego pieska.

Traktowano by ją z wyrozumiałością, gdyż „ominęły ją najważniejsze sprawy w życiu”, chociaż są przecież osoby, które wcale nie chcą „najważniejszych spraw”, ponieważ w ich wypadku już na samym początku zostały zatrute. Myśląc o „domu”, Mary miała przed oczami drewnianą budę, trzęsącą się za każdym razem, gdy przejeżdżał pociąg; gdy myślała o małżeństwie, przypominał się jej ojciec z przekrwionymi oczami, wracający podpity do domu; kiedy myślała o dzieciach, widziała twarz matki na pogrzebie rodzeństwa – pełną bólu i cierpienia, ale suchą i twardą jak kamień. Mary lubiła dzieci znajomych, ale wzdrygała się na



myśl o posiadaniu własnych. Wzruszała się na ślubach, ale czuła głęboki niesmak, jeśli chodzi o seks; w jej domu niewiele było intymności i pewnych rzeczy wołała nie pamiętać; już dawno zresztą udało się o nich zapomnieć.

Z pewnością czasem czuła niepokój, właściwie takie trudne do sprecyzowania niezadowolenie, które na chwilę odbierało radość życia. Na przykład, gdy po powrocie z kina w dobrym humorze szykowała się do snu, i nagle przychodziła jej do głowy myśl: „Jeszcze jeden dzień minął!”. Wtedy czas się kurczył i wydawało się jej, że tak niedawno skończyła szkołę i przyjechała do miasta prowadzić samodzielne życie. Doznawała wówczas uczucia lekkiej paniki, jakby usunięto niewidzialne oparcie spod jej nóg. Już za moment jednak, będąc osobą rozsądną i głęboko przekonaną, że rozczulanie się nad sobą jest niezdrowe, kładła się do łóżka i gasiła światło. Przed zapadnięciem w sen zastanawiała się jeszcze: „Czy to już wszystko? Czy kiedy się zestarzeję, nic więcej nie będę miała do wspomnienia?”. Do rana zapominała o niepokojach, mijały kolejne dni, a ona znów była szczęśliwa. Tak naprawdę nie wiedziała, czego chce. Czegoś więcej, myślała niejasno, jakiegoś innego życia. Ten nastrój wszakże nigdy nie trwał długo. Była zadowolona ze swojej pracy, gdzie czuła się spełniona i ważna; ze swoich przyjaciół, na których mogła polegać; z przyjemnego, stadnego życia w klubie, które przypominało przebywanie w gigantycznej wolerze, gdzie stale coś się działo – albo były jakieś zaręczyny, albo wesele; oraz ze swoich panów, którzy traktowali ją jak dobrego kumpla, bez żadnych głupstw związanych z seksem.

Jednak wszystkie kobiety prędzej czy później doznają tej czasem niesprecyzowanej, lecz zawsze niebywale silnej presji wyjścia za mąż. Mary, która nie była specjalnie podatna ani na atmosferę, ani na to, co mówią inni, zetknęła się z tym zjawiskiem w sposób nagły i dość nieprzyjemny.

Będąc u swojej zamężnej przyjaciółki, siedziała sama na werandzie, odwrócona tyłem do okna jasno oświetlonego pokoju. Koleżanki wewnątrz rozmawiały przyciszonymi głosami i nagle usłyszała swoje imię. Wstała, chcąc się ujawnić; w typowy dla siebie sposób w pierwszej chwili pomyślała, jak nieprzyjemne byłoby dla przyjaciółek, gdyby się dowiedziały, że słyszy ich rozmowę. Jednak usiadła z powrotem, postanowiwszy poczekać na odpowiedni moment, by udać, że właśnie weszła z ogrodu. Z płonąca twarzą i klejącymi się od potu rękami wysłuchiwała następującej rozmowy:

– Nie ma już piętnastu lat. To śmieszne! Ktoś powinien jej zwrócić uwagę, żeby się tak nie ubierała.

– Ile ona ma lat?

– Na pewno jest dobrze po trzydziestce. Ale trzyma się doskonale. Pracuje dłużej niż ja, a ja zaczęłam pracę ze dwanaście lat temu.

– Dlaczego nie wychodzi za mąż? Musiała mieć mnóstwo okazji.

Rozległ się suchy śmiech.

– Nie sądzę. Mojemu mężowi kiedyś się podobała, ale twierdzi, że ona nigdy nie wyjdzie za mąż. Ona nie jest taka, to nie ten typ. Czegoś jej brakuje.

– Czy ja wiem...

– W każdym razie zmieniła się. Któregoś dnia zobaczyłam ją na ulicy i ledwo poznałam. Naprawdę! Przez te wszystkie sporty skórę ma jak pergamin. A do tego schudła.

– Jest miła.

– Ale burzy uczuć nie obudzi.

– Mogłaby być z niej dobra żona. To fajna dziewczyna, ta Mary.

– Powinna wyjść za kogoś znacznie starszego. Najlepiej za pięćdziesięciolatka... Jeszcze zobaczycie, raz dwa poślubi kogoś, kto mógłby być jej ojcem.

– Wszystko możliwe!

Znowu rozległ się śmiech, raczej życzliwy i dobroduszny, ale dla Mary zabrzmiał złośliwie i okrutnie. Była oszłamiona i oburzona; głęboko zraniły ją słowa przyjaciółek. W swojej naiwności tak nieświadoma była tego, jaka jest w relacjach z ludźmi, że do głowy by jej nie przyszło, iż mogą rozmawiać o niej za plecami. A to, co mówili! Wierciła się niespokojnie, wyłamując palce. Po chwili opanowała się i poszła do tych zdrajczyń, a one przyjęły ją serdecznie, zupełnie jakby przed chwilą nie wbiły jej noża w serce. Z trudem rozpoznawała siebie w nakreślonym przez nie obrazie!

Incydent ten, w sumie błały, którym by się w ogóle nie przejęła osoba mająca choćby najśłabsze pojęcie o świecie, dotknął Mary bardzo głęboko. Ona, która nigdy nie miała czasu myśleć o sobie, godzinami teraz przesiadywała w swoim pokoju, zastanawiając się: „Czemu one mówiły takie rzeczy? Co jest ze mną nie tak? Co miało znaczyć, gdy powiedziały, że nie jestem taka?”. Czujnie, błagalnym niemal wzrokiem śledziła twarze przyjaciółek, szukając oznak potępienia. Jeszcze bardziej niespokojna i nieszczęśliwa stała się przez to, że one wyglądały tak jak zawsze i traktowały ją ze zwykłą sympatią i życzliwością. Zaczęła podejrzewać ukryte treści tam, gdzie ich wcale nie było, doszukiwać się złośliwości w spojrzeniu osoby, która naprawdę szczerze ją lubiła.

Rozmyślając bez końca o przypadku usłyszanych słowach, doszła do wniosku, że musi coś z tym zrobić. Przystała przewiązywać włosy wstążką, choć z żalem, bo uważała, że jest jej bardzo dobrze z masą loków dokoła pociągłej, szczupłej twarzy; sprawiła sobie szyte na miarę ubrania, których nie lubiła nosić, bo tak naprawdę tylko w dawnych dziewczęcych sukienkach czuła się sobą. Po raz pierwszy w życiu zaczęła się zachowywać niezręcznie wo-

bec mężczyzn. Tkwiące w jej świadomości ziarenko pogardy dla nich, które chroniło ją przed seksem równie skutecznie, jakby była szpetna, znikło, a wraz z nim dotychczasowa swoboda. Zaczęła się rozglądać, za kogo by tu wyjść za mąż. Nie przyznawała się do tego otwarcie nawet przed sobą; w końcu jednak należała do określonej społeczności – choć nigdy o tym tak nie myślała – zatem skoro przyjaciółki uważają, że powinna wyjść za mąż, to pewnie mają rację. Gdyby umiała przekładać uczucia na słowa, może właśnie w ten sposób by to wyraziła. Pierwszym mężczyzną, któremu pozwoliła zbliżyć się do siebie, był pięćdziesięcioletni wdowiec z podchowanymi dziećmi. Stało się tak dlatego, że czuła się przy nim bezpieczniej, ponieważ dżentelmen w średnim wieku, którego stosunek do niej był niemal ojcowski, nie kojarzył się jej z miłosnymi zapałami.

On doskonale wiedział, czego chce: przyjemnej towarzyski życia, matki dla swoich dzieci i kogoś, kto by mu poprowadził dom. Uznał, że Mary się nadaje, zwłaszcza że była miła dla dzieci. Jej zaś się wydawało, że to najlepsze rozwiązanie; skoro już musi wyjść za mąż, taki związek będzie dla niej najodpowiedniejszy. Tymczasem wszystko poszło nie tak. On przypuszczał, że Mary ma więcej doświadczenia; zakładał, że kobieta, która od dawna żyje sama, powinna wiedzieć, czego chce, i rozumieć, co on jej proponuje. Ich znajomość rozwijała się pomyślnie, w sposób naturalny, dopóki nie oświadczył się, nie został przyjęty i nie próbował się z nią kochać. Mary poczuła wówczas wstręt i uciekła. Znajdowali się w jego wygodnie urządzonej bawialni, a gdy zaczął ją całować, wybiegła na ulicę i cały czas biegnąc, wróciła do klubu. Tam padła na łóżko i rozplakała się. Uczucia narzeczonego do niej raczej się nie wzmogły po tak idiotycznej reakcji, którą mężczyzna młodszy i zakochany mógłby uznać nawet za uroczą. Następnego ranka była przerażona swoim zachowaniem. Co

za wstyd! I to zachowała się tak ona, która zawsze panowała nad sobą i najbardziej na świecie bała się emocjonalnych scen i niedomówień. Przeprosiła go, ale był to koniec.

Teraz już kompletnie się pogubiła, nie wiedząc, czego tak naprawdę jej potrzeba. Wydawało się jej, że uciekła, ponieważ wdowiec był „stary”; tak wytłumaczyła sobie tę całą historię. Odtąd unikała mężczyzn po trzydziestce. Sama wprawdzie skończyła trzydzieści lat, ale wciąż uważała siebie za dziewczynę. Nieświadomie, nie przyznając się do tego przed sobą, wciąż szukała męża.

W ciągu tych kilku miesięcy, nim wyszła za mąż, mówiono o niej rzeczy, które by ją doprowadziły do rozpacz, gdyby o tym wiedziała. W zasadzie było niesprawiedliwością, że Mary, zawsze wyrozumiała w stosunku do niepowodzeń i skandali innych ludzi – co brało się z silnie zakorzenionej awersji do spraw tak osobistych jak miłość i namiętność – przez całe swoje życie skazana była na pozostawanie obiektem plotek. Ale tak się właśnie stało. Tym razem również. Bulwersująca i żałosna w gruncie rzeczy opowieść o ucieczce od kochanka rozeszła się natychmiast w kręgu jej znajomych i nawet nie wiadomo było, kto dowiedział się pierwszy. Słyszając o tym, ludzie kiwali głowami i śmiali się, jakby zachowanie Mary stanowiło potwierdzenie czegoś, o czym wiedzieli od dawna. Trzydziestoparoletnia kobieta reagująca w ten sposób! Był to raczej nieprzyjemny śmiech; w epoce naukowego podejścia do seksu trudno o coś bardziej żalosnego niż brak seksualnej ogłady. Nie wybaczyli jej; śmiali się z niej, uważając, że w jakiś sposób zasłużyła sobie na to.

Zmieniła się bardzo, mówili. Ubiera się niemodnie i wygląda nieciekawie; cera się jej popsuła, chyba jest niezdrowa; najwyraźniej przechodzi załamanie nerwowe, w jej wieku należy się tego spodziewać, przy takim trybie życia

i w ogóle; szuka mężczyzny i nie może znaleźć. No i ostatnio dziwnie się zachowuje... To tylko niektóre opinie, jakie na jej temat wygłaszano.

Straszne, gdy w imię prawdy czy jakiejś innej abstrakcji zniszczy się czyjeś wyobrażenie o sobie. Jak ten ktoś będzie potem w stanie stworzyć nowy obraz własnej postaci, który umożliwi dalszą egzystencję? Wyobrażenie Mary o sobie legło w gruzach, a ona zupełnie nie nadawała się do tego, aby stworzyć je na nowo. Nie umiała egzystować bez dotychczasowych niezobowiązujących przyjaciół; zdawało się jej teraz, że w spojrzeniach, które na nią rzucano, dostrzeżga litość, a także odrobinę zniecierpliwienia, jakby była nic niewarta jako kobieta. Nigdy dotąd tak się nie czuła – wydrażona w środku, pusta, a pustce tej zagrażała potężna panika, jakby na świecie nie było żadnego punktu oparcia, który pomógłby jej odzyskać równowagę. Bała się spotykać ze znajomymi, a zwłaszcza bała się mężczyzn. Jeśli jakiś mężczyzna ją pocałował (co robili, wyczuwając jej nowy nastrój), czuła odrazę; z drugiej strony bywała w kinie jeszcze częściej niż przedtem i wychodziła stamtąd rozgorączkowana i niespokojna. Nie widziała żadnego związku między krzywym zwierciadłem ekranu a własnym życiem; nie potrafiła połączyć w całość tego, czego chciała dla siebie, i tego, co jej proponowano.

Kobieta po trzydziestce, posiadająca „dobre” państwowe wykształcenie, żyjąca wygodnie w kulturalny, cywilizowany sposób i mająca dostęp do całej wiedzy i nauki swoich czasów (tyle że nic nie czytała poza kiepskimi powieściami), tak niewiele wiedziała o sobie samej, że została kompletnie wytracona z równowagi przez obmawiające ją koleżanki, gdy te orzekły, że powinna wyjść za mąż.

Wtedy poznała Dicka Turnera. To mógł być zresztą każdy mężczyzna, wystarczyło, by ją traktował jak ósmy cud świata. Bardzo tego potrzebowała. Odzyskanie poczucia

wyższości nad mężczyznami, które w końcu przez tak wiele lat leżało u podstaw jej życia, było dla niej konieczne.

Poznali się w kinie. On przyjechał na jeden dzień ze swojej farmy. W mieście bywał bardzo rzadko, tylko gdy musiał kupić coś, czego nie było w lokalnym sklepie, co się zdarzało raz, może dwa razy do roku. Tym razem przypadkiem spotkał znajomego, którego nie widział od lat, i ten namówił go na pozostanie na noc i wspólny wypad do kina. Dick był zdziwiony, że się na to zgodził, tak bardzo nie było to w jego stylu. Ciężarówka z ładunkiem, składającym się z worków ziarna i dwóch bron, wyglądała dość dziwnie pod kinem. Mary, widząc wtedy te obce dla niej rzeczy, uśmiechnęła się. Nie mogła się powstrzymać. Kochała miasto, czuła się w nim bezpiecznie, a wieś kojarzyła się jej z dzieciństwem ze względu na te małe osady, w których mieszkała, otoczone całymi milami pustki – niekończącymi się przestrzeniami *veldu*.

Dick Turner z kolei nie lubił miasta. Kiedy przyjeżdżał z *veldu*, który znał dobrze, czuł się nieswojo, jadąc przez brzydkie przedmieścia, wyglądające jak wyjęte z katalogu budowlanego; chaotyczna zabudowa, pozbawiona wszelkiej więzi z twardą, brązową afrykańską ziemią i błękitnym nieboskłonem; wygodne domeczki na wygodnych przedmieściach. Jeszcze gorzej było w handlowej części miasta, wśród sklepów z modnymi strojami dla eleganckich kobiet i wykwinną importowaną żywnością. Nawiedzały go tu wprost mordercze myśli.

Cierpiał z powodu klaustrofobii. Miał ochotę uciec. Albo uciec, albo rozwalić wszystko w drobny mak. Jak najszybciej zatem wracał na farmę, gdzie czuł się na miejscu.

Tysiące ludzi w Afryce ledwo zauważyłoby różnicę, gdyby ich przenieść z jednego przedmieścia na przedmieście znajdujące się w innej części świata. Przedmieście jest czymś niepokonanym i ostatecznym jak fabryki i nawet

piękna Południowa Afryka – do której ziemi wyjątkowo nie pasują te uładzone dzielnice, rozpełzające się jak choroba – nie może od nich uciec. Dick Turner dziwił się, że w ogóle można tu żyć, i bolał nad tym, że tego rodzaju zabudowa przestrzenna niszczy jego Afrykę, aż chciało mu się kłać szpetnie, burzyć i mordować. Po prostu nie mógł znieść tego widoku. Nigdy o tym nie mówił; prowadząc taki, a nie inny tryb życia, odzwyczaił się od słów. Cały dzień spędzał na polach. Ale nienawiść do skupisk ludzkich była najsilniejszym znanym mu uczuciem. Mógłby niemal mordować bankierów, finansistów, potentatów przemysłowych i ich urzędników – wszystkich tych, którzy budowali przyzwoite małe domki z żywopłotami i ogródkami pełnymi angielskich kwiatów.

Przede wszystkim zaś nie znosił kina. Siedząc w sali, zastanawiał się, co go podkusiło, że zgodził się przyjść. Nie umiał się skupić na tym, co działo się na ekranie. Długonogie piękności o gładkich buziach nudziły go; fabuła wydawała się bez sensu. Po chwili w ogóle przestał zwracać uwagę na film i zaczął rozglądać się po widowni. Przed nim, za nim i obok były rzędy i rzędy ludzi wpatrzonych w ekran, wprost wyrywających się do niego; widzowie oddalali się od swoich ciał i przeżywali życie jakichś durniów robiących idiotyczne miny. Denerwowało go to.

Kręcił się niespokojnie i w końcu zapalił papierosa, gapiąc się na ciemną aksamitną portierę, zasłaniającą wyjście. Patrząc wzdłuż swego rzędu, w padającej z góry smudze światła ujrzał krągłość policzka i pasmo jasnych, lśniących włosów. Twarz kobiety zdawała się unosić w powietrzu; zwrócona ku górze, w zielonkawej poświacie była złota. Szturchnął siedzącego obok znajomego i spytał: „Kto to jest?”. „Mary” – padła odpowiedź po krótkim spojrzeniu. Nie na wiele się ona Dickowi zdała. Gapił się na tę cudowną, zawieszoną w powietrzu twarz i rozpuszczone



włosy, a kiedy seans się skończył, szukał jej niecierpliwie w wychodzącym tłumie. Nie dostrzegł jej. Zapewne wyszła już z kimś. Poproszono go, by odwiózł do domu dziewczynę, na którą ledwo spojrział. Jego zdaniem była ubrana dziwacznie; chciało mu się śmiać z wysokich obcasów, stukających głośno, gdy szła obok niego. Siedząc w samochodzie, obejrzała się i zobaczywszy stos rzeczy na pace, spytała nienaturalnym, afektowanym głosem:

– A co to tam takiego dziwnego z tyłu?

– Nigdy nie widziałaś brony? – zapytał.

Bez większego żalu rozstał się z nią pod dużym domem pełnym ludzi i światła. Natychmiast o niej zapomniał.

Marzył wciąż o tamtej młodej, uniesionej twarzy i falujących, lśniących włosach. Marzenie o kobiecie było jednak niedozwolonym luksusem, sam sobie tego zabronił. Od pięciu lat zajmował się farmerstwem i jeszcze niczego się nie dorobił. Ponieważ nie dysponował żadnym kapitałem, był zadłużony w banku i miał poważnie obciążoną hipotekę. Wyrzekł się alkoholu i papierosów, kupował tylko rzeczy naprawdę niezbędne. Pracował tak, jak pracować może jedynie człowiek opętany wizją, od szóstej rano do siódmej wieczorem. Posiłki jadał w polu, skoncentrowany był wyłącznie na farmie. Bardzo chciał się ożenić i mieć dzieci, ale nie mógł wymagać od żadnej kobiety, aby dzieliła z nim takie życie. Najpierw trzeba wyjść z długów, zbudować dom i zapewnić rodzinie podstawowe wygody. Od lat ciężko pracował, marząc, aby kiedyś móc rozpieszczać żonę. Dokładnie wiedział, jaki dom by zbudował – żaden tam idiotyczny klocek wystający z ziemi. Chciał mieć wielki, kryty strzechą dom z szerokimi, otwartymi werandami. Wybrał już nawet mrowisko, które rozkopie, żeby zrobić cegły, i sprawdził, gdzie na terenie farmy rośnie najwyższa trawa, wyższa niż wysoki mężczyzna, nadająca się na strzechę. Wyglądało jednak na to, że do spełnienia marzeń jeszcze

daleko. Prześladował go pech. Okoliczni farmerzy, o czym dobrze wiedział, nazywali go Jonaszem. Jeśli była susza, on najbardziej na tym cierpiał; jeśli lały deszcze, na jego farmie odbijało się to najmocniej. Jeśli danego roku decydował się na uprawę bawełny, następował spadek cen na bawełnę, a jeśli gdzieś w okolicy grasował rój szarańczy, to Dick od razu mógł z rozpaczą oczekiwać, że przyleci prosto do jego najlepszej kukurydzy. Wreszcie obniżył nieco poprzeczkę. Czuł się samotny, chciał mieć żonę, a przede wszystkim dzieci; jeśli zaś tak dalej pójdzie, to przez wiele jeszcze lat się ich nie doczeka. Zaczął więc planować, że spłaci część hipoteki, dobuduje do domu pokój, może dokupi trochę mebli, i pomyśli o ożenku. Cały czas pamiętał dziewczynę z kina. Jej obraz towarzyszył mu podczas pracy, był obecny w myślach. Klął się za to, wiedząc dobrze, że myślenie o kobietach, zwłaszcza o jednej kobiecie, jest równie niebezpieczne jak alkohol, ale to nic nie pomagało. W miesiąc po pamiętnej wyprawie do miasta zaczął planować następną. Nawet już nie wmawiał sobie, że jest konieczna. Po przyjeździe szybko uporał się z drobną sprawą, którą miał do załatwienia, i ruszył na poszukiwanie kogoś, kto by mu powiedział, jakie „Mary” nosi nazwisko.

Kiedy podjechał pod duży dom, rozpoznał go, ale jeszcze nie skojarzył dziewczyny, którą odwiózł tamtego wieczoru, z tamtą zapamiętaną z kina. Nawet gdy podeszła do drzwi i przyglądała mu się, stojąc w holu, nie poznał jej. Widział zwykłą, wysoką, szczupłą dziewczynę o intensywnie niebieskich, jakby zranionych oczach, które unikały jego spojrzenia. Włosy miała ciasno związane, ubrana była w spodnie. Kobiety noszące spodnie nie były jego zdaniem kobiece; miał dość staroświeckie poglądy. Nieśmiało spytała: „Czy to mnie pan szuka?” nieco zdziwionym głosem. Od razu przypomniał sobie ten sam głos, idiotycznie pytający o brony, i popatrzył z niedowierzaniem. Był tak roz-

czarowany, że zaczął się jąkać i przestępować z nogi na nogę. Potem pomyślał, że nie może tak bez końca stać, więc spytał, czy wybrałaby się z nim na przejażdżkę. Nie był to przyjemny wieczór. Dick złościł się na siebie za to, że tak się nabrał, i za własną słabość. Mary jego wizyta sprawiła przyjemność, była też ciekawa, czemu ją odnalazł. Tymczasem on, odkąd wsiadła do jego samochodu, prawie się nie odzywał i tak jeździli bez celu. Bardzo chciał znowu zobaczyć w niej dziewczynę, której obraz go nawiedzał w myślach, i w końcu udało mu się, zanim ją odwiózł do domu. Kiedy mijali uliczną latarnię, rzucił na kobietę przelotne spojrzenie i wtedy światło znów wydobyło to coś pięknego i niezwykłego z normalnej, średnio atrakcyjnej twarzy. Tak ważne było dla niego, żeby kogoś kochać, że od tej chwili zaczęła mu się podobać; dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest samotny. Tego wieczoru odjeżdżał z prawdziwym żalem, zapowiadając, że wkrótce znów się zjawi.

Po powrocie na farmę zaczął czynić sobie wyrzuty. Jeśli nie będzie uważał, skończy się na małżeństwie, a na to nie mógł sobie pozwolić. A zatem koniec! Zapomni o niej, przestanie o niej myśleć. Poza tym co on o niej wie? Zupełnie nic! Z wyjątkiem tego, że pewnie jest, jak to określał, „rozpieszczoną pannicą”. Nie była typem kobiety nadającej się do dzielenia ciężkiego życia farmera. Przekonywał sam siebie, pracował jeszcze więcej niż zwykle, ale czasami myślał też: „W końcu, jeśli ten rok będzie dobry, mogę pojechać raz jeszcze i się z nią spotkać”. Po całym dniu pracy odbywał dziesięciomilowe spacerki ze strzelbą, żeby się jeszcze bardziej zmęczyć. Zaharowywał się, schudł i zmarniał. Walczył ze sobą przez dwa miesiące, aż w końcu pewnego dnia wsiadł do samochodu, jakby planował to od dawna i jakby cały ten wysiłek fizyczny i samodyscyplina były jedynie zasłoną dymną, skrywającą rzeczywiste intencje. Ubierając się, pogwizdywał zawadiacko, ale z nutką

przygnębienia; po jego twarzy błąkał się dziwny, trochę przegrany uśmieszek.

Jeśli chodzi o Mary, to te dwa miesiące były jednym wielkim koszmarem. Przyjechał do niej taki szmat drogi po tym, jak widział ją zaledwie przez pięć minut, a potem, spędziwszy z nią wieczór, już się więcej nie pofatygował. Przyjaciółki miały rację – czegoś jej brakowało. Coś z nią było nie tak. Uchwyciła się myśli o nim, mimo przekonania, że nie nadaje się do niczego, że jest bezwartościowym, żalonym stworzeniem, którego nikt nie chce. Przestała wychodzić wieczorami i zamykała się w pokoju, czekając na jego przyjazd. Siedziała godzinami, smutna i apatyczna; w nocy miewała długie ponure sny, w których przedzierała się przez piasek albo wchodziła po schodach, zawalających się zaraz po tym, jak dotarła na górę, i spadała wtedy na sam dół. Budziła się rano zmęczona i w depresji, niezdolna stawić czoła nowemu dniowi. Szef, przyzwyczajony do jej zwykłej pracowitości, kazał jej wziąć urlop i nie pojawiać się w pracy, dopóki nie odzyska pełni sił. Wychodząc z biura, czuła się tak, jakby ją wyrzucono (choć w rzeczywistości szef bardzo przyzwoicie się zachował wobec jej załamania nerwowego), i cały dzień przesiedziała w klubie. Gdyby wyjechała na odpoczynek, mogłaby minąć się z Dickiem! A jednak kim był dla niej Dick, doprawdy? Nikim. Ledwo go znała. Ogorzały od słońca, spokojny, uważnie patrzący na świat młody człowiek do wzięcia, który nagle i niespodziewanie pojawił się w jej życiu. To wszystko, co mogła o nim powiedzieć. A jednak gotowa była przyznać się przed sobą, że to przez niego wpędziła się w chorobę. Cały jej niepokój, to trudno sprecyzowane poczucie, że jest do niczego, wiązało się z nim, a kiedy ze strachem zadawała sobie pytanie, dlaczego miałby to być on, a nie inny mężczyzna, nie znajdowała zadowalającej odpowiedzi.

Pewnego wieczoru – parę tygodni po tym, jak straciwszy nadzieję, poszła w końcu do lekarza po jakieś leki, ponieważ „czuła się zmęczona” i kazano jej wziąć urlop, jeśli chce uniknąć całkowitego załamania; kiedy jej niedola sięgnęła takiego dna, że nie była w stanie spotykać się z dawnymi przyjaciółkami z powodu swojej obsesji, że ich przyjaźń jest tylko przykrywką dla złośliwych plotek i szczerzej niechęci wobec niej – zawołano ją na dół. W ogóle nie pomyślała o Dicku. Na jego widok musiała ze wszystkich sił się opanować, żeby przywitać go spokojnie; gdyby okazała emocje, mógłby się do niej zrazić. On do tego czasu zdołał przekonać samego siebie i głęboko uwierzyć, że Mary jest osobą spokojną, praktyczną, zdolną do przystosowania się, której wystarczy kilka tygodni pobytu na farmie, żeby stała się taka, jaką chciałby ją widzieć. Histeria i łzy by go zszokowały, zniszczyły wizję tej kobiety.

Oświadczył się zatem Mary sprawiającej wrażenie spokojnej, kobiecej i macierzyńskiej. Był pełen uwielbienia, pokorny i wdzięczny, kiedy go przyjęła. Dzięki specjalnej licencji pobrali się dwa tygodnie później. Niespodzianką było dla niego jej życzenie, by ślub odbył się jak najszybciej. W jego oczach była kobietą zajętą i popularną, cieszącą się ugruntowaną pozycją w życiu towarzyskim miasta i sądził, że załatwienie różnych spraw zajmie jej trochę czasu; takie wyobrażenie o niej zwiększało atrakcyjność narzeczonej w jego oczach. Ale szybki ślub jak najbardziej mu odpowiadał. Przynajmniej nie będzie musiał tkwić w mieście i tracić czasu na te wszystkie fanaberie ze strojami i druhnami. Podróż poślubnej nie było. Wyjaśnił, że jest biedny i nie może sobie na to pozwolić, ale jeśli ona bardzo nalega, to zrobi, co w jego mocy. Nie nalegała. Z wielką ulgą przyjęła wiadomość, że nie udadzą się w podróż poślubną.

## Rozdział 3

Z miasta do farmy było daleko – dobrze ponad sto mil; dawno już zapadła noc, kiedy oznajmił, że wjechali na teren posiadłości. Gdy Mary, która już przysypiała, uniosła głowę, ujrzała ciemny zarys niskich drzew, wyglądających jak wielkie, miękkie ptaki przelatujące obok samochodu; za nimi ciągnęło się zamglone lekko niebo pełne gwiazd. Pod wpływem zmęczenia ciało Mary rozluźniło się, napięcie nerwów zelżało. Po kilkumiesięcznym okresie niepokoju przyszedł czas na poddanie się losowi, graniczące niemal z obojętnością. Pomyślała, że przyjemnie będzie dla odmiany pożyć spokojnie. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo jest zmęczona dotychczasowym życiem, nastawionym na ciągłe szukanie czegoś nowego. Powtarzała z determinacją, chcąc sobie to lepiej uzmysłowić, że „będzie bliżej natury”. Takie sformułowanie miało ukryć niechęć do bezkresnej pustki *veldu*. „Bycie bliżej natury”, znane głównie z sentymentalnych powieści, było raczej kojącą abstrakcją. Mieszkając w mieście, w weekendy często wyjeżdżała na pikniki w towarzystwie rówieśników. Siedzieli wtedy cały dzień w cieniu, na ciepłych kamieniach, słuchając amerykańskiej muzyki tanecznej, odtwarzanej z płyt na przenośnym gramofonie. To też było uważane za „bycie

bliżej natury”. „Miło wyrwać się z miasta”, mawiała. Ale jak to się często dzieje, słowa te nie miały wiele wspólnego z tym, co naprawdę czuła; zawsze z wielką ulgą wracała do mieszkania i kranu z zimną i ciepłą wodą, do ulic i biura.

A jednak będzie panią na swoim. Po to wychodziły za mąż przyjaciółki – żeby mieć własny dom i żeby nikt im nie mówił, co powinny robić. Miała niejasne poczucie, że postąpiła słusznie, wychodząc za mąż; wszyscy mieli rację. Patrząc bowiem wstecz, odnosiła wrażenie, że wszyscy znajomi, mniej lub bardziej dyskretnie, popychali ją do małżeństwa. Zamierzała być szczęśliwa, choć nie miała w gruncie rzeczy pojęcia, jakie życie ją czeka. Bieda, o której uprzedzał pełen skrupułów i upokorzony tym Dick, też była abstrakcją, niemającą nic wspólnego z chudymi latami dzieciństwa. Chciała ją widzieć raczej jak upajającą walkę z przeciwnościami.

Samochód wreszcie stanął, i wtedy rozbudziła się całkiem. Księżyc skrył się za świetlistą chmurą i nagle zrobiło się bardzo ciemno – całe mile ciemności pod gwiaździstym niebem. Dokoła rosły drzewa, przysadziste i niskie, typowe dla tych terenów, sprawiające wrażenie, jakby zniekształciło je gorąco bijące od słońca; ciemne, niewyraźne obecności wokół niewielkiej polany, na której zatrzymał się samochód. Stał tu niewielki kwadratowy budynek z dachem z falistej blachy, która błysnęła bielą, gdy księżyc wychynął zza chmury i zalał polanę swym światłem. Mary wysiadła, a Dick objechał dom, żeby odstawić samochód. Rozejrzała się, drżąc lekko w chłodnym podmuchu dochodzącym od strony drzew, za którymi w kotlinie wisiała zimna biała para. Początkowo panowała zupełna cisza, potem krzaki rozbrzęczały się, jakby w chwili przyjazdu ludzi zamieszkujące je tajemnicze stwory zamarły czujnie, a teraz wróciły do swoich spraw. Spojrzała na dom. Był zamknięty, ciemny i pewnie duszny w środku, zalany światłem księżyca. Od-

dała się nieco w stronę drzew, trzymając się kamiennego murku połyskującego jasno w mroku. Gdy podeszła bliżej, okazało się, że drzewa są dość wysokie. Rozległ się niesamowity krzyk ptaka, nocny zew natury. Odwróciła się i przestraszona pobiegła z powrotem, jakby poczuła na sobie wrogi oddech innego świata, płynący właśnie od strony drzew. Potknęła się, biegnąc po nierównym gruncie w butach na obcasach, ale odzyskała równowagę. Usłyszała poruszenie i gdakanie domowego ptactwa obudzonego światłami samochodu, i ten swojski dźwięk podniósł ją na duchu. Stała przed domem i dotknęła rośliny w blaszanej puszcze na murku werandy. Na palcach pozostał cytrynowy zapach geranium. W ścianie pojawił się prostokąt światła, a w nim wysoka, lekko pochylona postać Dicka, oświetlonego słabym blaskiem trzymanej w ręku świecy. Weszła po schodkach i stanęła w drzwiach. Dick gdzieś zniknął, zostawiając świecę na stole. W żółtawym świetle pokój wydawał się bardzo mały i niski; sufit stanowiła blacha falista widziana na zewnątrz. Panował tu silny zatechły zapach, jakby zwierzęcy. Dick wrócił z puszką po kakao, spłaszczoną z jednej strony tak, że tworzyła lejek, i wszedł na krzesło, żeby napełnić wiszącą lampę. Tłusta parafina kapnęła na podłogę, zostawiając ślad, jej zapach był lekko mdły. Lampa rozbłysła, przez chwilę płonęła jasno, potem światło zmalowało do niewielkiego żółtego płomyczka. Teraz Mary wyraźnie zobaczyła skóry na czerwonej ceglanej podłodze: jakiś dziki kot, może lampart, i wielka brązowa antylopa. Usiadła, wystraszona dziwnością otoczenia. Dick szukał w jej twarzy śladów rozczarowania; doskonale o tym wiedziała i zmusiła się do uśmiechu, choć aż słabo się jej zrobiło od złych przeczuć. Ciasny, duszny pokój, ceglana podłoga i kopcząca tłusto lampa nie były tym, co sobie wyobrażała przed przyjazdem tutaj. Zadowolony Dick uśmiechnął się z wdzięcznością i powiedział: „Napijemy



się herbaty”. Znowu zniknął. Gdy wrócił, stała przy ścianie, patrząc na dwa obrazki. Elegancka dama z różą w ręku, wycięta z pudełka czekoladek, oraz dziecko mniej więcej sześćioletnie na ilustracji wydartej z kalendarza.

Dick zaczerwienił się i zerwał obrazki ze ściany. „Od dawna na nie nie patrzę”. Mówiąc to, podarł je na kawałki. „Ależ zostaw”, zaprotestowała, czując się jak intruz w intymnym życiu tego mężczyzny. Te dwa obrazki, przyczepione byle jak pinezkami do ściany, uświadomiły jej jego samotność; teraz zrozumiała pośpiech przy oświadczeniach i to, że naprawdę jej potrzebował. Ale czuła się obco, wobec czego nie była w stanie sprostać jego potrzebom. Spojrzała na śliczną, okoloną loczkami dziecięcą buzię przedartą na pół, leżącą na podłodze, gdzie ją rzucił. Podniosła obrazek i pomyślała, że pewnie Dick lubi dzieci. Nie rozmawiali o nich, w ogóle niewiele ze sobą rozmawiali, nie było na to czasu. Razity ją skrawki na podłodze, więc rozejrzała się za koszem na śmieci, ale Dick zabrał je od niej, zmiął i cisnął w kąt. „Możemy powiesić coś innego”, powiedział nieśmiało. Ta jego nieśmiałość i uległość sprawiały, że było jej łatwiej. Budził w niej uczucia opiekuńcze i wzruszał ją – kiedy był zawstydzony tak jak teraz – a wtedy przestawała myśleć o nim jak o ślubnym małżonku, który miał do niej prawo. Spokojnie usiadła przy tacy z herbatą i czekała. Na cienkiej blasze leżała poplamiona, podarta serwetka, a na niej stały dwie duże wyszczerbione filiżanki. Ogarnęła ją fala niesmaku, ale gdy usłyszała: „Teraz to twoja rola”, wzięła czajnik i nalała herbaty, czując na sobie jego wzrok pełen dumy i zachwyty.

Oto jest z nim kobieta, zdobiąca to ubogie domostwo swoją obecnością! Wprost rozpierało go uniesienie. Wydało mu się teraz, że był głupcem, żyjąc tak długo samotnie i snując plany na odległą przyszłość, która okazała się w zasięgu ręki. Gdy jednak spojrzął na miejski strój Mary, buty

na obcasach, pomalowane na czerwono paznokcie, znowu poczuł zakłopotanie. Aby je ukryć, opowiedział o domu, wyraźnie wstydzając się ubóstwa. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Mówił, jak sam układał cegły, choć nie miał pojęcia o murarce, ale chciał oszczędzić na wynagrodzeniu dla majstra; jak pomahał sam wszystko urządzać: najpierw wstał łóżko i skrzynkę, która zastępowała mu stół. Potem jeden sąsiad ofiarował mu prawdziwy stół, inny krzesło, i z wolna dom nabierał lepszego wyglądu. Szafki zrobił ze skrzynek po benzynie, pomalował je i dał kwieciste zasłonki z materiału. Nie było drzwi między tym pokojem a sąsiednim, wisiała między nimi ciężka zasłona z workowego płótna, haftowana czarną i czerwoną wełną przez żonę Charliego Slattera z sąsiedniej farmy. Mary poznała historię każdej rzeczy i dowiedziała się, że wszystko to, co jej się wydało żałosne i nędzne, dla niego było zwycięstwem w życiowej walce. Ogarniało ją wrażenie, że siedzi nie we własnym domu z mężem, ale z matką, obserwując jej niewyczerpaną pomysłowość, jeśli chodzi o łatanie i naprawianie. Nie mogąc dłużej tego znieść, podniosła się niezgrabnie. Przyszło jej nagle do głowy, że ojciec przeklął ją zza grobu i zmusił do powrotu do takiego życia, do jakiego zmuszał jej matkę.

– Chodźmy do tamtego pokoju – powiedziała szorstko.

Dick również się podniósł, zdziwiony i urażony, że przerwano mu opowiadanie w połowie. „Tamten pokój” był sypialnią. Na ścianie wisiała szafka, też z haftowaną zasłonką, i kilka półek; na skrzynce po nafcie ustawione było lustro; stało tu także łóżko, które Dick kupił z okazji ślubu. Takie jak trzeba, staroświeckie, wysokie i masywne, jak jego wizja małżeństwa. Kupił je na wyprzedaży, a płacąc, czuł się jak w siódmym niebie.

Zrobiło mu się jej żal, gdy z mocno nieszczęśliwą miną

rozglądała się niepewnie, odruchowo przykładając rękę do ust. Zostawił ją, żeby się rozebrała. Sam zdjął ubranie po drugiej stronie zasłony, znowu doznając gorzkiego poczucia winy. Nie miał prawa się żenić, nie miał prawa, nie miał prawa. Powtarzał to w kółko pod nosem, torturując się tymi słowami. Kiedy zapukawszy wstydliwie w ścianę, wszedł do sypialni, Mary leżała w łóżku, odwrócona plecami. Zbliżył się z nieśmiałym uwielbieniem, co było jedynym rodzajem kontaktu, jaki mogła znieść.

Nie było tak źle, pomyślała po wszystkim. Nie było tak bardzo źle. Nie zrobiło to na niej wrażenia, żadnego. Spodziewając się przerażenia i wstrętu, z ulgą przyjęła fakt, że nie czuje nic. Była w stanie prawdziwie po macierzyńsku ofiarować samą siebie temu pokornemu, obcemu człowiekowi i pozostać nietknięta. Kobiety mają nadzwyczajną zdolność wycofywania się w siebie podczas relacji seksualnej; pozostają na nią odporne, a mężczyźni wówczas czują się zawiedzeni i zranieni, choć nie mają konkretnych powodów do skargi. Mary nie musiała się tego uczyć, ponieważ było to dla niej naturalne, a przede wszystkim dlatego, że niczego nadzwyczajnego nie oczekiwała; w każdym razie nie od tego mężczyzny, który w swojej cielesności siłą rzeczy był żaloszny – w przeciwieństwie do istoty z jej wyobraźni, wyposażonej w ręce i usta, ale poza tym odcieleśnionej. A jeśli Dick poczuł się odrzucony i osadzony na miejscu jak tępą brutal, to poczucie winy szeptało mu, że na nic więcej nie zasłużył. Może on musiał czuć się winny? Może to nie było wcale złe małżeństwo? Istnieje wiele par, w których oboje, pogubieni i zwichrowani wewnętrznie, dobrani są pod tym względem, że unieszczęśliwiają się wzajemnie w taki sposób, jakiego nauczyło ich wcześniejsze życie. W każdym razie, kiedy Dick wychylił się z łóżka, by zgasić lampę, i zobaczył

pantofelki na obcasie leżące na skórze lamparta, którego zastrzelił rok wcześniej, powtórzył sobie znowu, ale tym razem z dreszczem satysfakcji wynikającej z upokorzenia: „Nie miałem prawa”.

Patrząc na tańczący na ścianie odblask gasnącego płomienia lampy, ogarniający ściany, dach i lśniące szyby, Mary zasnęła, ściskając opiekuńczo rękę męża, jak dłoń dziecka, które zraniła.

## Rozdział 4

Kiedy się obudziła, była sama, a z tyłu domu dobiegał dźwięk gongu. Drzewa za oknem skąpane były w łagodnym złotym świetle, jasnoróżowe plamy słońca kładły się na białych ścianach, czyniąc wyraźniej widoczną szorstką fakturę pobiałą. Stopniowo stawały się coraz intensywniej żółte, zalewając złotem pokój, który wydawał się teraz jeszcze mniejszy, niższy i bardziej nieprzytulny niż w nocy, w przyćmionym świetle lampy. Niebawem wszedł Dick, jeszcze w piżamie. Dotknął jej policzka, a wtedy poczuła chłód poranka na jego skórze.

- Dobrze spałaś?
- Tak, dziękuję.
- Zaraz będzie herbata.

Byli wobec siebie uprzejmi i niezręczni, wypierając ze świadomości nocne kontakty. Siedząc na skraju łóżka, Dick jadł herbatniki. Służący wniósł tacę i postawił na stole.

– To twoja pani – powiedział do niego Dick. – Mary, to jest Samson.

Ze wzrokiem utkwionym w podłogę Samson odrzekł:

– Dzień dobry, pani. – Potem dodał uprzejmie pod adresem Dicka, jakby się tego po nim spodziewano: – Bardzo dobrze, bardzo dobrze, panie.

Dick zaśmiał się.

– Samson zajmie się wszystkim. Nie jest zły, stary świntuch.

Mary nieco zdziwiła ta uwaga; później stwierdziła, że to tylko takie gadanie, i uspokoiła się. Była jednak lekko zniechęcona i pomyślała: „A za kogo o n się uważa?”. Dick natomiast, kompletnie tego nieświadom, czuł się idiotycznie wprost szczęśliwy.

W pośpiechu wypił dwie filiżanki herbaty i poszedł się ubrać, po czym już w szortach koloru khaki i koszuli, wrócił pożegnać się przed wyjazdem w pole. Kiedy już poszedł, Mary wstała i rozejrzała się po domu. Samson sprzątał w pokoju, w którym siedzieli wieczorem, i wszystkie meble zostały zepchnięte na środek, wyszła więc na werandę, będącą po prostu przedłużeniem blaszanego dachu, podtrzymywanym przez trzy słupy z cegły połączone niskim murkiem. W puszkach po benzynie, z których obłaziła ciemnozielona farba, rosło geranium i inne kwitnące rośliny. Przed werandą ciągnęła się połać jasnego piasku, a dalej karłowate krzaki, nachylone w stronę *vlei*\* porośniętej wysoką lśniąca trawą. Jeszcze dalej ciągnął się busz, falujące kotliny i wzniesienia, a na horyzoncie widniały wzgórza. Zobaczyła, że dom został zbudowany na niedużym wzniesieniu, którego stok przechodził w spore zagłębienie szerokości kilku mil, otoczoną wzgórzami – błękitnymi, zamglo-nymi i pięknymi, do których od strony frontu było dość daleko, natomiast z tyłu domu całkiem blisko. Pomyślała, że na takim zamkniętym terenie pewnie bywa gorąco. Przysłoniwszy dłońią oczy, spojrzała na kotlinę, podziwiając bujne zielone listowie, ciągnące się w nieskończoność łany brązowej, w słońcu połyskującej złoto trawy i jaskrawobłękitne niebo. Śpiewał chór ptaków, kaskada donośnych dźwięków, jakich nigdy dotąd nie słyszała.

---

\* *Vlei* – kotlina.

Przeszła się wokół domu. Okazało się, że jest prostokątny. Obydwa pokoje od frontu już widziała, za nimi była kuchnia, pomieszczenie gospodarcze i łazienka. Na końcu krótkiej ścieżki, oddzielona pasem wysokiej trawy, stała wąska budka służąca za ustęp. Obok wzniesiono kurnik; po sporym terenie ogrodzonym drutem chodziły chude, białe kury; w twardej gołej ziemi grzebało też kilka gulgoczających indyków. Weszła do domu od tyłu, przez kuchnię, gdzie stała kuchenka na drewno i masywny stół zajmujący pół pomieszczenia. Samson w sypialni słał łóżko.

Nigdy przedtem nie miała do czynienia z krajowcami jako pracodawczyni. Ze służącymi matki nie wolno jej było rozmawiać; kelnerów w klubie traktowała uprzejmie; „problemy z tubylcami” sprowadzały się dla niej do utyskiwania przyjaciółek na służbę. Oczywiście, bała się tubylców. Wszystkie kobiety w Południowej Afryce są w ten sposób wychowywane. W dzieciństwie zabraniano jej chodzić daleko samej, a kiedy pytała, dlaczego, mówiono zniżonym, rzeczowym głosem, jaki zawsze kojarzyła z matką, że tubylcy są niedobrzy i mogą zrobić straszne rzeczy.

Teraz sama musi radzić sobie z krajowcami – z góry zakładała, że będzie to niełatwe. Nie zachwycąło jej to, ale też nie chciała, by ktoś się do niej wtrącał. Na razie gotowa była polubić Samsona, który okazywał jej szacunek i miał sympatyczną twarz. Kiedy weszła do sypialni, zapytał: „Pani chce zobaczyć kuchnię?”.

Miała nadzieję, że to Dick ją oprowadzi po domu, ale widząc szczerą ochotę służącego, wyraziła zgodę. Idąc przodem na bosaka, pokazywał jej kolejne pomieszczenia. Otworzył spiżarnię – mroczną izbę z wysoko umieszczonym oknem, wypełnioną wszelkiego rodzaju zapasami, gdzie na podłodze stały duże metalowe puszki na cukier, mąkę i mączkę kukurydzianą.

– Pan trzyma klucze – wyjaśnił, a ją rozbawiła ta rzeczowa informacja o tym, co robi pan, żeby on nie kradł.

Między Dickiem a Samsonem panowało idealne porozumienie. Dick trzymał wszystko pod kluczem, ale do dyspozycji służącego zostawiał wszystkiego o jedną trzecią więcej, niż potrzeba, i to było do użytku Samsona, który przywłaszczania sobie nadwyżki wcale nie uważał za kradzież. Ale że w kawalerskim gospodarstwie nie za bardzo było co kraść, Samson liczył na lepsze czasy teraz, gdy pojawiła się kobieta. Grzecznie i z szacunkiem pokazał Mary skromne zapasy ścierek i obrusów i różne sprzęty, objaśnił, jak działa piecyk, zaprowadził na tył domu, gdzie leżał stos drewna opałowego. Zupełnie jakby był wiernym stróżem przekazującym klucze prawowitej właścicielce. Na jej prośbę zademonstrował także stare ostrze pługa, zawieszane na konarze nad stosem drewna. Uderzano weń rdzewiejącym sworzniem z wagonu kolejowego, również wiszącym na drzewie. Ten dźwięk usłyszała, obudziwszy się rano. Gong rozbrzmiewał o wpół do szóstej, aby obudzić robotników w osadzie, a potem o dwunastej trzydzieści i o drugiej, na początek i koniec przerwy obiadowej. Był to mocny, dźwięczny i przenikliwy odgłos, który niósł się na kilka mil.

Wróciła do domu, a służący zajęli się przygotowywaniem śniadania. Śpiew ptaków cichł już, co zwiastowało zbliżający się upał. O siódmej rano Mary miała wilgotne czoło i lepkie ręce.

Dick wrócił pół godziny później. Ucieszył się na jej widok, ale też był czymś zaaferowany. Poszedł do kuchni i skrzyczał Samsona w języku fanagalo. Nie zrozumiała ani słowa. Gdy do niej wrócił, powiedział:

– Ten stary dureń znowu wypuścił psy. A mówiłem, żeby tego nie robił.

– Jakie psy?



Wyjaśnił:

– Gdy mnie nie ma, szaleją i uciekają na wyprawy łowieckie. Czasami nie wracają przez kilka dni. Jak tylko wyjeżdżam, on zaraz je wypuszcza, a w buszu jest dla nich niebezpiecznie. Ten drań jest leniwy i nie chce mu się ich karmić.

Usiadł ciężko, milczał podczas jedzenia, zdenerwowany i spięty. Siedzarka się zepsuła, od wozu na wodę odpadło koło, gdyż w drodze pod górę miał zaciągnięty hamulec. A wszystko to z powodu czystej bezmyślności. Znowu tkwił w tym wszystkim po uszy, jak zwykle poirytowany i bezsilny wobec nieudolności i niekompetencji, którą nikt poza nim się nie przejmował. Mary się nie odzywała. Dla niej wszystko to było obce.

Zaraz po śniadaniu wziął kapelusz z krzesła i znów wyszedł. Mary poszukała książki kucharskiej i zabrała ją do kuchni. Psy wróciły późnym rankiem, dwa wielkie kundły, potulne i grzeczne wobec Samsona, skruszone z powodu swojej włóczęgi. Ją zignorowały całkowicie, traktując jak obcą. Łapczywie napiły się wody, rozlewając ją po podłodze kuchni, po czym poszły spać na skórkach we frontowym pokoju, wydzielając intensywny zapach krwawych łowów w buszu.

Kiedy skończyła już swoje kulinarne eksperymenty – Samson przyglądał się jej poczynaniom z uprzejmą wyrozumiałością – usiadła na łóżku z podręcznikiem fanagalo. Z pewnością była to pierwsza rzecz, jakiej powinna się nauczyć; Samson najwyraźniej jej nie rozumiał.

## Rozdział 5

Ze swoich oszczędności kupiła kwiecisty materiał, poszyła zasłony i powłoczki na poduszki; kupiła trochę bielizny stołowej, naczyń i materiał na sukienki. Dom pomału wychodził z zaniedbania i nędzy, stawał się coraz bardziej miły i przytulny dzięki jasnym firankom i nowym obrazkom. Mary bardzo się starała; zależało jej na podziwie Dicka, gdy wracał z pracy i zauważał zachodzące zmiany. Miesiąc po przybyciu przeszła się po domu i przekonała, że nic więcej nie da się zrobić. Poza tym nie było już pieniędzy.

Łatwo przywykła do nowego rytmu życia. Zmiana była tak ogromna, że sama Mary czuła się odmieniona. Co rano budził ją dźwięk gongu, zaraz potem wypijała w łóżku herbatę w towarzystwie Dicka. Następnie on szedł w pole, ona zaś wydawała produkty spożywcze potrzebne na ten dzień. Wiedziała doskonale, że Samson nie jest tym zachwycony, bo jego dotychczasowe warunki pracy, zamiast się polepszyć, zdecydowanie się pogorszyły, przepadła nawet dotychczasowa zwyczajowa jedna trzecia produktów, a w dodatku gospodyni nosiła klucze przy sobie. Jeszcze przed śniadaniem cała robota, jaką miała do wykonania w domu, była skończona; Samson był lepszym kucharzem

od niej, więc po jakimś czasie zdała na niego gotowanie. Szyła aż do lunchu, po jedzeniu znowu szyła i kładła się spać zaraz po kolacji, przesypiając całą noc jak dziecko.

W początkowym przyptywie energii i determinacji naprawdę podobało się jej to nowe życie, porządkowanie domu, robienie czegoś z niczego. Lubiała zwłaszcza wczesne poranki, zanim zmęczył ją upał; lubiała nowy sposób spędzania czasu; cieszyła się z pochwał Dicka. Duma i pełna tkliwości wdzięczność (przedtem za nic by nie uwierzył, że ten zapuszczony dom może wyglądać tak jak teraz) przystaniały jego cierpliwie znoszone rozczarowanie. Widząc na jego twarzy zdziwienie i urazę, Mary starała się nie myśleć o tym, że on czuje się zraniony, gdyż czuła wówczas do niego niechęć.

Zrobiwszy dla domu wszystko, co się dało, zaczęła szyć sukienki i kompletować swą skromną wyprawę. Kilka miesięcy po ślubie okazało się zaś, że nie ma nic więcej do roboty. Nagle, z dnia na dzień, znalazła się bez zajęcia. Instynktownie broniąc się przed beczynnością jak przed czymś niebezpiecznym, zabrała się do bielizny osobistej i haftowała wszystko, co tylko dało się wyhaftować. Całymi dniami szyła i haftowała, jakby to miało jej uratować życie. Dick chwalił tę pracę i nie mógł się nadziwić, ponieważ obawiał się, że trudno będzie się żonie przyzwyczaić, że na początku życie na odludziu będzie dla niej bardzo ciężkie. Ale nic nie wskazywało na to, by czuła się samotnie, wyglądała na całkiem zadowoloną z całodziennego szycia. Przez cały ten czas traktował ją jak siostrę, gdyż będąc człowiekiem wrażliwym, wolał poczekać, aż z własnej woli przyjdzie do niego. Wyrażna ulga, że jego czułości są tylko serdeczne – czego nie potrafiła ukryć – raniła go głęboko, ale myślał: „To się zmieni”.

Haftowanie się skończyło; znowu została bez zajęcia i rozglądała się za czymś nowym do roboty. Doszła do

wniosku, że ściany są brudne. Pobieli je i w ten sposób zaoszczędzi się pieniądze. Przez dwa tygodnie Dick po powrocie do domu zastawał meble zsunięte na środek i stojące na podłodze wiadra z gęstą białą cieczą. Mary odnawiała ściany metodycznie. Najpierw w jednym pokoju, potem w następnym. Jednak podziwiając jej zręczność i wytrwałość w pracy, w której nie miała żadnego doświadczenia, poczuł się zaniepokojony. Co zamierzała zrobić z tą swoją energią i pracowitością? Widok jej w działaniu jeszcze bardziej nadweręzał jego wiarę w siebie, a wiedział, że tej wiary bardzo mu brakuje. Wkrótce ściany były czyste, pomalowane na biało-niebiesko przez Mary, która kilka dni spędziła, stojąc na drabinie.

Dopiero teraz poczuła się zmęczona. Ach, jak to przyjemnie odpuścić sobie trochę i zasiąść z założonymi rękami na kanapie! Ale nie na długo. Znowu ją nosiło. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Rozpakowała przywiezione powieści i przejrzała je. Zbierała je latami i znała niemal na pamięć. Każdą czytała kilkanaście razy, śledząc narrację jak dziecko słuchające matki opowiadającej dobrze znaną bajkę. Kiedyś lektura była dla niej jak narkotyk, środek odurzający; teraz, apatycznie przewracając kartki, nie mogła zrozumieć, czemu powieść straciła dawny wdzięk. Nie potrafiła się skupić, ale mimo to z uporem brnęła przez kolejne strony; po co najmniej godzinnej lekturze uświadomiła sobie, że nie dotarło do niej ani jedno słowo. Rzuciła książkę i spróbowała czytać inną, ale z takim samym rezultatem. Dick był zadowolony: schlebiało mu, że ożenił się z kobietą, która dużo czyta. Pewnego wieczoru wziął książkę zatytułowaną *Piękna pani* i otworzył ją na chybił trafił.

*...Trekburowie wędrowali na północ w stronę Ziemi Obiecanej, gdzie bezlitosna dłoń znienawidzonych Brytyjczyków nie mogła ich dosięgnąć swym lodowatym uściskiem. Kolumna wo-*

*zów i jeźdźców jak wąż wita się przez rozprażony teren. Prunella van Koetzie jechała konno na jej skraju, w białej kappie na lokach okalających delikatną, pokrytą kroplistym potem twarzyczkę. Gdy Piet van Friesland patrzył na nią, jego serce pulsowało w rytm wielkiego zbroczonego krwią serca Południowej Afryki. Czy uda mu się zdobyć tę słodką Prunellę, która była jak królowa wśród tych mieszcuchów i trekburów oraz ich dorodnych żon w doeks i veldschoens? Jak to będzie? Patrzył i patrzył. Gruba ciotka Anna w doek czerwonej jak kwiaty koralowego drzewa, wyjmując koekies i biltong na południowy posiłek, aż wzięta się pod boki ze śmiechu i powiedziała do siebie: „Toż dopiero byłaby para”\**.

Odłożył powieść i spojrzał na Mary, która siedziała z książką na kolanach, patrząc w górę.

– Dick, czy nie można by położyć stropu? – spytała z wyraźnym rozdrażnieniem.

– Spore koszty – odparł powątpiewająco. – Może w przyszłym roku, jak będzie pomyślny.

Po kilku dniach Mary pochowała wszystkie książki. Znowu zabrała się do podręcznika fanagalo i poświęcała mu niemal cały swój czas. Konwersację ćwiczyła w kuchni na Samsonie, głównie krytykując jego pracę; poza tym postępowała wobec niego z zimną, beznamiętną sprawiedliwością.

Samson był coraz bardziej nieszczęśliwy. Przywykł już do Dicka, z którym doskonale się rozumieli. Dick często go wyklinał, ale potem razem się śmiali. Ta kobieta zaś nigdy się nie śmiała. Uważnie przygotowywała dokładnie tyle produktów, ile było potrzeba; pozostałych po posiłkach

---

\* Trekbur – od *trekeboer* (chłop wędrowny). Mowa o holenderskich osadnikach wędrujących po Afryce w poszukiwaniu odpowiednich terenów. *Kappie* – w języku Zulusów czapka; *doek* – hol. chustka na głowę, *veldschoens* – hol. grube buty z surowej skóry bydlęcej; *koekies* – hol. ciastka, *biltong* – suszone mięso.

resztek pilnowała z upokarzającą zdolnością zapamiętania każdego zimnego kartofla i każdej kromki chleba; zawsze się przyczepiła, gdy czegoś brakowało.

Wybity z rytmu dawnej, stosunkowo wygodnej egzystencji, Samson był w coraz gorszym humorze. W kuchni doszło do kilku kłótni i raz Dick zastał Mary we łzach. Pewna była, że przygotowała do puddingu tyle rodzynek, ile trzeba, a potem okazało się, że prawie ich nie ma. Słuchający zaprzecza, że je ukradł...

– Wielka mi rzecz – rzekł Dick rozbawiony. – Myślałem, że naprawdę coś się stało.

– Ależ ja wiem, że on je wziął! – łkała Mary.

– Pewnie tak, ale w sumie stary drań jest porządny.

– Potrączę mu to z pensji.

Dick, zdumiony, że aż tak się tym przejmuje, powiedział:

– Skoro uważasz, że to rzeczywiście konieczne.

Pomyślał, że pierwszy raz widzi ją płaczącą.

Samson, który zarabiał funta miesięcznie, otrzymał dwa szylingi mniej wypłaty. Przyjął to ze spokojem, ale ze złą miną. Nic nie rzekł, tylko poskarżył się potem Dickowi, który upomniął go, że ma słuchać Mary. Tego samego wieczoru Samson wymówił pracę, twierdząc, że jest potrzebny w *kraalu*\*. Mary zaczęła go wypytywać, do czego jest potrzebny, ale Dick ostrzegawczo dotknął jej ramienia i pokręcił głową.

– Dlaczego mam nie zapytać? – sprzeciwiła się. – Przecież on kłamie.

– Oczywiście, że kłamie – rzekł Dick z irytacją. – To jasne. Ale nie w tym rzecz. Nie zatrzymasz go wbrew jego woli.

– Dlaczego mam godzić się na kłamstwo? – nastawała

---

\* *Kraal* – wioska murzyńska.

Mary. – Z jakiej racji? Czemu nie może powiedzieć wprost, że nie podoba mu się praca u mnie, zamiast kłamać o konieczności powrotu do *kraalu*?

Dick z lekkim zniecierpliwieniem wzruszył ramionami. Nie był w stanie pojąć tak nierozsądnego uporu. Sam dość dobrze radził sobie z tubylcami; stosunki z nimi bywały czasem zabawną, czasem denerwującą grą, w której obie strony przestrzegały pewnych niepisanych zasad.

– Byłabyś zła, gdyby tak powiedział – odparł z wyrzutem, lecz także z pewną czułością. Nie umiał traktować jej poważnie; wydawała się jak dziecko, gdy zachowywała się w ten sposób. Ale szczerze się zmartwił odejściem Samsona, który pracował u niego kilka lat. – Cóż – stwierdził w końcu filozoficznie. – Należało się tego spodziewać. Od samego początku powinnaś mieć nowego służącego. Zawsze są kłopoty, gdy zmienia się władza zwierzchnia.

Stojąc w progu, Mary przyglądała się scenie pożegnania na kuchennych schodach. Zadziwiająca i niesmaczna. Dickowi naprawdę było przykro, że ten czarnuch odchodzi! Nie mogła zrozumieć, jak biały człowiek w ogóle może czuć coś osobistego w stosunku do tubylca; Dick ogromnie przez to stracił w jej oczach. Usłyszała jego słowa: „Gdy skończysz swoją pracę w *kraalu*, wrócisz i będziesz znów u nas pracować?”. Tubylec odpowiedział: „Tak, panie”, po czym odwrócił się i poszedł sobie. Dick wrócił do domu milczący i ponury.

– Nie wróci – oznajmił.

– Jest mnóstwo innych czarnych – rzekła gniewnie.

– Tak – zgodził się. – Owszem.

Przez parę dni nikt nie zgłosił się do pracy i całą robotę domową Mary wykonywała sama. Uznała, że jest dość ciężka – czego się nie spodziewała – choć przecież nie miała wielu zajęć. Mimo wszystko odpowiadało jej, że jest przez cały dzień sama i zajmuje się domem. Szorowała, zamiatała

i czyściła. Prace domowe były dla niej czymś nowym; przez całe życie wykonywali je za nią tubylcy, cicho i nie wchodząc w drogę, jak wróżki. Ponieważ była to nowość, podobala się jej. A kiedy wszystko lśniło już czystością i spiżarnia pełna była jedzenia, Mary opadała bez sił na starą kanapę we frontowym pokoju, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ach, jak było gorąco! Nie wyobrażała sobie kiedyś, że może być aż tak gorąco. Pot lał się z niej przez cały dzień; czuła, jak pod sukienką spływa po żebrach i udach, jakby po ciele pełzały mrówki. Siedziała z zamkniętymi oczami całkiem nieruchomo i czuła fale gorąca bijące od blachy nad głową. Do tego stopnia było to uciążliwe, że w domu musiała nosić kapelusz. Gdyby Dick więcej tu przebywał, myślała, a nie siedział przez cały dzień w polu, szybko położyłby strop. Z pewnością nie kosztowało to aż tak wiele, żeby było nierealne. W miarę upływu czasu z coraz większą irytacją myślała o tym, że swoje skromne oszczędności powinna była wydać raczej na strop, a nie na zasłony. Jeśli poprosi Dicka raz jeszcze i wytłumaczy mu, jakie to dla niej ważne, może zmięknie i znajdzie jakieś pieniądze? Ale wiedziała też, że gdy poprosi, natychmiast pojawi się ten wyraz udręki na jego twarzy. Dobrze już go znała. W gruncie rzeczy lubiła Dicka, lubiła naprawdę szczerze. Kiedy całował ją czule w rękę i z pełnym oddaniem szacunkiem błagalnie pytał: „Kochanie, czy ty mnie nie nawidzisz za to, że cię tu przywiozłem?”, odpowiadała: „Nie, kochanie. Przecież wiesz, że nie”. Były to jedyne momenty, kiedy okazywała mu czułość, kiedy we własnym odczuciu zachowywała się zwycięsko i wspaniałomyślnie. To jego pragnienie, by otrzymać przebaczenie, i ta pokora wobec niej dawały największą znaną jej dotąd satysfakcję, choć gardziła nim za to.

Siedziała więc dalej na kanapie, z zamkniętymi oczami, męcząc się z powodu upału, przybita i smutna, a jedno-



czesnie pełna uniesienia, jak męczennica, która godzi się cierpieć.

Potem nagle gorąco stało się nie do zniesienia. Cykady w buszu brzęczały nieustannie, głowa ją bolała; nogi i ręce były ociężałe, mięśnie napięte. Wstawiała, szła do sypialni, gdzie przeglądała swoje ubrania tylko po to, aby przekonać się, że nic nie ma do zrobienia: żadnego haftu ani przeróbek. Sprawdziała rzeczy Dicka w poszukiwaniu czegoś do załatania czy zacerowania; ale on nosił tylko koszule i szorty i przy odrobinie szczęścia czasami mogła liczyć najwyżej na urwany guzik. Nie mając nic do roboty, szła na werandę, gdzie siadała i obserwowała kolory zmieniające się na dalekich błękitnych wzgórzach. Czasami wychodziła na tył domu popatrzeć, jak nad małym pagórkiem, będącym stosem wielkich kamieni, unosi się gorące zamglone powietrze, a jaskrawoczerwone, niebieskie i szmaragdowe jaszczurki śmigają wśród głązów jak płomyczki. Aż zaczynało się jej kręcić w głowie i wtedy wracała do domu, żeby wziąć sobie szklanekę wody.

W końcu do kuchennych drzwi zapukał tubylec, który zgłosił się pracy. Chciał siedemnaście szylingów miesięcznie. Wytargowała o dwa mniej, zadowolona, że odniosła nad nim zwycięstwo. Przywędrował prosto ze swego *kraalu*, młody – zapewne nie miał jeszcze dwudziestu lat – i wychudzony po długim marszu z rodzinnego Nyasaland, setki mil stąd. Nie rozumiał jej i denerwował się bardzo. Był sztywny i nieśmiały, a jednocześnie pochylał się z uniożonością i nie spuszczał wzroku z jej twarzy, jakby bał się przegapić najdrobniejszą wskazówkę. Irytowała ją ta jego służalczość, zwracała się do niego twardo i surowo. Pokazała mu cały dom, wszystkie kąty, zakamarki, szafki i schowki, wyjaśniając płynnie w języku fanagalo, jak ma co robić. Chodził za nią jak przestraszony pies. Nigdy dotąd nie widział widelców, noży i talerzy, choć słyszał opowieści

o tych niezwykłych przedmiotach od znajomków wracających ze służby w domach białych ludzi. Nie wiedział, co z nimi robić, podczas gdy Mary oczekiwała, że będzie odróżniał zwykły talerz od deserowego. Stała nad nim, kiedy nakrywał do stołu; całe popołudnie go w tym ćwiczyła, wyjaśniając, upominając i zachęcając. Wieczorem źle nakrył stół do kolacji. Wściekła, zbesztła go, podczas gdy Dick przyglądał się jej z zakłopotaniem. Kiedy służący wyszedł, rzekł:

- Wiesz, powinnaś być dla niego łagodniejsza.
- Ależ ja mu mówiłam! I to nie jeden raz, ale ze sto!
- Coś mi się zdaje, że on nigdy przedtem nie był w domu białego człowieka.

– Nic mnie to nie obchodzi. Mówiłam, co ma robić. Dlaczego nie słucha?

Zasepiony, przyjrzał się jej uważnie, zaciskając usta. Sprawiała wrażenie, jakby ją coś opętało; jakby nie była sobą.

– Mary, bądź tak dobra i posłuchaj. Jeśli dasz się wyprowadzić z równowagi, nic nie wskórasz. Musisz złagodzić wymagania. I mniej się przejmować.

– Nie złagodzę wymagań! Nic z tego! A niby czemu? Wystarczy, że i tak... – Zamilkła w porę. Miała zamiar powiedzieć: „Wystarczy, że i tak muszę żyć w tym chlewie”.

Domyślił się, co zamierzała powiedzieć, spuścił głowę i wbił wzrok w talerz. Tym razem nie próbował jej przebłagać. Był zły, a nie jak zwykle uległy i pełen poczucia winy, więc kiedy ona ostro upierała się dalej: „Powiedziałam mu, jak ma nakryć ten stół”, wstał od stołu i wyszedł na dwór. Po chwili zobaczyła błysk zapałki i ognek papierosa. A więc to tak! Zdenerwował się! Do tego stopnia, że złamał zasadę niepalenia aż do po kolacji! No to niech się podenerwuje.

Następnego dnia przy lunchu służący ze zdenerwowa-

nia upuścił talerz, a ona z miejsca go zwolniła. Znowu spadły na nią domowe zajęcia, ale tym razem, czując się skrzywdzona, nie znosiła ich i za wszystko winiła tubylca, którego wyrzuciła bez grosza zapłaty. Z pasją czyściła i wycierała stoły, krzesła i talerze, jakby zdierała skórę z czarnej twarzy. Przepętniała ją nienawiść. Jednocześnie postanowiła, że nie będzie już tak wymagająca przy następnym służącym.

Następny był zupełnie inny. Przez kilka lat pracował dla białej kobiety, która traktowała go, jakby był maszyną. Nauczył się zachowywać idealny spokój i odzywać cichym, neutralnym głosem. Na każde polecenie odpowiadał grzecznie: „Tak, proszę pani. Tak, proszę pani”, nie patrząc na Mary. Złościło ją, że nigdy nie spojrzał jej w oczy. Nie wiedziała, że tubylczy kodeks dobrego wychowania zabrania patrzeć na twarz przełożonego; uważała to za potwierdzenie podstępnej, fałszywej natury tubylców. Odnosiła wrażenie, że to nie człowiek, lecz jedynie czarne ciało wykonujące polecenia. I to też ją wprawiało w furję. Miała ochotę wziąć talerz i rzucić mu w twarz, żeby wywołać na niej jakieś ludzkie uczucia, nawet poprzez ból. Ale tym razem z premedytacją zachowywała się poprawnie, chociaż ani na chwilę nie spuszczała służącego z oczu, a po skończonej pracy sprawdzała jeszcze raz wszystko, przywołując go z powrotem do każdej odrobinki kurzu i plamki tłuszczu, bardzo przy tym uważając, by nie posunąć się za daleko. Tego służącego zatrzyma, powtarzała sobie. Ale nigdy nie ustąpiła ani na krok; zawsze dopięła swego i musiał robić każdą najmniejszą rzecz dokładnie tak, jak ona sobie tego życzyła.

Dick obserwował to wszystko z niedobrym przeczućciem. Co się z nią działo? Przy nim była spokojna, cicha, niemal macierzyńska. Przy tubylcach zmieniała się w herod-babę. Chcąc ją oderwać od spraw domowych, poprosił,

żeby pojechała z nim w pole i przyjrzała się jego pracy. Wydawało mu się, że gdy pozna bliżej jego problemy i troski, nastąpi większe zbliżenie między nimi. Poza tym czuł się samotny, gdy całymi godzinami chodził po polach i pilnował robotników.

Zgodziła się bez entuzjazmu, bo nie bardzo miała ochotę jechać. Obraz Dicka w parzącym słońcu, na ciężkiej, parującej, rdzawej ziemi, obok spoconych ciał pracujących tubylców, wywoływał w niej skojarzenia z człowiekiem w łodzi podwodnej, który dobrowolnie zstąpił do tego dziwnego i obcego świata. Ale wzięła kapelusz i poszła do samochodu.

Cały ranek dzielnie towarzyszyła mężowi. Objechali wszystkie pola, chodziła za nim od jednej grupy robotników do drugiej, lecz w głowie nieustannie kołatała jej myśl, że nowy służący jest sam w domu i pewnie na zbyt wiele sobie pozwala. Korzystając z jej nieobecności, kradnie, dotyka jej ubrań, ogląda rzeczy osobiste! Dick długo i cierpliwie opowiadał o glebach, nawadnianiu i wynagrodzeniach dla tubylców, a ona słuchała z roztargnieniem, myśląc o służącym pozostawionym sam na sam z jej rzeczami. Kiedy wróciła w porze lunchu, pierwsze, co zrobiła, to obeszła cały dom, szukając śladów myszkowania. Przejrzała nawet szuflady, których zawartość wydawała się nietknięta. Ale kto ich tam wie! To tacy spryciarze. Następnego dnia, gdy Dick zapytał ją, czy pojedzie z nim znowu, odparła nerwowo: „Nie, Dick, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Dla mnie za gorąco. Ty jesteś do tego przyzwyczajony”. I rzeczywiście wydawało się jej, że nie zniesie kolejnego poranka w palącym słońcu i oślepiającym oczy blasku, choć słabo się jej robiło od upału, kiedy siedziała w domu. Ale w domu przynajmniej miała coś do roboty – pilnowała służącego.

Stopniowo upał stawał się coraz większą jej obsesją. Fale gorąca buchającego od blaszanego dachu dosłownie ją wy-

kańczały. Nawet aktywne zazwyczaj psy leżały przez cały dzień na werandzie, przenosząc się z miejsca na miejsce, gdy cegły nagrzały się pod nimi; mokre jęzory zwisały im z pysków, na podłodze było pełno małych kałuż. Mary słyszała, jak dyszą i popiskują, dręczone przez pchły. Kiedy przychodziły do niej i kładły łby na kolanach, jakby skarżąc się na gorąco, odpędzała je ze złością: duże, śmierdzące zwierzęta drażniły ją wieczystym włożeniem pod nogi, zostawianiem sierści na poduszkach, głośnym sapaniem towarzyszącym łapaniu pcheł, kiedy ona akurat odpoczywała. Późnym rankiem wyrzucała je z domu. Potem kazała służącemu przynieść do sypialni wody w blaszance po nafcie i upewniwszy się, że nie ma go w domu, rozbierała się do naga i stojąc w misce na ceglanej podłodze, oblewała się wodą. Rozpryskujące się krople padały na porowatą cegłę, która aż syczała, tak była wysuszona.

– Kiedy będzie padać? – spytała Dicka.

– Jeszcze nie w tym miesiącu – odparł odruchowo, ale zdziwiło go to pytanie.

Przecież chyba Mary wiedziała, kiedy padają deszcze? Była w tym kraju dłużej niż on.

Ale teraz jej się zdawało, że w mieście nie występowały pory roku, a przynajmniej nie były takie jak tutaj. Tam żyła wyłączona z rytmu wyznaczanego przez zimno, ciepło i deszcz. Panowało gorąco, padało, przychodziło ochłodzenie – to tak, na pewno, ale jej to w ogóle nie dotyczyło, zmiany następowały jakby poza nią. Tutaj życie podporządkowane było powolnym zmianom w przyrodzie. Nigdy przedtem Mary nie wpatrywała się w bezlitosne niebo, szukając oznak nadchodzącego deszczu, tak jak teraz, gdy stojąc na werandzie, śledziła zeglujące po błękitnie wielkie kłębiaste chmury przypominające bloki błyszczącego krystalicznego kwarcu.

– Bardzo dużo zużywa się wody – zauważył pewnego dnia Dick z niezadowoleniem.

Przywożono ją dwa razy w tygodniu ze studni u podnóża pagórka. Najpierw dobiegały wrzaski, jakby kogoś torturowano. Mary wychodziła wtedy przed dom i patrzyła na jadący między drzewami wóz z wodą, ciągnięty przez dwa wolno poruszające się piękne woły, które z wielkim wysiłkiem mięśni wchodziły pod górę. Na wozie stały, przymocowane doń, dwie wielkie beczki po benzynie przykryte gałęziami, żeby woda nie nagrzała się od słońca. Dyszel przyczepiony był do jarzma nałożonego na potężne zwierzęta, których mięśnie prężyły się z wysiłku pod skórą. Czasem woda rozplukiwała się, a wtedy w gorącym powietrzu tworzyła się śliczna mgiełka; woły odwracały wówczas głowy i pociągały nozdrzami, czując wodę. Czarny woźnica nieustannie krzychał, podskakując obok zwierząt i smagając powietrze długim batem, który zwijał się z sykiem, ale nigdy nie spadł na ich grzbiety.

– Do czego zużywasz tyle wody? – spytał Dick.

Powiedziała mu.

Twarz mu pociemniała, patrzył na nią z takim przerażeniem i niedowierzaniem, jakby popełniła zbrodnię.

– Co? Marnujesz wodę?

– Wcale nie marnuję – odparła chłodno. – Jest tak gorąco, że nie mogę wytrzymać. Muszę się jakoś chłodzić.

Dick przełknął ślinę, starając się zachować spokój.

– Posłuchaj – rzekł gniewnie, tonem, jakim nigdy dotąd się do niej nie zwracał. – Posłuchaj mnie! Za każdym razem, gdy posyłam wóz po wodę dla domu, na całe rano wyłączony jest z pracy woźnica, dwaj robotnicy i dwa woły. Transport wody kosztuje. A ty ją ot tak sobie wylewasz! Napelnij wannę i wejdź do niej, zamiast marnować wodę!

Wściekła się. To była kropla przepelniająca czarę. Jest tu z nim, mieszka bez słowa skargi, cierpi te wszystkie niewygody i nie wolno jej nawet zużyć kilku galonów wody! Otworzyła usta, żeby nakrzyczeć na niego, ale nim zdążyła

to zrobić, poczuł skruchę za tak ostre odezwanie się; jak zwykle nastąpiła scena przeproszania. Ukorzył się, a ona mu wybaczyła.

Po jego wyjściu poszła do łazienki i długo, z nienawiścią, patrzyła na wannę, rozmyślając nad jego słowami. Łazienka została dobudowana po ukończeniu domu. Miała ściany z gliny (oblepione nią były paliki wycięte z drzew buszu), przykryta była blaszonym dachem. Tam, gdzie deszcz przeciekał przez spojenia dachu, pobiała była odbarwiona, a glina popękana. Płytką cynkowa wanna stała na postumencie z suszonej gliny. Kiedyś metal lśnił, można to było poznać po jasno błyszczących zarysowaniach na zmatowiałej powierzchni. Przez kilka lat zebrał się na niej osad tłuszczu i brudu, i kiedy teraz ją szorowano, tylko miejscami dawała się doczyścić. Co za brud, fu! Mary patrzyła z odrazą. Gdy się kąpała, co zdarzało się raptem dwa razy w tygodniu ze względu na koszty i problemy z transportem wody, siedziała ostrożnie na samym końcu wanny, starając się jak najmniej jej dotykać, i jak najszybciej wychodziła. Tutaj kąpiel była jak lekarstwo, które trzeba zażywać, a nie luksus, którym się człowiek rozkoszuje.

Warunki do mycia są po prostu niewiarygodne! Aż rozplakała się z bezsilnej złości. W dni kąpieli zanoszono do łazienki podgrzane na kuchni dwie metalowe beczki z wodą i stawiano na podłodze. Żeby woda nie stygła, nakryte były grubymi workami, które pod wpływem gorąca i pary wydzielaly stęchły zapach. Przecignięte przez ucha kawałki drewna, które służyły za uchwyty, zatłuszczone były od dotyku rąk. Nigdy nie przyzwyczai się do tego, zapowiedziała sobie i odwróciwszy się, opuściła łazienkę z gniewem i obrzydzeniem. Zawołała służącego i kazała mu szorować wannę tak długo, aż będzie czysta. Pomyślał, że chodzi po prostu o umycie, i po pięciu minutach skończył. Poszła sprawdzić. Wanna była taka jak przed myciem.

Przesuwając palcem po powierzchni, czuła warstwę osadu. Zawołała służącego i kazała szorować, i to porządnie, aż metal będzie lśnić.

Działo się to około jedenastej rano.

Był to dzień niefortunny dla Mary. Właśnie wtedy miała swój pierwszy kontakt z „dystryktem” w postaci Charliego Slattera i jego żony. Warto wyjaśnić, co zdarzyło się tego dnia, ponieważ wiele innych rzeczy łatwiej będzie dzięki temu zrozumieć. Mary popełniała błąd za błędem, ale sztywna i dumna, zaciskała mocno usta, zdecydowana nie pokazać słabości. Kiedy Dick wrócił na lunch, zastał ją przy kuchni; zaczerwienioną twarz wykrzywił grymas złości, włosy miała potargane.

– Gdzie służący? – spytał, zdziwiony, widząc ją przy jego robocie.

– Szoruje wannę – rzekła krótko, gniewnie wyrzucając z siebie słowa.

– Akurat teraz?

– Jest brudna – odparła.

Dick wszedł do łazienki, skąd słychać było szur-szur szczotki, i zastał tam tubylca pochylonego nad wanną, szorującego, ale bez większego efektu. Wrócił do kuchni.

– Po co każesz mu to robić? – spytał. – Od lat jest taka. Cynkowe wanny tak właśnie wyglądają. To nie jest brud, Mary. Metal zmienił kolor.

Nie patrząc na niego, postawiła jedzenie na tacy i poszła z nią do frontowego pokoju.

– To brud – upierała się. – Nie wejdę więcej do tej wanny, dopóki nie będzie lśniła. Nie mogę pojąć, jak możesz żyć w takim brudzie.

– Korzystałaś z niej przez kilka tygodni i jakoś ci to nie przeszkadzało – przypomniał sucho, odruchowo sięgając po papierosa i wkładając go w usta.

Nie odpowiedziała.



Pokręcił przecząco głową, kiedy oznajmiła, że jedzenie gotowe, i wyszedł znowu w pole, zabierając ze sobą psy. Nie był w stanie wytrzymać w jej towarzystwie, kiedy była w takim nastroju. Mary też nic nie zjadła; sprzątnęła ze stołu i usiadła, nasłuchując odgłosów szorowania wanny. Siedziała tak dwie godziny, z bolącą głową, spięta i zła. Postanowiła, że nie pozwoli byle jak odwalić tej roboty. O wpół do czwartej zapadła nagle cisza, więc podniosła się czujnie, gotowa pójść do łazienki i nakazać powrót do pracy. Ale drzwi się otworzyły i wszedł służący. Nie patrząc na nią, jakby zwracał się do stojącego obok jej niewidzialnego sobowtóra, powiedział, że idzie do swojej chaty coś zjeść, po powrocie będzie dalej szorować wannę. Zapomniała o jego jedzeniu. Nigdy nie myślała o tubylcach jak o ludziach, którzy muszą jeść czy spać. Albo byli, albo ich nie było, a jak wyglądało ich życie, kiedy znajdowali się poza zasięgiem jej wzroku, nigdy by nie przyszło jej do głowy się zastanawiać. Skinęła przyzwalająco głową, czując się winna. Potem jednak zdusiła w sobie poczucie winy, myśląc: „To wszystko przez niego, bo nie utrzymywał wanny w należytej czystości”.

Gdy przestała nasłuchiwać odgłosów szorowania, jej napięcie zelżało. Wyszła na dwór popatrzeć na niebo. Było bezchmurne. Kopułę intensywnego błękitu zasnuwała gorąca mgiełka żółtawego dymu. Piaszczysta ziemia przed domem była tak jasna, że niemal oślebiała, za nią lśniły w słońcu gęste krzaki poinsecji, pieniaące się nieregularnymi wykwitami szkarłatu. Spojrzała w kierunku wzgórz widocznych poza linią ciemnych, brązowawych drzew i wielką połacią falującej trawy. Były zamglone i niewyraźne. Od tygodni płonęła trawa *veldu* i nawet teraz czuć było ostrą woń dymu. Od czasu do czasu na skórę opadał malutki zwęglony okruch, pozostawiając czarny tłusty ślad. W oddali wznosiły się słupy dymu; wiszące nad ziemią, cięż-

kie, niebieskawe, tworzyły skomplikowaną „architekturę” w nieruchomym powietrzu.

Tydzień temu ogień zaatakował część farmy, pochłaniając dwie obory i wiele akrów pastwisk. Tam gdzie dotarł, pozostały czarne puste połacie, a gdzieś jeszcze dopalały się kłody drewna, wypuszczające cienkie smużki szarego dymu w zwęglony krajobraz. Odwróciła wzrok, nie chcąc nawet myśleć o finansowych stratach, jakie przez to ponieśli, i wtedy ujrzała na zakręcie drogi obłok rdzawego pyłu. Doskonale widać było, jak biegnie ta droga, ponieważ rosnące przy niej drzewa miały rudawą barwę, jakby obsiadła je szarańcza. Nad drogą unosił się kłęb kurzu, czyli coś tam się działo. „Ależ to samochód!”. Po chwili uprzytomniła sobie, że jedzie do nich, i wpadła w panikę. Goście! Dick uprzedzał, że może się spodziewać wizyt. Pobiegnęła do kuchni, by kazać służącemu zaparzyć herbatę. Nie było go. Dochodziła czwarta. Przypomniała sobie, że pół godziny wcześniej pozwoliła mu wyjść. Pobiegnęła za dom, gdzie piętrzył się stos szczap i kawałków kory, wyciągnęła zardzewiałe sworzeń z rozwidlenia gałęzi i uderzyła w ostrze pługa. Dziesięć rezonujących dźwięcznie uderzeń dawało sygnał, że służący jest potrzebny. Potem wróciła do domu. Kuchnia była wygaszona; trudno się ją rozpalało. Nie było nic do jedzenia. Nie piekła ciasta, skoro Dick i tak nigdy nie przychodził na podwieczorek. Otworzyła paczkę kupionych w sklepie herbatników. Spojrzała na sukienkę. Przecież nie może się pokazać w takiej szmacie! Ale było za późno na przebieranie się. Samochód z hałasem wjeżdżał na szczyt wzgórza. Wybiegła przed dom, zaciskając dłonie. Jej zachowanie bardziej pasowałoby do kogoś długo żyjącego w izolacji, kto odwykł od ludzi, niż do kobiety, która przez całe lata się wśród nich obracała. Samochód stanął i wysiadło z niego dwoje ludzi: niski, potężnie zbudowany

blondyn i ciemnowłosa, dość pulchna kobieta o miłej twarzy. Czekać, Mary uśmiechała się nieśmiało w odpowiedzi na ich serdeczne uśmiechy. Z ulgą zobaczyła samochód Dicka wjeżdżający na wzgórze. Błogosławiła go za to, że pomyślał o niej i przybył na pomoc przy tej pierwszej wizycie. On też zobaczył smugę kurzu unoszącą się nad drzewami i wrócił najszybciej, jak tylko mógł. Przybyli przywitali się z nią, podając ręce. Dick zaprosił ich do środka. Wszyscy czworo zasiedli w małym pokoju, który wydawał się teraz jeszcze ciasniejszy. Dick i Charlie Slatter siedzieli po jednej stronie, ona i pani Slatter po drugiej. Pani Slatter miała dobre serce i szczerze współczuła Mary, że poślubiła takiego nieudacznika jak Dick. Słyszała, że jest dziewczyną z miasta, a sama aż nazbyt dobrze wiedziała, co to trudności i samotność, choć w jej życiu dawno już minął okres codziennej walki o byt. Miała teraz duży dom, trzech synów na uniwersytecie i wiodła wygodny żywot. Nie zapomniała jednak cierpień i upokorzeń związanych z biedą. Patrzyła na Mary z wielką serdecznością, pamiętając własną przeszłość, i gotowa była się z nią zaprzyjaźnić. Jednak Mary odniosła się do niej sztywno, a nawet z niechęcią, zauważywszy, że pani Slatter rozgląda się ciekawie po pokoju, zatrzymując wzrok na nowych poduszkach, pobielonych ścianach i zasłonach.

– Jak ładnie pani urządziła dom – powiedziała ze szczerym podziwem, doskonale wiedząc, jak to jest, kiedy się robi zasłony z farbowanego workowego płótna, a szafki ze skrzynek po benzynie.

Mary jednak źle ją zrozumiała. Nie da się na to wziąć! Na pewno nie będzie rozmawiać o swoim domu z panią Slatter, która traktuje ją protekcyjnie. Po chwili pani Slatter, przyjrzawszy się uważnie zarumienionej z zakłopotania twarzy młodej kobiety, głosem obojętnym zaczęła mówić

o czymś innym. Potem służący wniósł tacę z herbatą, a Mary znów cierpiała katusze, tym razem z powodu filiżanek i tacy. Próbowwała wymyślić jakiś temat rozmowy niezwiązany z farmą. Filmy? W ostatnich latach widziała ich setki, a teraz okazało się, że nie potrafi sobie przypomnieć więcej niż dwa, trzy tytuły. Filmy, niegdyś tak dla niej ważne, teraz zdawały się należeć do zupełnie innego świata. W każdym razie pani Slatter i tak chodziła do kina może dwa razy do roku, kiedy była w mieście na rzadkich dla niej wyprawach po zakupy. Sklepy w mieście? Nie, to znowu kwestia pieniędzy, a Mary ma na sobie spłowiałą kretonową sukienkę, której się wstydzi. Poszukała wzrokiem Dicka, oczekując od niego pomocy, ale był pochłonięty rozmową z Charliem. Omawiali plony, ceny i – przede wszystkim – problemy z siłą roboczą. Kiedy spotkają się dwaj czy trzej farmerzy, nie rozmawiają o niczym innym, tylko o braku rąk do pracy oraz o głupocie i lenistwie robotników. Mówią o tym bez końca, bardzo się angażując; zdarza się, że nawet lubią pojedynczych krajowców, ale całego gatunku szczerze nie znoszą. Ta niechęć czasem aż trąci obsesją. Wiecznie skarżą się na ciężki los, na to, że się muszą męczyć z tubylcami, którym zupełnie obojętne jest dobro białego człowieka, a pracują, bo im się tak podoba; nie mają pojęcia o godności pracy, kompletnie nie rozumieją, że tylko dzięki ciężkiej pracy można się rozwijać i iść na przód.

Mary ze zdziwieniem przysłuchiwała się tej rozmowie. Po raz pierwszy słyszała mężczyzn mówiących o pracy na farmie. Widać było, jak bardzo Dick jest spragniony wymiany zdań na ten temat, i poczuła się nie w porządku, że ona wie o tym tak mało i nie może go wesprzeć duchowo takimi rozmowami. Wróciła do pani Slatter, która milczała, urażona odrzuceniem jej współczucia i chęci pomocy. Wreszcie wizyta dobiegła końca, ku żalowi Dicka i uldze

Mary. Turnerowie odprowadzili gości, pożegnali się i stojąc, patrzyli, jak wielki drogi samochód zjeżdża ze wzgórza między drzewa w obłoku rdzawego kurzu.

Dick powiedział:

– Cieszę się, że przyjechali. Musisz czuć się bardzo samotnie.

– Nie jestem samotna – odparła Mary zgodnie z prawdą. Samotność, pomyślała, to pragnienie towarzystwa innych ludzi. Ale nie zdawała sobie sprawy, że przez brak towarzystwa samotność może niezauważalnie poczynić duchowe spustoszenie.

– Powinnaś sobie czasem ucinać kobiece pogaduszki – zażartował niezręcznie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Taki ton był dla niej czymś całkiem nowym. Z wyraźnym żalem Dick patrzył w ślad za odjeżdżającym samochodem. Nie żałował odjazdu Charliego Slattera, którego nie lubił, lecz zakończenia rozmowy, męskiej rozmowy, która dawała mu większą pewność siebie wobec Mary. Czuł się tak, jakby podczas tej godziny spędzonej w ciasnym pokoiku otrzymał zastrzyk energii. Dwaj mężczyźni omawiali sprawy gospodarstwa, dwie kobiety wymieniały uwagi o strojach i służbie. Zapewne, bo nie słyszał ani słowa z tego, o czym mówiły pani Slatter i Mary. Nie zauważył nawet, jak niezręcznie obie się czuły.

– Koniecznie musisz ją odwiedzić, Mary – oświadczył. – Któregoś popołudnia, jak będzie mniej pracy, dam ci samochód. Poplotkujecie sobie. – Mówił swobodnie, niemal wesoło, z jego twarzy zniknęło zwykłe zatroskanie, ręce trzymał w kieszeniach.

Mary nie rozumiała, czemu nagle wydał się jej obcy, a nawet wrogi, ale rozdrażniło ją, że tak łatwo decyduje za nią, uważając, że wie, czego jej potrzeba. Nie miała najmniejszej ochoty na towarzystwo pani Slatter. Nie miała zresztą ochoty na niczyje towarzystwo.

- Wcale nie chcę – odparła krnąbrnie, jak małe dziecko.
- Dlaczego?

W tym momencie na werandę wyszedł służący i bez słowa wyciągnął kontrakt na służbę. Chce odejść; rodzina w *kraalu* go potrzebuje. Mary od razu straciła panowanie nad sobą. Jej irytacja znalazła idealne ujście w osobie tego beznadziejnego czarnucha. Dick po prostu ją zignorował, jakby się nie liczyła, i wyszedł ze służącym do kuchni. Usłyszała, jak służący skarży się, że pracował od piątej rano bez jedzenia, a potem był w osadzie zaledwie chwilę, bo natychmiast został wezwany gongiem. Nie może tak pracować; jego dziecko w *kraalu* zachorowało. Chce odejść zaraz. Dick odparł, ten jeden raz ignorując niepisane zasady, że pani jeszcze nie bardzo radzi sobie z prowadzeniem domu, że się nauczy i że taka sytuacja się nie powtórzy. Mówienie takich rzeczy tubylcowi, zwracanie się do niego w ten sposób, przeciwne było Dickowej koncepcji relacji między białymi a czarnymi, ale był mocno rozgniewany na Mary za jej brak wyczucia i taktu.

Mary zatkało ze złości. Jak on śmie stawać po stronie krajowca przeciwko niej! Kiedy Dick wrócił, stała na werandzie z dłońmi zaciśniętymi w pięści i ze stężałą twarzą.

- Jak śmiesz! – wykrzyknęła zdławionym głosem.
- Skoro koniecznie musisz się tak zachowywać, ponoś tego konsekwencje – odparł Dick ze znużeniem. – To jest istota ludzka. Musi jeść. Dlaczego ma koniecznie doprowadzić wannę do porządku natychmiast? Przecież może ją czyścić przez kilka dni, jeśli tak wiele to dla ciebie znaczy.

– To mój dom – powiedziała. – On jest moim służącym, nie twoim. Nie wtrącaj się.

– Posłuchaj – rzekł ostro. – Ja naprawdę ciężko pracuję. Cały dzień użeram się w polu z tymi leniami, żeby cokolwiek zrobili. Wiesz o tym dobrze. Kiedy wracam do domu,

nie mam ochoty na niekończące się awantury, cholera, rozumiesz? Nie życzę sobie. Oprzytomnij wreszcie. Jeśli chcesz, żeby dla ciebie pracowali, postępuj z nimi odpowiednio. I nie spodziewaj się za wiele. W końcu to tylko dzikusy. – Dickowi nie przyszło jakoś do głowy, że to właśnie te dzikusy przez całe lata gotowały dla niego lepiej niż żona, prowadziły dom i zapewniały mu życie wygodne na tyle, na ile jego nędzna egzystencja mogła być wygodna.

Mary była wprost nieprzytomna ze złości. Tym razem naprawdę chciała go zranić, ukarać za tę niebywałą arogancję.

– Czy ty aby nie za wiele ode mnie oczekujesz, co? – Na skraju katastrofy opanowała się, ale nie mogła powstrzymać się całkiem i po chwili wahania dodała: – Bo mnie się wydaje, że tak! Myślisz, że będę żyła w tej ruderze jak jakaś biała biedota. Mam ci codziennie gotować obiadki, a ty nawet stropu nie zrobiłeś... – Mówiła głosem zupełnie dla siebie nowym, przejętym prosto od matki, która identycznie kłóciła się z ojcem o pieniądze. Był to nie tyle głos samej Mary (której w gruncie rzeczy nie zależało ani na wannie, ani na tym, czy służący zostaje, czy odchodzi), ile głos cierpiącej kobiety, która chce udowodnić mężowi, że nie da się traktować w ten sposób. Za chwilę zaczęła płakać, tak samo jak jej matka płakała w takich razach – z godnością męczennicy.

Dick rzekł ostro, blady ze złości:

– Kiedy się pobieraliśmy, lojalnie uprzedzałem, czego możesz się spodziewać. Nie zarzucisz mi, że cię okłamałem. Ostrzegałem cię. Wiele żon farmerów tak żyje i nie robią z tego powodu piekła. A co do stropu, to możesz sobie najwyżej o nim pomarzyć. Sześć lat mieszkam w tym domu i jakoś nic mi się nie stało. Ciesz się tym, co masz.

Zatkało ją z oburzenia. Nigdy dotąd tak nie mówił. Serce stwardniało w niej na kamień i nic już nie byłoby w sta-

nie go zmiękczyć, chyba że on przeprosi i będzie błagał o wybaczenie.

– Załatwiłem, że służący zostaje. Masz traktować go należycie. Nie rób więcej z siebie idiotki – zapowiedział.

Natychmiast poszła do kuchni, wręczyła służącemu pieniądze, które mu się należały, niechętnie odliczając każdy szyling, i zwolniła go. Wróciła wyniosła i tryumfująca. Ale Dick nie uznał jej zwycięstwa.

– Nie mnie robisz na złość, tylko sobie – stwierdził. – Jak tak dalej pójdzie, nie znajdziesz nikogo. Wieści o kobietach, które nie wiedzą, jak traktować służbę, rozchodzą się szybko.

Kolację zrobiła sama, męcząc się z kuchenką, a potem, kiedy Dick, jak zawsze wcześniej, położył się spać, siedziała samotnie we frontowym pokoju. Po jakimś czasie, czując się w małym pomieszczeniu jak w klatce, wyszła w ciemność przed dom i chodząc tam i z powrotem ścieżką między murkami z kamienia mającego bielą w mroku, starała się ochłodzić rozpaloną twarz i uspokoić nerwy. Nad wzgórzami pojawiła się błyskawica. Tam, gdzie sięgał pożar, widoczna była mglista czerwona poświata; panowała duchota. Mary czuła przepelniającą ją nienawiść. Chodzi bez sensu w ciemnościach, gdzieś w środku znienawidzonego buszu, przed tym chlewem, który Dick nazywa domem, mając na głowie wszystkie prace domowe... A jeszcze kilka miesięcy temu żyła, jak chciała, w mieście, wśród przyjaciół, którzy ją kochali i potrzebowali jej. Zaczęła płakać, coraz bardziej rozżalała się nad sobą. Przepłakała kilka godzin, aż wreszcie miała dosyć chodzenia. Powlokła się do łóżka, czując się jak pobita.

Napięcie między nimi trwało cały, trudny do wytrzymania, tydzień, aż wreszcie spadł deszcz, powietrze ochłodziło się i atmosfera zelżała. Nie przeprosił jej. Po prostu nie było mowy o incydencie. Zostawili nierozwiązany kon-



flikt, o którym nikt nie wspominał, i żyli dalej, jakby nic się nie stało. Ale ta sprawa zmieniła ich oboje. Choć pewność siebie Dicka nie trwała długo, gdyż bardzo szybko z powrotem popadł w zależność od Mary, a w jego głosie znów brzmiała dobrze jej znana, przepraszająca nuta, wciąż żywił do niej głęboką urazę. Ponieważ zachowywał się poprawnie, ze względu na wspólne życie powściągnęła niechęć do niego, choć nie było to wcale łatwe. Winą obarczyła tubylca, który oszedł, a pośrednio wszystkich tubylców.

Pod koniec tygodnia przyszedł list od pani Slatter, zapraszającej ich oboje na wieczorne przyjęcie.

Dick nie miał wielkiej ochoty jechać, ponieważ raczej unikał tego rodzaju spotkań. Źle się czuł w tłumie ludzi, chciał jednak przyjąć zaproszenie ze względu na Mary. Ona tymczasem odmówiła. Napisała oficjalny list z podziękowaniem, wyrażając ubolewanie i tak dalej.

Pani Slatter zaprosiła ich pod wpływem impulsu, z czystej życzliwości, bo nadal żal jej było Mary mimo jej nieprzystępnej dumy. Ale list ją uraził; był jak żywcem wyjęty z podręcznika pisania listów. Taki oficjalny ton zupełnie nie pasował do swobodnych, przyjacielskich stosunków panujących w dystrykcie. Bez słowa pokazała go mężowi, unosząc przy tym lekko brwi.

– Zostaw ją w spokoju – poradził Charlie Slatter. – Niedługo skończy się to zadzieranie nosa. Ma przewrócone w głowie i tyle. Przejdzie jej. A zresztą to żadna strata. Obojgu jednak ktoś powinien przemówić do rozumu. Turner sam pcha się w kłopoty. Tak buja z głową w chmurach, że nawet nie wypalił pasów przeciwpożarowych! I sadi drzewa. Drzewa! Traci pieniądze na sadzenie drzew, a tonie w długach.

Na farmie pana Slattera nie zostało już prawie wcale drzew. Był to wynik rabunkowej gospodarki: ziemia pocię-

ta była wielkimi kanałami, a całe akry dobrej ciemnej gleby, wyjałowionej złym użytkowaniem. Ale dorobił się pieniędzy, a o to chodziło. Złościło go, gdy myślał sobie, że tak łatwo jest zrobić pieniądze, a Dick Turner, cholerny dureń, wyglupia się z drzewami. Powodowany życzliwością, a także w pewnym sensie rozpaczą, pojechał pewnego ranka zobaczyć się z Dickiem, ale nie do domu (nie miał ochoty widzieć tej zarozumiałej idiotki Mary), tylko na pole. Przez trzy godziny starał się przekonać Dicka do uprawy tytoniu zamiast kukurydzy i „jakichś drobiazgów”. Sarkastycznie wyrażał się o „drobiazgach”, czyli fasoli, bawełnie i konopiach sunn, których zwolennikiem był Dick. A Dick trwał przy swoim. Lubił swoje uprawy, lubił mieć troszkę tego i troszkę tamtego. Tytoń wydawał mu się nieludzki; to nie jest zajęcie dla rolnika, bo wszystko odbywa się raczej jak w fabryce: suszarnie, magazyny i wstawanie w nocy, żeby sprawdzić temperaturę.

– A co zrobisz, jak rodzina zacznie ci się powiększać? – spytał Charlie obcesowo, świdrując Dicka niebieskimi oczkami.

– Jakoś sobie poradzę – upierał się Dick.

– Dureń jesteś – orzekł Charlie. – Dureń. Nie mów potem, że cię nie uprzedzałem. I nie przychodź do mnie po pożyczkę, kiedy twojej żonie brzuch się zaokrągli i będziesz potrzebować gotówki.

– Nigdy cię o nic nie prosiłem – odparł Dick butnie, a twarz mu pociemniała z urażonej dumy.

W tym momencie obaj mężczyźni poczuli do siebie czystą nienawiść. Jednak pomimo znacznych różnic temperamentu szanowali się wzajemnie. Może dlatego, że w gruncie rzeczy dzielili ten sam los? Rozstali się w przyjaznym nastroju, choć Dickowi bardzo się nie podobał rubaszny humor Charliego.

Po jego odjeździe wrócił do domu niemal chory po tej

rozmowie. Stres zawsze odbijał się u niego na żołądku, i teraz obawiał się, że dostanie torsji. Ale ukrył to przed Mary, nie mógł jej bowiem zdradzić głównej przyczyny swego stanu. Teraz, kiedy jego małżeństwo okazało się nieporozumieniem i wyglądało na to, że nie da się nic naprawić, najbardziej na świecie pragnął dzieci. Może zbliżyłoby to ich do siebie i zburzyło tę niewidzialną barierę? Ale na dzieci nie było ich stać. Kiedy na początku powiedział Mary (myśląc, że może ona też ich pragnie), że będą musieli jakiś czas poczekać, zgodziła się z wyraźną ulgą. Na pewno to była ulga, nie mylił się. Ale może, kiedy już minie najtrudniejszy dla niego okres, będzie chciała mieć z nim dzieci.

Pracował zatem jeszcze więcej, aby żyło im się lepiej i żeby mogli zdecydować się na dzieci. Planował, obmyślał i marzył cały dzień, stojąc na swojej ziemi i pilnując czarnych robotników. Tymczasem sytuacja w domu wcale się nie poprawiła. Mary po prostu nie umiała dogadać się z tubylcami. Musiał się z tym pogodzić; taka już jest, i nie da się tego zmienić. Żaden kucharz nie zagrzał miejsca dłużej niż miesiąc, wciąż powtarzały się sceny i trwała wojna nerwów. Zacisnąwszy zęby, Dick znosił jakoś to wszystko, czując niejasno, iż to z jego winy Mary ma takie ciężkie życie. Czasami jednak nie mógł wytrzymać i wybiegał z domu, trzęsąc się z irytacji. Gdyby tylko miała czym wypełnić sobie czas! I to był problem.

## Rozdział 6

Przez zwykły przypadek Mary pewnego dnia wzięła ze sklepu broszurę na temat pszczelarstwa i zawiozła ją do domu, ale nawet gdyby tego nie zrobiła, stałoby się to w jakiś inny sposób. Dzięki temu zaś miała okazję przekonać się, jaki naprawdę jest Dick. Także dzięki kilku słowom usłyszonym również przypadkiem tego samego dnia.

Rzadko jeździli na oddaloną o siedem mil stację; dwa razy w tygodniu wysyłali tam tubylca po pocztę i zakupy spożywcze. Wychodził koło dziesiątej rano z pustym workiem po cukrze przewieszonym przez ramię, a wracał po zmierzchu z pełnym oraz z pakunkiem zawierającym mięso. Ale krajowiec – korzystnie wyposażony przez naturę pod tym względem, że może iść długo, nie odczuwając zmęczenia – nie dałby rady przydźwigać worków z mąką i mączką kukurydzianą; raz w miesiącu zatem wybierali się na stację samochodem.

Po złożeniu zamówienia Mary stała na długiej sklepowej werandzie wśród stosów skrzyń i worków, przyglądając się załadunkowi towarów do samochodu. Czekwała na Dicka, który poszedł coś załatwić. Kiedy wreszcie się pokazał, zatrzymał go nieznany jej mężczyzna i zapytał:

– No co, Jonaszu? Znowu zalało ci farmę w tym sezonie?

Odwróciła się w tamtą stronę i spojrzała uważnie. Jeszcze kilka lat temu nie wychwyciłaby pogardy w wypowiedzianych od niechcienia, żartobliwych słowach.

Dick uśmiechnął się i odparł:

– Fakt, że w tym roku zdrowo popadało, ale nie jest tak źle.

– Szczęście tym razem dopisało, co?

– Na to wygląda.

Gdy wrócił do niej, jego uśmiech zniknął, i twarz miał znów napiętą.

– Kto to był? – spytała.

– Trzy lata temu, zaraz po naszym ślubie, pożyczyłem od niego dwieście funtów.

– Nic nie mówiłeś.

– Nie chciałem cię martwić.

Po chwili spytała:

– Oddałeś?

– Zostało mi jeszcze pięćdziesiąt funtów do oddania.

– Dasz radę w przyszłym sezonie? – Głos miała spokojny i pełen troski.

– Przy odrobinie szczęścia.

Na twarzy Dicka pojawił się ten jego dziwny uśmiech, będący raczej grymasem, samokrytyczny i przegrany. Nienawidziła, gdy się tak uśmiechał.

Załatwili wszystko, odebrali listy na pocztę i kupili mięso na cały tydzień. Idąc po spieczonym, wyschłym błocie zalegającym w tych miejscach, gdzie podczas pory deszczowej zbierały się kałuże, Mary osłaniała oczy ręką i nie patrząc w stronę Dicka, mówiła coś z wymuszoną wesołością. Próbował odpowiadać w podobnym duchu. Dla obojga było to tak nienaturalne, że napięcie między nimi stało się jeszcze bardziej wyraźne. Kiedy doszli do sklepu, pod którym leżało pełno pakunków i worków, uderzył się w nogę o pedał stojącego roweru i zaczął kląć

z gwałtownością nieproporcjonalną do tak drobnego incydentu. Wszyscy obecni tam spojrzeli na nich. Mary szła dalej, jakby nigdy nic, tyle że coraz bardziej czerwona na twarzy. W milczeniu wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku domu, przejeżdżając przez tory kolejowe i mijając pocztę. W rękę trzymała broszurę o pszczołach. Wzięła ją ze sklepu, ponieważ podczas lunchu często znad dachu dołatywało wyraźne brzęczenie, a Dick wyjaśnił, że to szum rojących się pszczoł. Przyszło jej do głowy, że może na pszczołach dałoby się zarobić parę groszy. Ale napisana pod kątem warunków angielskich broszura okazała się jej zdaniem nieprzydatna. Wachlowała się nią zatem w drodze i odganiała muchy brzęczące nad głową, które zbierały się na płóciennym dachu samochodu, zwabione zapachem mięsa. Z niepokojem wracała myślą do pogardy w głosie spotkanego na stacji mężczyzny, zaprzeczającej jej dotychczasowemu wyobrażeniu o Dicku. Może nawet była to nie tyle pogarda, ile raczej politowanie? Ona też nim pogardzała, ale jako mężczyzną; jako mężczyzna nie liczył się dla niej, nie brała go pod uwagę. Szanowała go natomiast jako farmera. Szanowała jego niebywałą pracowitość i poświęcenie. Wierzyła, że przechodzi po prostu okres trudności, po którym zacznie osiągać wreszcie skromne dochody, podobnie jak większość farmerów. W jej uczuciach do męża, gdy myślała o jego pracy, było sporo podziwu, a nawet pewna serdeczność.

Ona, która kiedyś brała wszystko powierzchownie, nie zważając na to, czy ton głosu bądź wyraz oczu nie zaprzeczają treści wypowiedzi, przez całą drogę do domu głowiła się nad tym, co też miało oznaczać politowanie słyszalne w głosie tamtego mężczyzny. Po raz pierwszy zaniepokoiła się, czy nie łączy się co do pewnych spraw. Spoglądając teraz z boku na Dicka, widziała coś, czego nie zauważyła

wcześniej, i miała to sobie za złe. Trzymające kierownicę szczupłe, spalone przez słońce na kolor kawy ręce drżały stale, choć niemal niedostrzegalnie; usta miał mocno zaciśnięte. Pochylony do przodu, kurczowo trzymając kierownicę, wpatrywał się w wąską, krętą drogę przez busz, jakby usiłował zobaczyć na niej swoją przyszłość.

W domu rzuciła broszurę na stół i poszła wypakować produkty spożywcze. Kiedy wróciła, Dick pochłonięty był lekturą. Nie usłyszał nawet, że powiedziała coś do niego. Zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że czasami zapomniał o bożym świecie; zdarzało się, że przez cały posiłek nie odzywał się ani słowem, nie zauważając nawet, co je, tylko z marsem na czole rozmyślał o jakimś problemie dotyczącym farmy. Nauczyła się nie zawracać mu wówczas głowy. Uciekała w świat własnych myśli, czy też raczej pograżała się w umysłowej apatii. Czasami przez całe dni nie odzywali się do siebie.

Po kolacji, zamiast położyć się jak zwykle koło ósmej, usiadł przy stole pod kołyszącą się łagodnie lampą parafinową i zaczął robić obliczenia na skrawku papieru. Przyglądała mu się, siedząc beczynnie, ze splecionymi rękami. Była to teraz jej charakterystyczna poza; milczała przy tym, jakby czekając, że coś z zewnątrz pobudzi ją do działania. Po jakiejś godzinie Dick odsunął zapisane kartki i podciągnął lekko spodnie radosnym sztubackim gestem, jakiego jeszcze u niego nie widziała.

– Co myślisz o pszczołach, Mary?

– Nie wiem nic na ten temat, ale może to nie jest zły pomysł.

– Pojadę jutro do Charliego. Mówił mi kiedyś, że jego szwagier w Transwalu trzymał pszczoły. – Mówił to z taką energią, jakby nagle wstąpiło w niego nowe życie.

– Z tym że ta książeczka dotyczy warunków panują-

cych w Anglii – wyraziła powątpiewanie, biorąc broszurę do ręki. To trochę mało, żeby tak się podniecać, mało nawet na zwykłe, nieszkodliwe hobby.

Następnego dnia po śniadaniu Dick pojechał porozmawiać z Charliem Slatterem. Wrócił zadowolony, ale z wyrazem uporczywości na twarzy i pogwizdując zawadiacko. Mary zaniepokoiło to pogwizdywanie; dobrze je znała. Zawsze się tak zachowywał, gdy ona wpadała w złość i wściekała się z powodu domu albo z powodu trudności z wodą. Jak sztubak wkładał wtedy ręce do kieszeni i gwizdał niby wesoło, a tak naprawdę żałośnie. Doprowadzał ją do szału tym, że nie umiał się jej przeciwstawić wprost.

– Co powiedział Charlie? – spytała.

– Odradza mi. Ale fakt, że jego szwagrowi się nie udało, nie znaczy wcale, że mnie się też nie uda.

Pojechał w pole, odruchowo kierując się w stronę plantacji drzew, stu akrów najlepszej ziemi na farmie, gdzie kilka lat wcześniej zasadził eukaliptusy. To właśnie ta plantacja tak bardzo irytowała Charliego Slattera; może dlatego, że czuł się winny – do czego nie chciał się nawet przed samym sobą przyznać – iż on nie oddał ziemi tego, co jej zabrał.

Dick często stawał na skraju plantacji i patrzył na poruszane wiatrem wierzchołki młodych drzewek, które pochylały się, falowały i drżały. Zasadził je pod wpływem impulsu, ale było to zarazem spełnienie jego marzeń. Jeszcze nim kupił farmę, spółka kopalniana wycięła wszystkie drzewa w tym miejscu, zostawiając tylko karłowate krzaki i połacie trawy. Drzewa odrastały, ale na całych trzech tysiącach akrów widać było jedynie skarłowaciałe, brzydkie odrosty na pniach. Na całej farmie nie było ani jednego zdrowego drzewa. A to w końcu wcale nie tak wiele zasadzić sto akrów porządnych drzew, z których wyrosną kiedyś olbrzymy o białej korze. To zaledwie drobna rekompensata



dla natury. Było to ulubione miejsce Dicka. Kiedy czymś się martwił albo pokłócił się z Mary, albo też chciał spokojnie pomyśleć, przychodził tu i patrzył na swoje drzewa. Czasem spacerował między długimi ich rzędami, wśród kołyszących się lekko gałęzi obsypanych małymi gładkimi liśćmi, które lśniły jak monety. Dzisiaj rozmyślał tu o pszczołach. Po długim czasie dopiero uświadomił sobie, że tego dnia jeszcze nie był w polu, z westchnieniem więc porzucił plantację i udał się do robotników.

Podczas lunchu znowu się nie odzywał. Owładnęła nim obsesyjnie myśl o hodowli pszczół. Wyjaśnił w końcu powątpiewającej Mary, że wedle wstępnych szacunków na pasiece mógłby zarobić jakiejś dwieście funtów rocznie. Był to dla niej szok, bo nie wyobrażała sobie, że miał na myśli coś więcej niż kilka uli i przynoszące niewielki dochód hobby. Ale wyklócanie się z nim nie miało sensu. Nie da rady spierać się z liczbami, a z jego rachunków jasno wynikało, że te dwieście funtów to pewniak. Co mogła powiedzieć? Nie miała żadnego doświadczenia; jedynie instynkt podpowiadał jej, żeby za bardzo nie wierzyć w pszczoły.

Przez dobry miesiąc Dick żył jak pogrążony we śnie, marząc o wielkich plastrach miodu i rojach pracowitych pszczół. Własnoręcznie zrobił dwadzieścia uli, niedaleko pasieki zasadził akr specjalnej trawy. Zabrał kilku robotników od zwykłej pracy i wysłał ich na *veld* w poszukiwaniu rojących się pszczół. Co wieczór, gdy słońce zachodziło, wykurzał roje, starając się złapać królową. Powiedziano mu, że to dobry sposób. Ale bardzo wiele pszczół przy tym zginęło, a królowej i tak nie znalazł. Potem poustawiał ule na *veldzie* niedaleko zlokalizowanych rojów, mając nadzieję, że pszczoły same wprowadzą się do uli. Ale żadna nawet nie podleciała w pobliże małych domków. Może afrykańskim pszczołom nie spodobały się ule zrobione na angielską modłę? Kto wie? Dick nie wiedział. W końcu jeden

rój osiedlił się w ulu, ale nie sposób uzyskać dwustu funtów rocznie z jednego ula. Później Dick został mocno pożądlony, i to chyba jad pszczeli wyleczył go z obsesji. Mary, zdziwiona i trochę zła, zauważyła, że ów wyraz rozmarzenia zniknął z jego twarzy, gdy już zmarnował kilka tygodni i całkiem sporo pieniędzy. Z dnia na dzień stracił zainteresowanie pszczołami. W sumie z ulgą powitała ten jego powrót do normalnego życia, toczącego się wokół zbiorów i upraw. Rojenia o pasiece były jak chwilowe szaleństwo, które sprawiło, że przestał być sobą.

Sześć miesięcy później rzecz się powtórzyła. Mary nie chciała wierzyć własnym oczom, gdy zastała męża na studiowaniu w czasopiśmie rolniczym bardzo zachęcającego artykułu o dochodowości hodowli trzody chlewnej. Usłyszała:

– Mary, mam zamiar kupić kilka świń od Charliego.

Zareagowała ostro:

– Chyba nie zamierzasz zacząć od nowa?!

– Czego zacząć od nowa?

– Doskonale wiesz, o czym mówię. Te twoje zamki na lodzie... Zajmij się lepiej farmą.

– Hodowla świń to przecież również zajęcie farmera. A Charliemu bardzo dobrze ze świniami poszło. – I zaczął pogwizdywać.

Wyszedł na werandę, uciekając przed jej pełnym złości i wyrzutu spojrzeniem, a ona nagle w tym wysokim, szczupłym, lekko przygarbionym mężczyźnie zobaczyła małego chłopca zuchowato upierającego się przy swoim, choć wylano na niego kubek zimnej wody. Choć chłopiec ten szedł pewnym siebie krokiem i pogwizdywał, było w nim coś, co z góry skazywało go na przegraną. Gdy słyszała to melancholijne pogwizdywanie z werandy, chciało się jej płakać i krzyczeć. Ale właściwie dlaczego? Czemu Dick nie miałby się dorobić na tych świninach? W końcu innym się

udało. Jednak nadzieje na dochód wiązała przede wszystkim z końcem sezonu, kiedy się okaże, ile zarobili. Nie powinno być źle; rok był dobry, deszcze okazały się dla Dicka łaskawe.

Chlewy postawił między skałami na wzgórzach. Był dumny, że zaoszczędził w ten sposób na ceglach, wykorzystując skały jako ściany. Z dużych kamieni wzniósł główną konstrukcję, do której przymocował przepierzenia z drewna i trawy. Upierał się, że budując w ten sposób, zaoszczędził masę pieniędzy.

– A czy nie będzie tam za gorąco? – spytała Mary.

Stali między nieukończonymi chlewami. Niełatwo było wejść na wzgórze przez splątaną trawę i chwasty, które czeptały się nóg, pozostawiając na odzieży kolczaste nasiona, wbijające się jak kocie pazury. Na szczycie rósł wielki, rozgałęziony wilczomlec, który wedle słów Dicka miał dawać cień i chłód. Ale nawet w cieniu rzucanym przez grube, mięsiste, przypominające świece gałęzie było bardzo ciepło. Do tego stopnia, że Mary rozboleła głowa. Rozgrzanych kamieni nie dało się dotknąć. Zdawać się mogło, że granit zmagazynował w sobie gorąco zbierane w ciągu kilku miesięcy. Popatrzyła niepewnie na psy, które dyszały, wyciągnięte u stóp ludzi.

– Mam nadzieję, że świnię nie są wrażliwe na upał.

– Ależ mówię ci, że nie będzie gorąco – zapewnił. – Zresztą postawię osłony od słońca.

– Skwar bije nawet od ziemi.

– Wiesz co, Mary? Łatwo tak wszystko krytykować, ale dzięki temu pomysłowi sporo zaoszczędziłem. Nie stać mnie na wydanie pięćdziesięciu funtów na cement i cegły.

– Wcale cię nie krytykuję – zapewniła pośpiesznie, słysząc defensywną agresję w jego głosie.

Kupił sześć drogich świń od Charliego Slattera i umieścił je w skalnych chlewach. Świnię jednak trzeba karmić,

a to kosztuje, gdy paszę trzeba kupować. Okazało się, że Dick musiał zamówić dużo kukurydzy. Postanowił przeznaczyć dla świń całe mleko od krów, z wyjątkiem niewielkiej ilości na użytek domowy. Odtąd co rano Mary szła do spiżarni i z mleka przyniesionego z obory odlewała pół litra. Resztę stawiała na stole w kuchni, żeby się skwasiło, ponieważ Dick wyczytał gdzieś, że bekon ze świń karmionych zsiadłym mlekiem jest o wiele lepszy niż wówczas, gdy daje się im mleko świeże. Nad fermentującym białym kożuchem zbierały się muchy, a cały dom przesiąknięty był kwaskowym odorem.

No, a kiedy przyjdą na świat prosięta, a następnie urosną, trzeba będzie pomyśleć o ich transporcie, sprzedaży i tak dalej... Jednak, jak się okazało, żadnych takich problemów nie było, bo prosiaki niemal natychmiast po przyjściu na świat zdechły. Dick orzekł, że to choroba zaatakowała świnię; już on takie ma szczęście... Mary zauważyła sucho, że jej zdaniem wolały nie upiec się przedwcześnie z gorąca. Był jej wdzięczny za ten czarny humor, uwaga rozładowała napięcie. Zaśmiał się z ulgą, drapiąc się po głowie i podciągając spodnie chłopięcym ruchem, po czym zaczął wygwizdywać swoją melancholijną skargę. Mary ze stężałą twarzą opuściła pokój. Kobiety wychodzące za mąż za mężczyzn takich jak Dick prędzej czy później stwierdzają, że mają dwa wyjścia: albo dostawać za każdym razem szału i spalać się w napadach daremnego gniewu i buntu, albo stwardnieć i zgorzknieć. Mary, którą coraz częściej nawiedzało wspomnienie matki, postrzeganej teraz jak starsza, bardziej zgorzkniała kopia jej samej – przez cały czas towarzysząca jej w myślach – wybrała drogę wytyczoną przez otrzymane wychowanie. Złoszczenie się na Dicka godziło w jej dumę; na jej niegdyś miłej, choć mało wyrazistej twarzy pojawił się teraz zacięty upór, jakby nosiła dwie maski, jedną niepodobną do drugiej. Zaciskała mocno usta, ale

zdarzało się im też drżeć z irytacji; gdy wchodziła w konflikt ze służbą, brwi ściągały się ostro w gniewie, lecz wrażliwy kawałek skóry między nimi płonął czerwienią złości. Czasami jej twarz miała twardy wyraz starej kobiety, która nauczyła się spodziewać od życia wszystkiego najgorszego, a czasami wyraz bezbronnej histeryczki. Ale wciąż jeszcze potrafiła wyjść z pokoju w milczeniu, znakomicie wyrażając tym swój krytycyzm.

Zaledwie kilka miesięcy po sprzedaży świń pewnego dnia poczuła lodowaty ucisk w żołądku, zauważywszy dobrze znany wyraz w oczach Dicka, który stał na werandzie i patrzył poprzez mile jednostajnego, brunatnego *veldu* na wzgórze. Nie miała pojęcia, jaka to wizja nawiedziła go tym razem, lecz bała się jej. Milczała jednak, czekając, aż sam jej powie, podniecony jak mały chłopczyk, w wyobraźni już odnoszący sukcesy. Nawet gdy usłyszała, o co chodzi, nie popadła w rozpacz. Usiłowała przekonywać samą siebie, że rok był dobry, a Dick jest zadowolony. Spłacił sto funtów z hipoteki i zostało mu jeszcze tyle, by przeżyli następny rok bez pożyczania pieniędzy. Bezwiednie przyzwyczaiła się już do tego, że każdy sezon mąż oceniał zależnie od wysokości długów, jakich nie zaciągnęli. Kiedy więc patrząc wyzywająco, oznajmił, że czytał ciekawą rzecz o hodowli indyków, zmusiła się nawet do tego, by okazać zainteresowanie. Mówiła sobie, że przecież innym farmerom udaje się na czymś takim zarobić. Prędzej czy później Dickowi też się poszczęści. Może akurat ceny okażą się korzystne albo klimat farmy będzie szczególnie odpowiadał indykom, i w końcu przyniesie to jakiś większy dochód. Wtedy, jakby broniąc się przed zarzutami, których wcale nie postawiła, Dick przypomniał, że przecież niewiele stracił na świniach (o pszczołach najwyraźniej jakoś zapomniał), że był to niedrogi eksperyment. Chlewy nic nie kosztowały, a płace robotników wyniosły zaledwie kilka

szylingów. Prawie całą karmę zaś wytwarzali sami. Mary doskonale pamiętała kupowanie całych worków kukurydzy i to, jak Dick się martwił, skąd weźmie pieniądze na zapłacenie robotników, ale milczała, spuściwszy wzrok, nie chcąc prowokować go do agresji, pojawiającej się, gdy pełen wrogości zaczynał się bronić.

Nigdy ani przedtem, ani potem jego charakter nie objawił się tak wyraźnie jak w dniach indykowej obsesji. Dick prawie nie wyjeżdżał na pola; przez cały dzień pilnował budowy ceglanych domków i wybiegów otoczonych drucianym płotem. Sama metalowa siatka kosztowała przeszło pięćdziesiąt funtów. Potem zostały zakupione indyki, drogie inkubatory, wagi i cała reszta sprzętu, który Dick uznał za nieodzowny. Zanim jednak wykuła się pierwsza partia piskląt, doszedł do wniosku, że mógłby wykorzystać domki i ogrodzenie nie na indyki, ale na króliki. Króliki można tanio wykarmić trawą, no i mnożą się jak... no właśnie, króliki. To prawda, że mięso królicze jest niezbyt popularne (południowoafrykańskie dziwactwo), ale gusty przecież się zmieniają, a sprzedając króliki po pięć szylingów za sztukę, wedle jego wyliczeń zarobią pięćdziesiąt, sześćdziesiąt funtów miesięcznie. A gdyby opłacalność hodowli się sprawdziła, mogliby sprowadzić specjalne gatunki angor, bo słyszał, że ich wełna kosztuje sześć szylingów za funt.

Wówczas, przestając nad sobą panować i nienawidząc się za to, Mary wpadła w furję. Pogardzała sobą za ten wybuch, bo – czego on i tak by nie zrozumiał – dawała mu satysfakcję oglądania jej w takim stanie. Dla niego ta jej złość była czymś strasznym, ale zaparł się, że żona nie ma racji, nie ma też prawa postponować jego starań, może niezbyt skutecznych, ale przecież podejmowanych w jak najlepszych intencjach. Mary złościła się, płakała, wyklinała go, aż wreszcie, opadłszy z sił, siadła zapłakana na kanapie i kiwając się w przód i w tył, próbowała się opanować.

A Dick nie poprawił spodni, nie zaczął gwizdać ani nie zachowywał się jak chłopczyk, którego niesprawiedliwie się czepiają. Długo przyglądał się jej, jak tak siedziała i płakała, aż w końcu rzekł uszczypliwie: „Dobrze, proszę pani”. Mary bardzo się to nie spodobało, bardzo. Złośliwość Dicka ujawniała całą prawdę o ich małżeństwie, do której nie chciała się przyznać. To straszne, że tak łatwo dało się podsumować całą jej pogardę do Dicka. Małżeństwo ich mogło zaś jako tako egzystować tylko pod warunkiem, że mu współczuła i było go jej żal, a nie kiedy nim gardziła.

Nie było już więcej mowy o królikach ani indykach. Sprzedała indyki i wypełniła zagrody kurczakami. Żeby zarobić trochę i kupić sobie jakieś ubranie, powiedziała. Chyba on się nie spodziewa, że będzie chodziła w łachmanach jak byle czarnucha? Najwyraźniej niczego się nie spodziewał, bo nawet nie odpowiedział na zaczepkę. Znowu był czymś pochłonięty. Bez cienia winy czy skruchy w głosie oznajmił, że ma zamiar otworzyć na farmie sklep dla krajowców. Unikając wzroku żony, po prostu stwierdził fakt, rzeczowym tonem, mówiącym wyraźnie, że jeśli jej się ten pomysł nie podoba, to trudno. Wszyscy wiedzą, że sklepy dla czarnych przynoszą furi pieniędzy. Charlie Slatter ma taki sklep u siebie; mnóstwo farmerów je prowadzi. To prawdziwa kopalnia złota. Mary zmartwiała, słysząc słowa „kopalnia złota”, jako że pewnego dnia natknęła się za domem na kilka wyschniętych, zarośniętych zielskiem rowów, a on przyznał się, że wykopał je kilka lat temu, szukając eldorado kryjącego się na pewno pod ziemią farmy. Zauważyła cicho:

- Pięć mil stąd jest sklep na farmie Slattera, więc czy ma sens otwieranie tutaj drugiego?
- Mam tu przecież około stu tubylców.
- Przy piętnastu szylingach miesięcznie, jakie zarabiają, nie wydadzą u ciebie tyle, żebyś stał się Rockefellerem.

– Wielu czarnych przechodzi tędy – obstawał przy swoim.

Złożył podanie o pozwolenie na handel i otrzymał je bez trudu. Potem zbudował sklep. Dla Mary było to potworne, jak jakiś omen: brzydki, złowrogi sklep z jej dzieciństwa przywędrował za nią aż tutaj, do domu.

Postawiony nieopodal, składał się dwóch pomieszczeń: mniejszego, przedzielonego na pół ladą, oraz większego, służącego za magazyn – na początku towar zmieści się na półkach, ale gdy rozszerzą działalność, przyda się drugie pomieszczenie.

Mary, chora z przygnębienia, pomagała Dickowi układać towary, wzdrygając się, gdy dotykała tanich, pachnących chemią materiałów albo koców, które nawet nieużywane wydawały się szorstkie i brudne. Zawiesili świecidełka z kolorowego szkła, mosiądzu i miedzi; wprawiała je w brzęczący ruch, uśmiechając się w milczeniu do wspomnień z dzieciństwa, kiedy tak wielką przyjemność sprawiało jej patrzeć na kołyszące się sznurki połyskujących koralików. Pomyślała, że te dwa pomieszczenia dobudowane do domu uczyniłyby ich życie wygodniejszym; pieniądze wydane na sklep, na wybiegi dla indyków, na chlewy i na ule wystarczyłyby na strop, będący jedynym lekarstwem na strach przed kolejną gorącą porą. Ale czy mówienie o tym miało jakikolwiek sens? Czowała się tak, jakby rozpływała się we łzach beznadziei i najgorszych przeczuć; nie rzekła zatem słowa i pomagała Dickowi urządzać wszystko, aż skończyli przygotowania.

Kiedy sklep był gotów i pełen towarów, Dick tak się cieszył, że pojechał na stację i kupił dwadzieścia tanich rowerów. Było to dość ryzykowne posunięcie, ponieważ guma jest nietrwała i szybko się niszczy, ale przecież robotnicy ciągle proszą o zaliczkę, bo chcą kupić rower; niech w takim razie kupują u niego. Potem wynikła kwestia, kto po-



prowadzi sklep. Kiedy już interes się rozkręci, powiedział, zatrudnimy sprzedawcę. Mary zamknęła oczy i westchnęła. Jeszcze nawet nie zaczęli handlować, do zwrotu pieniędzy zainwestowanych w przedsięwzięcie było daleko, on mówił o zatrudnieniu sprzedawcy, co oznaczało wydatek rzędu co najmniej trzydziestu funtów miesięcznie. Dlaczego nie zatrudnić krajowca? – spytała. Nie można ufać czaruchom, odrzekł, gdy w grę wchodzi pieniądze. Dodał, iż od początku było dla niego oczywiste, że to ona poprowadzi sklep; przecież i tak nie ma nic do roboty. Tę ostatnią uwagę wygłosił szorstkim, pełnym niechęci głosem, który w tym czasie był jego zwykłym sposobem zwracania się do niej.

Mary ostro odparła, że prędzej umrze, niż jej stopa tam postanie. Nie zmusi jej do tego!

– Korona ci z głowy nie spadnie – odparł Dick. – Chyba że to poniżej twojej godności stanąć za ladą?

– Sprzedawać murzyńską tandetę czarnym! – jęknęła.

Ale tak naprawdę wcale nie o to chodziło, jeszcze nie wtedy, nim zaczęła tę pracę. Nie mogła się przyznać Dickowi, że zapach sklepu przywoływał wspomnienia z dzieciństwa, kiedy z lękiem patrzyła na rzędy butelek na półkach, zastanawiając się, którą ojciec będzie dziś wieczór trzymał w ręku. Przypominało się jej, jak matka wieczorem przeszukiwała kieszenie ojca, który z otwartymi ustami chrapał rozwalony w fotelu; jak następnego dnia ona sama była wysyłana do sklepu po jedzenie, które nie pojawiała się potem w comiesięcznym rachunku. Nie mogła o tym powiedzieć Dickowi z prostego powodu. Otóż on tak bardzo kochał się jej teraz z nędzą dzieciństwa i beznadzieją, że byłoby to jak wyklócanie się z nieuchronnym losem. W końcu zgodziła się sprzedawać w sklepie; nic innego jej nie pozostało.

Teraz gdy podczas wykonywania domowych zajęć spo-

glądała przez drzwi kuchenne, widziała wśród drzew nowy, błyszczący dach. Od czasu do czasu szła kawałek ścieżką w tamtą stronę, aby sprawdzić, czy ktoś nie chce czegoś kupić. O dziesiątej rano pod drzewami siedziało już kilka czarnych kobiet z dziećmi. Jeśli mężczyzn krajowców nie lubiła, to do ich kobiet czuła prawdziwą odrazę. Nienawidziła tej ich wiecznie eksponowanej cielesności; nie znosiła widoku miękkich brązowych ciał i miękkich nieśmiałych twarzy, które potrafiły być jednocześnie zuchwałe i wścibskie; drażniły ją trajkoczące głosy o bezwstydnym, zmysłowym odcieniu. Kobiety napełniały ją wstrętem, gdy tak siedziały na trawie z podkulonymi nogami, w tradycyjnej, odwiecznej pozie, jakby nieważne było dla nich, czy sklep jest otwarty, czy też pozostanie zamknięty przez cały dzień i nazajutrz będą musiały znowu przyjść. Przede wszystkim zaś nienawidziła tego, jak karmiły swoje dzieci, tych piersi obnoszonych tak, że każdy mógł je zobaczyć; w ich spokojnym, pełnym zadowolenia z siebie macierzyństwie było coś, co sprawiało, że krew się w niej gotowała. „Dzieci wiszą na nich jak pijawki” – mówiła sobie, otrząsając się z przerażeniem na samą myśl o karmieniu. Wyobrażenie dziecięcych ust na własnej piersi wywoływało w niej obrzydzenie; mimowolnie wtedy przyciskała ręce do piersi, jakby broniąc ich przed takim pogwałceniem. A ponieważ wiele białych kobiet myśli podobnie jak ona i co prędzej przechodzi na karmienie butelką, nie była w tym osamotniona i wcale nie uważała, że działo się coś z nią nie tak. To raczej czarne kobiety są dziwne: obce, prymitywne istoty o odrażających potrzebach i pragnieniach, o których wolą nie myśleć.

Kiedy zebrało się ich już dziesięć czy dwanaście – barwna na tle zieleni drzew i trawy grupka czekoladowych ciał z zawiązanymi na głowach chustkami i z wielkimi metalowymi kolczykami – brała klucze z haczyka w szafie (wie-

szali je tam, żeby służący nie wiedział, gdzie są, i nie podkradał niczego ze sklepu, gdy nie jest pilnowany) i osłaniając oczy od słońca, szła do sklepu, aby jak najszybciej mieć to z głowy. Otwierała drzwi tak zamasyście, że uderzały głośno w ceglana ścianę, i zaraz po wejściu do ciemnego wnętrza marszczyła lekko nos z powodu zapachu. Po chwili wolno schodziły się kobiety. Palcami pokazywały sobie towary, przykładały lśniące paciorki do ciemnej skóry, wydając okrzyki zachwytu oraz pełne przerażenia westchnienia nad ceną. Dzieci przywierały do pleców matek (jak małpki, myślała) albo trzymały się kurczowo ich spódnic, przyglądając się białoskórej Mary, a w kącikach ich oczu gromadziły się muchy. Spędzała w sklepie jakieś pół godziny, wyniosła i powściągliwa. Bębniąc palcami w drewniany blat, krótko i rzeczowo odpowiadała na pytania o ceny i jakość. Nie miała zamiaru sprawiać kobietom przyjemności targowaniem się. Po jakimś czasie ogarniało ją poczucie, że ani chwili dłużej nie wytrzyma w tej duchocie, z tłumem trajkoczących, śmierdzących istot. Mówiła ostro w języku fanagalo: „Pośpieszcie się!”. Jedna po drugiej wychodziły. Ich radość i wesołość nagle przygasały, gdyż kobiety wyczuwały, że ich nie lubi.

– Mam tam wystawać godzinami tylko po to, żeby któraś łaskawie wydała sześć pensów na sznurek paciorków? – spytała.

– Przynajmniej masz coś do roboty – odparł Dick z tą nową u niego, brutalną obojętnością, nawet na nią nie patrząc.

To sklep wykończył Mary, zarówno obowiązek stania za ladą, jak i świadomość, że na jej nieszczęście jest tam, tuż obok, na końcu ścieżki pełnej kleszczy atakujących nogi. Ale oficjalnie zbuntowała się przy rowerach. Nie wiedzieć czemu, w ogóle ich nie sprzedali. Może ten typ akurat krajowcom nie odpowiadał; trudno powiedzieć. W końcu po-

szedł jeden, reszta została na zapleczu. Ustawione do góry kołami, przypominały metalowe szkielety w gumowych osłonkach. Guma sparciała; rozciągnięta, wyglądała jak płótno z przyczepionymi szarymi płatkami. Kolejne pięćdziesiąt funtów poszło na marne! W zasadzie na samym handlu nie tracili, ale nie zarabiali też wiele. Gdy doliczyć koszt nabycia rowerów oraz budowy, przedsięwzięcie przyniosło w sumie sporą stratę, trudno zatem było spodziewać się czegoś więcej niż zwrotu kosztów towarów leżących już na półkach. Jednak Dick się nie zniechęcał.

– Sklep i tak już jest – oświadczył. – Nie możemy sobie pozwolić na dalsze straty. Jakoś sobie poradzisz, Mary. Nic ci nie będzie.

Pomyślała o pięćdziesięciu funtach straty na rowerach. Można było za nie położyć strop albo kupić przyzwoity komplet mebli, które zastąpiłyby tę tandetę, jaką mieli w domu, albo wyjechać na tygodniowy urlop.

Pomysł urlopu, który zawsze planowała, a który nigdy nie wydawał się możliwy, zwrócił myśli Mary w nowym kierunku. Jej życie na jakiś czas nabrało nowego sensu.

Ostatnio codziennie sypiała po południu przez kilka godzin; w ten sposób czas szybciej mijał. Kładła się o pierwszej i budziła o czwartej. Do powrotu Dicka i tak zostawały co najmniej dwie godziny, leżała więc w negliżu na łóżku, ocieżała od snu, z wyschniętymi ustami i bolącą głową. Podczas tych dwóch godzin pół snu, pół jawy pogrążała się w marzeniach o dawnych pięknych czasach, kiedy pracowała w biurze i żyła, jak jej się podobało, nim „ludzie zmusili ją do wyjścia za mąż”. Tak to teraz ujmowała. W ciągu tych szarych, jałowych godzin rozmyślała też, jak to będzie, kiedy Dick w końcu zarobi jakieś pieniądze i wreszcie będą mogli zamieszkać w mieście, choć w tych momentach, kiedy była absolutnie szczera wobec siebie, doskonale wiedziała, że on nigdy do niczego w życiu nie dojdzie. Potem

pojawiła się myśl, że przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żeby uciec i wrócić do dawnego życia; powstrzymywał ją jedynie wzgląd na przyjaciółki i na to, co powiedzą na wieść o rozpadzie jej małżeństwa. Na myśl o przyjaciółkach i ich opiniach powróciły dawne etyczne konwenanse, niemające nic wspólnego z jej prawdziwym życiem. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby stanąć przed nimi; przecież byłby to dowód poniesionej porażki; wciąż cierpiała z powodu poczucia, że jest gorsza. Przez te wszystkie lata zdanie „ona nie jest taka” boleśnie tkwiło w jej świadomości. Pragnienie ucieczki stało się jednak z czasem tak przemożne, że w końcu przeważało obawę przed tym, co ludzie powiedzą. Teraz myślała tylko o jednym: aby wydostać się stąd i znowu stać się osobą, którą była kiedyś. Z drugiej jednak strony między nią obecną a tamtą nieśmiałą, powściągliwą, chętnie dostosowującą się do innych dziewczyną, otoczoną tłumem znajomych, ziała przepaść. Miała świadomość istnienia tej przepaści, ale nie traktowała jej jak czegoś nieodwracalnego. Raczej czuła się tak, jakby nagle przeniesiono ją z roli w sztuce, którą doskonale rozumiała, do zupełnie innej sztuki, w ogóle nieznannej. W tej nowej sztuce była postacią, która jej absolutnie nie odpowiadała, ale sama we własnym odczuciu w ogóle się nie zmieniła. Ziemia, czarni robotnicy, stale obecni w ich życiu, a jednocześnie z niego wyłączeni, Dick w roboczym stroju z rękami pobrudzonymi olejem – to przecież nie jej świat, nie jej rzeczywistość. To potworne, że zmuszono ją do znoszenia czegoś takiego.

Pomału, pomału, przez kilka tygodni przekonywała siebie, że wystarczy wsiąść do pociągu, a wróci do miasta, do cudownego, beztroskiego życia, do życia, do którego była stworzona. Zacznie wszystko od nowa.

Pewnego dnia, gdy służący przyniósł ze stacji worek z zapasami, mięsem i korespondencją, wzięła do przejrzania tygodnik i jak zwykle otworzyła od razu na ogłosze-

niach o narodzinach i ślubach (lubiła wiedzieć, co dzieje się u dawnych znajomych – tylko to czytała w gazecie). Okazało się, że firma, w której tyle lat pracowała, poszukuje stenotypistki. Stojąc w mrocznej kuchni, oświetlonej jedną migoczącą świecą i czerwonym blaskiem bijącym od piecyka, przy stole zawałonym świeżo kupionymi produktami, gdy kucharz obok przygotowywał kolację, nagle znalazła się daleko od farmy, z powrotem w swym dawnym życiu. Iluzja trwała całą noc, gdy leżąc bezsennie, Mary myślała intensywnie o przyszłości, będącej, zdawałoby się, na wyciągnięcie ręki, przyszłości, która tak naprawdę była jej przeszłością. Kiedy Dick pojechał w pole, ubrała się, spakowała walizkę i zostawiła mu krótki list, powiadamiając, że wyjeżdża do swojej dawnej pracy, zupełnie jakby wiedział o jej zamiarach i aprobował je.

Nieco ponad godzinę zajęło jej pokonanie pięciomilowej odległości między farmą a domem Slatterów. Przez połowę drogi biegła, obijając sobie nogi ciężącą w rękę walizką; do butów co chwila sypał się zwirowaty piasek, potykała się na ostrych nierównościach kolein. Przy kanale biegnącym wzdłuż granicy między farmami spotkała Charliego Slattera. Stał beczynnie, nucąc coś i mrużąc oczy przed słońcem. Patrzył na drogę, którą przyszła. Zdziwiło ją trochę, że tak sobie stoi, on, który wiecznie jest czymś zajęty. W życiu nie przyszłoby jej do głowy, że sąsiad właśnie obmyśla, jak by tu wykupić farmę Dicka Turnera, kiedy ten dureń już zbankrutuje; potrzebował więcej pastwisk dla bydła. Przypomniawszy sobie, że przy tych dwóch czy trzech okazjach, kiedy go spotkała, nie zadał sobie nawet trudu, żeby ukryć antypatię do niej, wyprostowała się dumnie i starała się mówić wolno i spokojnie, choć niemal straciła dech w piersiach po marszu przez busz. Spytała go, czy nie mógłby jej zawieźć na stację; musi zdążyć na poranny pociąg, następny będzie dopiero za trzy dni, a sprawa jest pilna.

Charlie patrzył na nią bystro, najwyraźniej domyślając się czegoś.

– A gdzie to małżonek? – spytał z szorstką jowialnością.

– Pracuje... – wyjąkała.

Chrząknął, spojrzał podejrzliwie, ale włożył jej walizkę do samochodu stojącego pod rozłożystym drzewem na poboczu drogi. Wsiadł, ona zajęła miejsce obok. Przedtem chwilę trwało, nim udało się jej otworzyć drzwi. Charlie przez ten czas patrzył przed siebie, pogwizdując przez zęby; nie miał zwyczaju rozpieszczać kobiet pomaganiem im. W końcu opadła ciężko na siedzenie, ściskając walizkę, jakby to był paszport do przyszłości.

– Mąż tak dużo pracuje, że nie może pani odwieźć? – spytał Charlie w końcu, odwracając głowę i przyglądając się jej uważnie.

Zaczerwieniła się i przytaknęła, ale do głowy jej nawet nie przyszło, że stawia Dicka w niezręcznej sytuacji; myślała jedynie o pociągu.

Wcisnął gaz i potężny samochód ruszył, niemal ocierając się o drzewa. Na piaszczystej drodze często ich zarzucało. Pociąg stał już na stacji, sapiąc i kapiąc wodą, więc nie było czasu do stracenia. Podziękowała Charliemu krótko i zanim pociąg ruszył, zdążyła o nim zapomnieć. Pieniędzy miała akurat tyle, żeby dotrzeć do miasta. Na taksówkę już nie starczyło.

Ze stacji szła więc pieszo, niosąc walizkę. Od ślubu nie była w mieście. Przy tych nielicznych okazjach, kiedy Dick się tu wybierał, nie chciała mu towarzyszyć, wzdrygając się na samą myśl o możliwości przypadkowego spotkania znajomych. Serce zabiło jej żywiej, kiedy dotarła do klubu.

Był taki piękny, piękny dzień. Wiał przyjemny, orzeźwiający wiatr, słońce świeciło wesoło. Nawet niebo wyglądało inaczej, widziane spomiędzy znajomych budynków

o białych ścianach i czerwonych dachach, które wydawały się nadzwyczaj świeże i czyste. Nie to co ta okrutna niebieska kopuła zamykająca farmę w cyklu niezmiennych pór roku. Tu niebo było przyjazne, błękitne jak bławatki, aż miała ochotę w uniesieniu zbiec z chodnika prosto w ten lazur i popłynąć w dal, spokojnie nareszcie i bez trosk. Na ulicy rosły bauhinie o białoróżowych kwiatach, wyglądających spomiędzy liści jak siedzące na gałęziach motyle. Był to inny świat! Jej świat.

W klubie pracowała już nowa kierowniczka, która oświadczyła, że mężatek nie przyjmują. Spojrzała przy tym na Mary ciekawie i tym spojrzeniem w jednej chwili zabiła całe to jej kompletnie nieodpowiedzialne szczęście. Mary nie pamiętała o zasadzie dotyczącej mężatek, a ponadto wcale nie myślała o sobie jak o kobiecie zamężnej. I tak od razu wróciła twarda rzeczywistość, w dodatku działo się to w tym samym holu, gdzie kilka lat wcześniej stała naprzeciwko Dicka Turnera. Spojrzała po niezmienionym otoczeniu, które wydało się nagle obce. Wszystko było takie czyste, lśniące i porządne.

Opamiętawszy się nieco, udała się do hotelu i kiedy znalazła się w pokoju, przede wszystkim doprowadziła do porządku włosy. Potem poszła do biura. Nie знаła żadnej z pracujących tam obecnie dziewcząt. Umeblowanie się zmieniło; jej biurko zostało przestawione i zabolęła ją to, że ruszano jej rzeczy. Patrząc na ładnie ubrane dziewczęta, po raz pierwszy pomyślała, że do nich nie pasuje. Ale myśl ta przyszła za późno. Po wejściu do gabinetu dawnego szefa natychmiast zobaczyła na jego twarzy ten sam wyraz co u kierowniczki klubu. Spojrzała na swoje ręce, wysuszone i ogorzałe od słońca, i zasłoniła je torebką. Mężczyzna uważnie przyjrzał się jej, popatrzył na buty zrudziałe od kurzu, które zapomniała wyczyścić. Z ubolewaniem, ale też i z wyrazem zdziwienia, zgorszenia wręcz, malującym się



na twarzy, powiadomił ją, że posada jest już zajęta i że mu przykro. Znów zabolęło. Tyle czasu tu przepracowała, zostawiła w tym biurze część siebie, a teraz nie chcą jej przyjąć. „Przykro mi, Mary” – powtórzył, unikając jej spojrzenia. Zrozumiała, że posada wcale nie jest zajęta i że on ją po prostu zbywa. Zapadła długa cisza, podczas której wszystkie marzenia ostatnich kilku tygodni zbladły i rozwiały się. Zapytał ją, czy chorowała.

– Nie – odparła posępnie.

Po powrocie do pokoju hotelowego spojrzała w lustro. Miała na sobie spłowiałą kretonową sukienkę; w porównaniu z ubraniami dziewczyn w biurze była niemodna, jednak jeszcze całkiem przyzwoita. To prawda, że jej skóra jest wysuszona i ogorzała, ale kiedy nie napina mięśni twarzy, nie widać tego tak bardzo. A jednak nie da się ukryć cieniutkich białych kresek, rozchodzących się od oczu jak pociągnięcia pędzla. Doszła do wniosku, że mrużenie oczu to fatalny nawyk. Fryzura też pozostawiała wiele do życzenia. Ale czy on wyobraża sobie, że na farmie są fryzjerzy? Nagle ogarnął ją wielki żal, a jednocześnie gniew na byłego szefa, na kierowniczkę, na wszystkich. Czego oni się spodziewali? Że ona przejdzie przez te wszystkie katusze i zostanie taka jak dawniej? Po raz pierwszy zmuszona była przyznać, że sama też się zmieniła, nie tylko okoliczności. No dobrze, pójdzie do salonu kosmetycznego i doprowadzi się do porządku; wtedy bez trudu dostanie pracę, która się jej należy. Przypomniało się jej jednak, że nie ma pieniędzy. Przeszukawszy starannie portmonetkę, znalazła pół korony i sześć pensów. Nie ma nawet czym zapłacić za hotel. Gdy pierwszy moment paniki minął, usiadła sztywno na krześle i zaczęła zastanawiać się, co dalej robić. Ale myślenie było tak wielkim wysiłkiem... Zbyt wiele piętrzyło się przeszkód i upokorzeń. Miała wrażenie, że czeka na coś. Po jakimś czasie rozluźniła się, opuściła z rezygnacją ramiona.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, podniosła głowę, jakby tego właśnie się spodziewała. Wejście Dicka nie wywołało żadnej zmiany na jej twarzy. Przez chwilę nic nie mówili. On pierwszy odezwał się, wyciągając rękę:

– Mary, nie odchodź ode mnie.

Westchnęła, wstała, automatycznie wygładzając spódnice, i poprawiła włosy. Zupełnie jakby się wybierała w zaplanowaną podróż. Widząc, że jej reakcja i jej twarz nie wyrażają ani sprzeciwu, ani złości, lecz jedynie rezygnację, Dick opuścił rękę. Nie będzie sceny. Mary nie była w nastroju do tego.

Podobnie jak ona przedtem, on z kolei się opamiętał i spojrzał w lustro. Przyjechał w roboczym stroju, bez obiadu, od razu po przeczytaniu wiadomości, która była dla niego bolesnym, upokarzającym ciosem. Niezapięte rękawy luźno wisały nad opalonymi dłońmi; był bez skarpetek, tylko w skórzanych wysokich butach. Powiedział – jakby przyjechali tu razem – że mogą pójść na lunch, a potem do kina, jeśli ona ma ochotę. Próbuje udawać, że nic się nie stało, pomyślała, ale przyglądając mu się, doszła do wniosku, że to odpowiedź na jej reakcję. Patrząc, jak niezgrabnym ruchem, z niechęcią poprawia sukienkę, Dick powiedział, że powinna kupić sobie jakieś ubrania.

Odezwała się wtedy po raz pierwszy, tym, co zazwyczaj, gorzkim i oschłym tonem:

– A za co?

I tak wrócili do dawnego układu, nawet ton ich głosów się nie zmienił. Kiedy już zjedli lunch w restauracji, którą wybrała Mary – bo tam akurat nie spodziewała się spotkać dawnych znajomych – wrócili na farmę, jakby wszystko było normalnie, a jej ucieczka to drobiazg, o którym łatwo da się zapomnieć.

Gdy wróciła do tych samych codziennych zajęć – ale już bez dawnych marzeń, trzymających ją przy życiu – przy-

mując swój los z pełnym rezygnacji stoicyzmem, poczuła się straszliwie zmęczona. Każda czynność okupiona była wielkim wysiłkiem. Zdawać się mogło, że podróż do miasta wyczerpała niemal całą energię, której zostało tylko tyle, by podołać podstawowym obowiązkom, nic więcej. Był to początek wewnętrznej dezintegracji Mary. Zaczęło się od apatii, jakby nie była w stanie niczego odczuwać ani o nic walczyć.

I może gdyby Dick nie zachorował, w taki czy inny sposób nastąpiłby prędko koniec. Może wkrótce by umarła, tak jak po krótkiej chorobie umarła jej matka, której po prostu nie chciało się już żyć. Albo pod wpływem kolejnego rozpaczliwego impulsu, każącego się stąd wydostać, znów by uciekła, tyle że tym razem zrobiłaby to sensowniej, i na nowo nauczyła się żyć zgodnie ze swoją naturą i otrzymanym wychowaniem: sama i samowystarczalna. Tymczasem jednak w jej życiu nastąpiła nagła i niespodziewana zmiana, która na jakiś czas opóźniła wewnętrzny rozpad. Kilka miesięcy po jej ucieczce i sześć lat po ślubie Dick zachorował.

## Rozdział 7

Było jasne, chłodne, bezchmurne popołudnie czerwcowe. Mary najbardziej lubiła tę porę roku, dni ciepłe, ale z pewną rześkością w powietrzu. Dopiero za kilka miesięcy dym pożarów w *veldzie* zgęstnieje w żółtawą mgłę zacierającą barwy buszu. Chłód przywrócił jej nieco dawnej witalności. Nadal czuła się zmęczona, ale było to przynajmniej do zniesienia; lubiła te chłodniejsze miesiące, jakby były tarczą chroniącą przed zniechęcającą apatyczą powodowaną upałem, który w końcu miał nadejść.

Wczesnie rano, kiedy Dick wyjeżdżał w pole, spacerowała po piaszczystej ziemi przed domem, patrząc na wysoko sklepioną kopułę nieba, świeżą jak lodowe kryształki; cudownie czysty błękit, całymi miesiącami bez ani jednej chmurki. Ziemia magazynowała w sobie chłód nocy. Mary pochylała się i dotykała jej; dotykała też chropowatych cegieł domu, wilgotnych i zimnych pod palcami. Później, kiedy się ogrzały, a słońce przypominało to naprawdę gorące z lata, wychodziła przed dom i stawała na skraju polany (bała się wchodzić w busz) w głębokim cieniu drzewa. W górze, przez grube oliwkowe liście, widać było skrawki błękitu, wiatr był chłodny i ostry. Niespodziewanie niebo zniżało się, zmieniając się w grubą szarą oponkę; przez

kilka dni świat przesiąknięty był deszczem. Robiło się naprawdę chłodno, tak chłodno, że nakładała sweter i rozkoszowała się tym, iż mimo ciepłej odzieży drży z zimna. Ale to nie trwało długo. Nagle, dosłownie w ciągu pół godziny, ciężka szarość rozwiewała się, odsłaniając błękit, a niebo stawało się coraz wyższe, w miarę jak niknęły kolejne warstwy wiszących nisko chmur. Niemal w jednej chwili powracał wysoko sklepiony lazur, wszystkie szare zasłony znikwały. Słońce oślepiało i lśniło, ale nie stwarzało zagrożenia; nie było to słońce październikowe, zdradliwe i ostre. W powietrzu czuło się coś przyjemnego, radosnego wręcz. Mary czuła się uleczona, prawie. Znowu była, jak przedtem, żwawa i energiczna, ale zachowywała rozsądek i umiarkowanie w ruchach, co świadczyło o tym, że nie zapomina, iż upał wróci. Z rozkoszą korzystała z uroków cudownych trzech miesięcy zimy, kiedy ziemia przechodziła wyzwolenie od swego zwykłego piekła. Nawet *veld* wyglądał inaczej. Przez kilka krótkich tygodni mienił się czerwienią, złotem i brązem, nim drzewa stały się jednym zielonym masywem. Zima była jakby stworzona specjalnie dla niej, dawała jej zastrzyk sił witalnych, ratujący przed późniejszą bezradną apatią. Zima należała do niej; tak lubiła to sobie wyobrazać. Dick to zauważył. Od czasu jej ucieczki stał się uważny i troskliwy. Wróciwszy, trwale związała go ze sobą węzłem wdzięczności. Gdyby był człowiekiem mściwym, odgrywałby się na niej, uważając, że próbowała dać mu nauczkę; kobiety stosują tego rodzaju sztuczki po to, żeby podporządkować sobie mężczyzn. Ale jemu nawet nie przyszło to do głowy. Poza tym ta ucieczka była autentyczna, choć zakończyła się w sposób, jaki chłodno kalkulująca kobieta łatwo mogłaby przewidzieć. Był cierpliwy i wyrozumiały, hamował złość. Cieszył się, widząc, że wstąpiło w nią nowe życie, że przejawia więcej energii przy codziennych zajęciach, że twarz jej złagodniała trochę, choć

oczy spoglądały żałośnie, jakby kurczowo trzymała się czegoś, co niebawem ma się skończyć. Poprosił ją nawet, by znów pojechała z nim w pole; czuł potrzebę bycia blisko niej, gdyż w głębi ducha obawiał się, że ona znowu pewnego dnia zniknie, gdy jego nie będzie w domu. Bo choć ich związek okazał się zupełnie nieudany i nie było między nimi prawdziwego porozumienia, zaczął się już przyzwyczajać do tej samotności we dwoje, jaką staje się w końcu każde małżeństwo. Nie umiał wyobrazić sobie powrotu do domu, w którym nie byłoby Mary. W tym stosunkowo krótkim okresie nawet jej wyładowywanie złości na służbie budziło w nim ciepłe uczucia; cieszył się z tego nawrotu sił witalnych, widocznego w coraz bardziej energicznym wójowaniu z niedbalstwem i lenistwem służącego.

Ale nie chciała pomagać na farmie. Odbierała jak okrucieństwo takie propozycje. Tutaj, na wzniesieniu, nawet z tym stosem głazów za domem, który blokował przewiew wiatru, było chłodno w porównaniu z polami zamkniętymi między skalną granią a drzewami. Tam nie czuło się nawet, że jest zima! Nawet teraz nad kotliną niemal widać było żar buchający od budynków i ziemi. Nie. Zostanie tu, gdzie jest; nigdzie z nim nie pojedzie. Pogodził się z tą decyzją, smutny i pokorny jak zawsze, ale i tak szczęśliwszy niż przedtem. Lubił patrzeć na nią wieczorem, jak siedzi spokojnie na kanapie, ze splecionymi rękami, rozkoszując się tym, że otulona swetrem drży z zimna. W takie wieczory dach skrzypiał i trzeszczał jak tysiące fajerwerków, tak gwałtowne było przejście od upału dnia do mroźnego chłodu nocy. Gdy z wyraźną przyjemnością dotykała zimnej blachy dachu, cierpiał bezradnie, widząc to nieme wyznaczenie nienawiści do lata i upału. Zaczął nawet przemyśliwać nad tym, żeby położyć strop. W sekrecie wyciągnął księgi rachunkowe i obliczył, ile by to kosztowało. Ale ostatni rok był niepomyślny i ostatecznie ten odruch, by bronić jej

przed znienawidzonym wrogiem, skończył się tym, iż westchnąwszy, postanowił zaczekać do następnego roku. A nuż będzie lepszy?

Raz jednak pojechała z nim w pole. Zdecydowała się, bo powiedział jej, że chwycił mróz. I tak pewnego ranka, gdy słońce stało jeszcze nisko, cieszyła się jak dziecko z białej kruchej powłoki ścielącej się cienką warstwą na ziemi. „Mróz! – powiedziała. – Kto by pomyślał. W tym przeklętym piecu!”. Wzięła do ręki kawałki pokruszonego, brudnego lodu i roztała w dłoniach, zachęcając go, by zrobił to samo, aby dzielił z nią ten moment rozkoszy. Pomału zmierzali w kierunku nowej fazy ich wzajemnych relacji; teraz bardziej byli razem niż kiedykolwiek przedtem. Ale właśnie wtedy on się rozchorował, a ta nowa, powstała między nimi serdeczność, która pogłębiając się, mogła uratować ich oboje, nie była jeszcze na tyle silna, aby przetrwać ten nowy kłopot.

Przede wszystkim Dick nigdy wcześniej nie chorował, choć był to rejon malaryczny, a on mieszkał tu od dawna. Może od lat nosił malarię we krwi, choć o tym nie wiedział? Podczas pory deszczowej zawsze co wieczór zażywał chininę, ale nie robił tego, gdy panował chłód. Twierdził, że gdzieś w pobliżu, w ciepłym miejscu, w takim, w jakich lubią rozmnażać się moskity, musi być albo pień drzewa wypełniony stojącą wodą, albo stara zardzewiała blaszanka; słońce nie pada bezpośrednio, więc woda nie może szybko wyparować. W każdym razie parę tygodni po porze zachorowań na malarię Dick wrócił do domu blady, trzęsąc się z zimna. Podała mu chininę i aspirynę, które zażył, po czym, nie jedząc kolacji, zwał się do łóżka. Naza jutrz, zły na siebie, nie przyjmując do wiadomości, że jest chory, pojechał jak zwykle do pracy, ubrany w ciężką skórzaną kurtkę, która okazała się bezużyteczna jako zabezpieczenie przed gwałtownymi atakami dreszczy. Już o dzie-

siątej, oblany gorączkowym potem, który przemoczył mu koszulę, z trudem dotarł na wzgórze i na półprzytomny pozwolił się zapakować do łóżka.

Był to bardzo silny atak, a on, nieprzyzwyczajony do niemocy, okazał się w chorobie wyjątkowo trudny. Mary posłała list do pani Slatter – bardzo niezadowolona, że musi ją prosić o przysługę – i następnego dnia Charlie przywiózł doktora; pojechał po niego aż trzydzieści mil. Doktor stwierdził to, czego się spodziewano, a kiedy skończył badać pacjenta, oświadczył Mary, że dom jest źle zabezpieczony przed moskitami. Należy wyciąć busz w promieniu dalszych stu jardów. A poza tym muszą natychmiast położyć strop, inaczej bowiem oboje dostaną udaru słonecznego. Przyjrzał się Mary uważnie, poinformował ją, że ma anemię i że jak najszybciej powinna wyjechać nad morze, co najmniej na trzy miesiące. Po czym odjechał, a Mary, stojąc na werandzie i patrząc na oddalający się samochód, uśmiechała się ponuro. Nienawistnie myślała, jak to łatwo mówić takie rzeczy, kiedy ma się pieniądze. Zła była na doktora, że wcale nie przejął się tym, w czym naprawdę był problem. Kiedy oświadczyła, że nie stać ich na wyjazd, odparł ostro: „Nonsens! A na chorowanie to państwa stać?”. I zapytał, kiedy ostatni raz była nad morzem. A ona w życiu nie widziała morza na oczy! Tymczasem doktor znacznie lepiej, niż to sobie wyobrażała, zrozumiał ich sytuację, bo wyczekiwany ze strachem rachunek w ogóle nie przyszedł. Po jakimś czasie napisała do niego, pytając, ile są winni, i wtedy nadeszła odpowiedź: „Zapłacicie, kiedy będzie mogli”. Duma jej została urażona i była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa, ale w końcu przeboleła to jakoś; naprawdę nie mieli pieniędzy.

Pani Slatter przysłała dla Dicka worek owoców cytrusowych z własnej plantacji i zaoferowała pomoc. Mary była wdzięczna, że ma sąsiadkę tak blisko, w odległości zaled-



wie pięciu mil, ale postanowiła nie trudzić jej, chyba że rzeczywiście znalazłaby się w sytuacji bez wyjścia. Napisała kolejny suchy liścik z podziękowaniem za owoce i zawiadomiła, że Dick ma się lepiej. A Dickowi wcale lepiej nie było. Leżał bezradny i przerażony, jak zdarza się ludziom po raz pierwszy w życiu poważnie chorym, odwrócony twarzą do ściany, z kocem naciągniętym na głowę. „Zupełnie jak jakiś czarnuch!” – skomentowała pogardliwie Mary. Widywała chorych tubylców, zachowujących się tak samo, pogrążonych w swoistej stoickiej apatii. Dick od czasu do czasu podnosił głowę i pytał o sprawy farmy. W przebłyskach przytomności martwił się bardzo, że robotnicy zostali bez dozoru. Mary przez tydzień sumiennie opiekowała się nim jak małym dzieckiem, choć mocno irytowało ją to jego trzęsienie się nad sobą. Wreszcie gorączka spadła, ale był słaby i osowiały, ledwo mógł usiąść. Wiercił się i kręcił niespokojnie, cały czas mówił o pracach w polu.

Oczywiste było, że chciał, by pojechała i sprawdziła, co się dzieje, ale nie zaproponował tego wprost, a ona przez jakiś czas nie reagowała na niemą prośbę wciąż słabego i bardzo marudnego męża. Potem zaczęła się obawiać, że jeszcze trochę, a on wstanie z łóżka, zanim nabierze sił. Zaoferowała się więc, że pojedzie.

Odwlekała jednak wyjazd, usiłując zwalczyć w sobie odrazę na myśl o spotkaniu z czarnymi robotnikami. Nawet stojąc już na werandzie z kluczykami samochodowymi w ręku i przywoławszy psy, wróciła do kuchni napić się wody; była już w samochodzie z nogą opartą na pedale gazu, ale wysiadła pod pretekstem, że nie ma chusteczki. Gdy wychodziła z sypialni, wzrok jej padł na długi bat ze skóry nosorożca, zawieszony nad kuchennymi drzwiami jako dekoracja; nie pamiętała już nawet o jego istnieniu. Wzięła go, owinęła dokoła ręki i poszła do samochodu. Poczuli się o wiele pewniej. Do tego stopnia, że otworzyła tyl-

ne drzwi i wyrzuciła psy; nie znosiła, jak jej dyszały prosto w szyję, kiedy prowadziła. Zostawiwszy je skomlaące z rozczarowaniem przed domem, pojechała na pole, gdzie mieli pracować tubylcy. Wiedzieli o chorobie Dicka, więc na polu nie było nikogo; już od paru dni nie wychodzili do pracy. Podjechała do osady, najbliżej jak się dało, wyboistą od kolein drogą; dalej poszła pieszo udeptaną przez tubylców ścieżką, którą porastała miękka, śliska trawa; musiała bardzo uważać, żeby się nie poślizgnąć. Gdy szła, ubrania czepiały się ostre igły, a w twarz leciał rdzawy kurz z potrąconych krzaków.

Osada znajdowała się na niskim wzniesieniu nad kotliną, około pół mili od domu. Funkcjonowała na takiej zasadzie, że każdy nowy robotnik zgłaszający się do pracy dostawał dzień bezpłatnego urlopu na zbudowanie chaty dla siebie i swojej rodziny, zanim stawi się do pracy w polu. Zawsze więc były nowe chaty i stare pustostany, które popału się waliły, chyba że komuś przyszło do głowy je spalić. Chaty stały blisko siebie na terenie obejmującym akry czy dwa. Wyglądały raczej jak naturalne narośle na ziemi niż wzniesione przez ludzi domostwa. Zupełnie jakby jakaś wielka czarna ręka wychylona z nieba wzięła garść patyków i trawy i rozrzuciła je, a one w magiczny sposób ułożyły się w kształt chat. Miały dachy pokryte trawą, ściany z kijów oblepionych gliną i niskie drzwi; były bez okien. Dym z ognisk płonących w środku wydostawał się przez strzechę i unosił kłębami znad drzwi, przez co taka lepianka wyglądała, jakby się wolno tliła w środku. Między nimi znajdowały się nieregularne spłachetki źle uprawianej kukurydzy, a wśród roślin i krzaków rozpełzały się wszędobylskie pędy dyni, pnące się też po ścianach i dachach. Niektóre z wielkich bursztynowych dyni zaczynały gnić, zmieniając się w cuchnącą kwasem różowawą maź oblepioną muchami. Muchy były wszędzie. Cała ich chmara

brzęczała jej przy głowie; zbierały się w kąciakach oczu kilkanaścioro małych czarnych dzieci, których większość była naga i miała wzdęte brzuszki. Dzieci obserwowały ją, gdy przedzierała się przez dynie i kukurydzę w stronę chat. Chude kundle ze sterczącymi pod skórą gnatami szczyrzyły zęby i cofały się ze zjeżoną sierścią. Siedzące na progach chat kobiety, owinięte przybrudzonymi, tanimi materiałami ze sklepu, niektóre półnagie, z miękkimi obwisłymi piersiami, przypatrywały się jej i mówiły coś między sobą na jej temat; śmiały się i robiły prymitywne uwagi. Mężczyźni też tu byli. Zaglądając do chat, widziała skulone we śnie sylwetki; niektórzy siedzieli grupami w kucki, pogrążeni w rozmowie. Nie miała pojęcia, którzy są robotnikami Dicka, a którzy przyszli w odwiedziny czy też zaszli po drodze, udając się dokądś. Przystanęła przy jednej z grup i kazała zawołać nadzorcę, który po chwili wyszedł zgarbiony z jednej z lepszych chat, o ścianach ozdobionych wzorami z czerwonej i żółtej gliny. Oczy miał zaczerwienione, od razu widać było, że pił.

Poleciała w języku fanagalo:

- Zbierz robotników na polu za dziesięć minut.
- Pan czuje się lepiej? – spytał z niechętną obojętnością.

Zignorowała pytanie.

– Powiedz, że potrączę z wypłaty po pół korony, jeśli za dziesięć minut nie stawią się do pracy. – Wyciągnęła rękę i pokazała mu na zegarku.

Mężczyzna skulił się i zgarbił, urażony samym faktem jej obecności. Czarne kobiety gapily się i śmiały, brudne, niedożywione dzieci tłoczyły się i naszeptywały coś do siebie. Z tyłu, wśród pędów dyni i kukurydzy, przemykały wygłodzone psy. Nienawidziła tego miejsca. Nigdy dotąd nie postąpiła tu jej noga. „Dzikusy i brudasy!” – pomyślała mściwie. Spojrzała prosto w zaczerwienione, zasnutę piwną mgłą oczy nadzorcy i powtórzyła: „Dziesięć minut”.

Odwróciła się i odeszła ścieżką między drzewami, nasłuchując, czy tubylcy wychodzą z chat.

Czekała na nich w samochodzie obok pola, z którego mieli zbierać kukurydzę. Po półgodzinie pojawiło się kilku maruderów, wśród nich nadzorca. Po upływie niemal godziny obecnych było nie więcej niż połowa robotników; jedni bez pozwolenia poszli odwiedzić znajomych na sąsiednich farmach, inni leżeli pijani w chatach. Wezwała nadzorcę i dużymi, niezgrabnymi literami sporządziła na kartce spis nieobecnych, biedząc się z obco brzmiącymi imionami. Cały ranek siedziała i obserwowała tyralierę pracujących tubylców, nawet przez płócienny dach samochodu czując na nieosłoniętej głowie żar słońca. Robotnicy prawie nie rozmawiali ze sobą. Pracowali niechętnie, w ponurej ciszy. Wiadomo: nie byli zachwyceni tym, że pilnuje ich kobieta. Kiedy rozległ się gong na przerwę obiadową, pojechała do domu i zdała relację Dickowi, ale w wersji złagodzonej, żeby się nie zdenerwował. Po lunchu znów pojechała na pole, co ciekawe, bez uprzedniej niechęci do pracy, przed którą dotąd się wzdragała. Tym razem, kiedy grupa czarnych zbliżyła się do środka pola, gdzie wśród wysokiej jasnozłotej kukurydzy nie było ich widać z drogi, wysiadła z samochodu. Robotnicy zrywali ciężkie kolby i wkładali do worków przytroczonych do pasa, następni, idąc za nimi, ścinali ogołoczone łodygi i układali je w stosach leżących w regularnych odstępach. Szła za nimi w tym samym tempie, nie spuszczając ich z oka; przystawała na chwilę w przejściach wyciętych między kikutami roślin. Długi rzemień miała owinięty dokoła nadgarstka. Dawał jej poczucie władzy i dzięki temu nie przejmowała się nienawiścią bijącą wprost od grupy czarnych. Kiedy tak szła w równym rytmie, w promieniach palącego słońca, mając obolałe ramiona i szyję, zrozumiała, jak to się dzieje, że Dick wytrzymuje coś takiego dzień po dniu. W samocho-

dzie, gdzie upał dociera nawet przez dach, ciężko jest wysiedzieć; zupełnie co innego, jak się idzie obok robotników w rytm ich pracy, skupiając się na wykonywanych przez nich czynnościach. Długie popołudnie miało powoli, a ona czujnie, choć jednocześnie na wpół sennie, obserwowała brązowe plecy, jak pochylają się, zamierają na moment w bezruchu i wyprostowują się; węzły mięśni poruszały się pod przybrudzoną skórą. Większość robotników nosiła spłowiałe przepaski na biodrach; tylko niektórzy mieli szorty w kolorze khaki; niemal wszyscy byli nadzy od pasa w górę. Niewysocy, chudzi mężczyźni, niewyrośnięci z powodu niedożywienia, ale muskularni i silni. W pewnym momencie wszystko przestało dla niej istnieć, zostało jedynie pole, praca, którą należało wykonać, i gromada krajowców. Zapomniała o upale, o palącym, oślepiającym słońcu. O niczym innym nie myśląc, patrzyła, jak czarne ręce zrywają kukurydzę i składają na stos złote łodygi. Gdy jeden przystanął na chwilę, żeby odsapnąć i otrzeć pot z oczu, odczekała minutę, spoglądając na zegarek, po czym zawołała ostro, żeby wracał do pracy. Wolno spojrzał na nią i z powrotem pochylił się nad kukurydzą, też wolno, jakby tą powolnością protestował przeciwko pognaglianiu. Nie wiedziała, że Dick miał zwyczaj robić co godzinę pięciominutowe przerwy; przekonał się, że lepiej wtedy pracują. Traktowała to zatem jak zuchwalstwo wymierzone w jej władzę nad nimi, gdy bez pozwolenia przerywali na chwilę pracę, by wyprostować plecy i otrzeć pot. Trzymała ich tak aż do zachodu słońca, po czym wróciła do domu zadowolona z siebie i nawet niezmeńczona. Czuła się lekko i radośnie, z werwą wymachiwała trzymanym w ręku batem.

W niskim pokoju – chłodnym w zimie, kiedy tylko zaśzło słońce, a bardzo gorącym w lecie – Dick leżący w łóżku zadreptał się przeróżnymi obawami, zły na siebie za

swoją bezradność. Bardzo mu się nie podobało, że Mary cały dzień przebywa wśród tubylców; to nie jest praca dla kobiety. Poza tym ona wiecznie wchodzi w konflikty z krajowcami, a jemu i tak brakuje rąk do pracy. Odczuł ogromną ulgę i uspokoił się, kiedy powiadomiła go o postępach prac. Nie mówiła o tym, jak bardzo nie lubi czarnych, jak źle znosi bijącą od nich niechęć. Powinien zostać w łóżku jeszcze przez kilka dni, a zatem ona musi jeździć w pole, czy jej się to podoba, czy nie. A podobało się jej. Zarządzanie osiemdziesięcioma czarnymi robotnikami dodawało jej pewności siebie; bardzo przyjemnie czuć nad nimi władzę, wydawać rozkazy.

Pod koniec tygodnia to ona usiadła przy małym stoliku na werandzie, wśród doniczkowych roślin, podczas gdy gromada tubylców stała na zewnątrz, pod rozłożystym, cienistym drzewem, czekając na wypłatę. Był to comiesięczny rytuał.

Zapaść już zmierzch, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Na stoliku stała lampa z kloszem, której mdły płomyczek wyglądał jak smutny ptaszek zamknięty w szklanej klatce. Stojący obok nadzorca głośno wywoływał imiona, wyszukane przez Mary na liście. Tym, którzy pierwszego dnia jej wyjazdu w pole nie stawili się na wezwanie, odejmowała po pół korony, pozostałe pół wypłacała monetami; średnia płaca wynosiła około piętnastu szylingów miesięcznie. Wśród tubylców rozległy się szemrania, zapowiadające dalsze protesty. Nadzorca podszedł do murku i zaczął się z nimi wyklócać w ich języku. Od czasu do czasu była w stanie zrozumieć tylko pojedyncze słowa, ale nie podobało się jej zachowanie tego człowieka ani ton; było jasne, że każe im pogodzić się z losem, zamiast złajać ich – co ona by zrobiła – za opieszałość i lenistwo. Przecież przez kilka dni w ogóle nie pracowali. Gdyby zrobiła tak, jak zapowiadała, odjęłaby te pół korony, ponieważ nikt nie zasto-

sował się do polecenia i nie stawiał się do pracy w ciągu wyznaczonych dziesięciu minut. Nie mają racji. Rację ma ona; nadzorca powinien im to powiedzieć, a nie dyskutować z nimi i wzruszać ramionami; w którymś momencie nawet się roześmiał! W końcu oznajmił jej, że są niezadowoleni i żądają całej należności. Odparła krótko, zamykając sprawę, że uprzedzała o potrąceniu z wypłaty i zamierza dotrzymać słowa. Nie wycofa się. W nagłym przypiętywie złości bez zastanowienia dodała, że komu się nie podoba, może odejść. Następnie dalej dzieliła stosiki banknotów i monet, nie zważając na wzburzenie, jakie zapanowało w tłumie. Niektórzy odeszli, godząc się z losem. Inni zaczęli, aż skończy wypłaty, i zbliżyli się do murku. Kolejno powiadamiali nadzorcę, że chcą odejść. Trochę się przestraszyła; wiedziała, jak trudno o ręce do pracy i że jest to największa troska Dicka. Mimo niepokojów o chorego męża uparła się jednak przy swoim, zła na tubylców, że domagają się zapłaty za robotę, której nie wykonali, i że uciekli z pola, kiedy Dick leżał chory; przede wszystkim zaś nie stawili się w ciągu dziesięciu minut, jak nakazała. Oznajmiła czekającym, że ci, którzy są zakontraktowani, nie mogą odejść.

Robotnicy zakontraktowani rekrutowani byli przez południowoafrykańskie odpowiedniki oddziałów siłą zmuszających młodych mężczyzn do wstąpienia do wojska. Biali polowali na grupki krajowców wędrujących w poszukiwaniu pracy; zabierali ich na wielkie ciężarówki, często wbrew ich woli (czasami nawet przez wiele mil ścigali ich w buszu, jeśli ci próbowali uciekać), łudzili obietnicami dobrej pracy, a w końcu sprzedawali białym farmerom po pięć funtów od głowy na roczny kontrakt.

Oczywiście, za parę dni okaże się, że niektórzy z nich uciekli; nie wszystkich złapie policja, zwłaszcza jeśli przez wzgórza uda im się dotrzeć do granicy. Ale Mary nie uleg-

nie groźbom nawet ze względu na Dicka; prędzej umrze, niż okaże im słabość. Nakazała rozejście się i zagroziła policją. Zapowiedziała, że robotnicy zatrudniani w trybie miesięcznym – których Dick zatrzymywał już to prośbą, już to żartobliwą groźbą – mogą odejść z końcem miesiąca. Zwracała się do nich bezpośrednio, nie przez nadzorcę, chłodno, dobitnie, z żelazną logiką wyjaśniając, dlaczego nie mają racji i czemu jej działania są w pełni usprawiedliwione. W końcu wygłosiła krótką przemowę na temat godności pracy, czyli doktryny niemal od urodzenia znanej każdemu białemu w Południowej Afryce. Do niczego w życiu nie dojdą, mówiła (w języku fanagalo, nie dla wszystkich zrozumiałym, gdyż część przybyła tu prosto ze swych *kraalów*), dopóki nie nauczą się pracować bez nadzoru, z umiłowaniem pracy, i nie będą starannie wykonywać poleceń ze względu na samą pracę, a nie z myślą o pieniądzach, jakie za to dostaną. Dzięki takiemu stosunkowi do pracy biały człowiek stał się tym, czym jest teraz; biały człowiek pracuje, ponieważ praca to dobra rzecz, ponieważ decyduje o wartości człowieka.

Zdania same płynęły jej z ust; nie musiała ich długo szukać. Często słyszała je z ust ojca, pouczającego krajowców, i utrwaliły się jej w tej części mózgu, która przechowuje wczesne wspomnienia.

Krajowcy stali – jak by to sama określiła – z bezczelnymi minami. Byli źli i rozgniewani, słuchali jej (czy raczej tego, co byli w stanie zrozumieć z przemowy) nieuważnie, czekając tylko, by wreszcie skończyła.

Gdy tylko jej głos zamilkł, rozległy się protesty. Ucięła je, wstając i wnosząc do środka stół, na którym dokonywała rozliczeń. Po chwili odeszli, narzekając i utyskując. Wyjrzawszy zza zasłony, przez chwilę obserwowała ciemne ciała zlewające się z cieniami drzew, dopóki całkiem nie zniknęły jej z oczu. Z dali dolatywały jeszcze głosy: gniewne



złorzeczenia pod jej adresem. Przepęniała ją żądza odwetu, a zarazem cieszyło poczucie zwycięstwa. Nienawidziła ich wszystkich, każdego z osobna, poczynając od nadzorcy, którego służalczość ją irytowała, na najmniejszym dziecku kończąc; pracowało u nich kilkoro dzieci, które miały nie więcej niż siedem czy osiem lat.

Mając bezpośredni kontakt z robotnikami, gdy pilnowała ich przez cały dzień w pełnym słońcu, skrywała swoją nienawiść, ale wobec siebie nie próbowała zaprzeczać jej istnienia. Nienawidziła, gdy ci ludzie rozmawiali ze sobą w dialektach, których nie rozumiała, a domyślała się, że mówią o niej, prawdopodobnie wyrażając się niepochlebnie i nieprzyzwoicie. Jedyne, co mogła zrobić, to zignorować tę bezczelność. Nienawidziła półnagich, muskularnych czarnych ciał, schylających się w monotonnym rytmie pracy. Nienawidziła ponurych twarzy, oczu niepatrzających na nią, kiedy z nią rozmawiali, maskowanego obojętnością zachwalstwa; a najbardziej nienawidziła, z fizyczną wręcz odrazą, ciężkiego zapachu, jaki wydzielali, ostrego, cierpkiego, zwierzęcego.

– Ależ oni śmierdzą! – powiedziała do Dicka, zła, odregowując konflikt.

Dick zaśmiał się krótko.

– Oni mówią, że to my śmierdzimy.

– Nonsens! – wykrzyknęła, zszokowana, że te zwierzęta na tyle sobie pozwalają.

– Tak, tak – dodał, nie zauważając jej reakcji. – Pamiętam, jak raz rozmawiałem ze starym Samsonem. Powiedział: „Mówicie, że śmierdzimy. A dla nas nie ma nic gorszego niż zapach białego człowieka”.

– Bezczelność! – stwierdziła z oburzeniem, ale widząc jego nieruchomą pobladłą twarz, powstrzymała się od dalszych uwag. Lepiej uważać, gdyż w chorobie stał się bardzo drażliwy i łatwo się irytował.

– Co im mówiłaś? – zapytał.

– Ach, nic takiego – odparła przytomnie. Dopóki Dick nie poczuje się zupełnie dobrze, nie przyzna się, że część robotników postanowiła odejść.

– Mam nadzieję, że dobrze się z nimi obchodzisz – rzekł z niepokojem. – Niełatwo teraz o robotnika. Są strasznie rozbisurmanieni.

– Łagodne traktowanie do niczego nie prowadzi – rzekła z pogardą. – Gdybym miała coś do powiedzenia, zaraz zaprowadziłabym porządek batem.

– Bardzo ładnie – odrzekł poirytowany. – Tylko skąd potem wziąć robotników?

– Och, jak oni mi już obrzydli! – powiedziała, wzdrygając się.

W tym czasie, mimo ciężkiej pracy i nienawiści do czarnych, zapomniła zupełnie o apatii i niezadowoleniu. Za bardzo zajmowało ją pilnowanie robotników i to, by nie okazać przed nimi słabości, a do tego dochodziło prowadzenie domu i starania, aby Dick miał wszystko, czego mu potrzeba, kiedy jej nie ma. Sporo dowiedziała się o farmie, o prowadzeniu jej, o rodzajach upraw. Kilka wieczorów, kiedy Dick spał, przesiadywała nad książkami rachunkowymi. Kiedyś nie interesowała się tym w ogóle; była to jego sprawa. Teraz, gdy przyjrzała się liczbom – nietrudne, gdyż ksiąg było zaledwie kilka – sporo dowiedziała się o gospodarce męża. Była zszokowana poczynionymi odkryciami. Początkowo pomyślała nawet, że musiała się pomylić; na pewno jest coś więcej. Ale nie. Przyjrząwszy się uważnie danym na temat upraw i hodowli, bez trudu była w stanie określić przyczyny ich ubóstwa. Przez chorobę, która wyłączyła Dicka z prac, a ją zmusiła do aktywności, farma i kwestie z nią związane stały się dla niej czymś realnym. Przedtem sprawy te były obce i budziły niechęć; sama się od nich odsuwała, nie starając się ich zrozumieć; wydawało

się, że to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż było naprawdę. Teraz żałowała, że wcześniej nie wykazała zainteresowania.

Posuwając się w ślad za gromadą robotników na polu, wciąż myślała o farmie i o tym, co powinno się na niej zrobić. Jej stosunek do Dicka, zawsze pogardliwy, teraz był pełen goryczy i złości. To nie kwestia pecha, to zwykła niedołność! Myliła się, sądząc, że te wszystkie mrzonki co do indyków, świń i tak dalej stanowiły zwykłą ucieczkę od rutyny codziennej pracy na farmie. Ogólna niemożność przejawiała się we wszystkim, wszędzie występowały te same objawy. Co krok natykała się na sprawy pozaczynane, lecz niedokończone. Tu kawałek ziemi wykarczowany do połowy i porzucony, z wolna zarastający młodymi drzewami; tam obora, której budowę zaczęto z cegieł i żelaza, a dokończono z drewna i gliny. Farma była mozaiką wielu upraw. Na jednym, liczącym pięćdziesiąt akrów kawałku ziemi były słoneczniki, konopie sunn, kukurydza, orzeszki ziemne i fasola. Dick zbierał po dwadzieścia worków tego, trzydzieści tamtego, na każdej uprawie zarabiając zaledwie po kilka funtów. Ani jedna rzecz nie została porządnie doprowadzona do końca, ani jedna! Czy on tego nie widzi? Przecież to oczywiste, że w ten sposób do niczego nie dojdzie!

Stojąc w oślepiającym słońcu, od którego bolały oczy, bacznie obserwując każdy ruch robotników, obmyślała, kombinowała i snuła plany. Kiedy Dick poczuje się już zupełnie dobrze, odbędzie z nim rozmowę, przemówi mu do rozsądku, spróbuje uzmysłwić, czym to się skończy, jeśli nie zmieni podejścia do gospodarki. Za parę dni będzie już na tyle zdrów, by wrócić do pracy; zostawi mu jeszcze tydzień na wdrożenie się do niej, a potem nie da mu spokoju, dopóki jej nie wysłucha.

Ale ostatniego dnia stało się coś, czego nie przewidziała.

W głębi kotliny, niedaleko obór, Dick składował co roku kolby kukurydzy. Najpierw kładziono arkusze blachy, zabezpieczające przed termitami, i dopiero na nie wysypywano zawartość worków, tworząc niski stos śliskich, białych kolb. W ostatnich dniach najwięcej czasu tam właśnie spędzała, pilnując rozładunku. Robotnicy zdejmowali zakurzone worki z wozu i trzymając za rogi, kładli je sobie na ramionach, zginając się w pół pod ciężarem. Tworzyli żywy pas transmisyjny. Dwóch stało na wozie i zarzucało worek na kolejne pochylone plecy. Tragarze gęsiego szli równym krokiem do składowiska kukurydzy, tam kolejno opróżniali worki, a kolby sypały się w dół białym ciężkim deszczem. Powietrze pełne było kurzu i okruchów łusek. Kiedy Mary dotknęła twarzy, skóra pod palcami wydała się jej szorstka jak płótno.

Stała u stóp stosu, wznoszącego się przed nią jak wielka biała góra, lśniąca na tle żywego lazuru nieba, plecami do wołów, cierpliwie czekających, aż wóz zostanie opróżniony i wyruszą po kolejną partię. Patrzyła na krajowców i myślała o farmie, poruszając przy tym lekko biczem, który kreślił wzór węzowych splotów w rdzawym kurzu. Naraz zauważyła, że jeden z robotników nie pracuje. Wystąpił z szeregu i stanął obok, oddychając ciężko; twarz świeciła mu od potu. Spojrzała na zegarek. Minuta minęła, potem dwie. Wciąż stał nieruchomo, z założonymi rękami. Zaczekała, aż duża wskazówka odliczy trzecią minutę, coraz bardziej niezadowolona, że czarny nie pracuje, choć doskonale zna jej zasadę, że nie należy przekraczać minuty dozwolonej przy odpoczynku. Poleciała: „Wracaj do pracy”. Spojrzał na nią w sposób typowy dla afrykańskich robotników, pustym wzrokiem, jakby ją ledwo dostrzegał, jakby maska posłuszeństwa, którą przybierał, zwracając się do niej i przedstawicieli jej rasy, kryła jakieś tajemnicze i niedostępne obszary. Leniwie rozplótł ramiona i odwrócił się. Zamierzał

wziąć sobie wody z beczki po benzynie, stojącej w chłodnym cieniu pod krzakiem. Ostro odezwała się znowu, podnosząc głos: „Powiedziałam, wracaj do pracy”.

Słyszając to, przystanął, spojrział na nią wprost i powiedział w niezrozumiałym dla niej dialekcie: „Chcę pić”.

– Nie mów do mnie tym swoim żargonem – warknęła. Rozejrzała się, szukając wzrokiem nadzorcy, ale nie było go w zasięgu wzroku.

W urywany, śmieszny sposób wyrzekł słowa: „Ja... chcę... wody”, tym razem po angielsku. Nagle uśmiechnął się, otworzył usta i pokazał palcem gardło. Usłyszała, że stojący obok krajowcy śmieją się cicho. Był to śmiech dobroduszy, ale doprowadził ją do szału; myślała, że to z niej się śmieją, podczas gdy ci ludzie po prostu korzystali z okazji, żeby w ogóle się z czegoś pośmiać, obojętnie z czego; równie dobrym powodem do śmiechu może być jeden z nich, który kiepsko mówi po angielsku i wsadza sobie palec do gardła.

Tymczasem większość białych za zuchwalstwo uważa, gdy krajowcy mówią po angielsku. Dusząc się niemal ze złości, powiedziała: „Nie mów do mnie po angielsku” i zamilkła. Mężczyzna wzruszył ramionami, uśmiechnął się i wzniosł oczy do nieba, jakby się dziwił, że najpierw zabroniła mu mówić w jego języku, a potem we własnym. Jak więc ma mówić? Ta leniwa zuchwałość wprawiała ją w nieopisaną furję. Otworzyła usta, żeby go zwymyślać, ale nie rzekła ani słowa. Zobaczywszy zaś w oczach tubylca ponurą niechęć oraz – co dopełniło miary – pełną rozbawienia pogardę, podniosła bat i opuściła na jego twarz gwałtownym, zamaszystym smagnięciem. Zrobiła to bezwiednie. Znieruchomiała, drżąc cała. Oszołomiony robotnik przyłożył dłoń do twarzy, a ona spojrzała ze zdziwieniem na bat, jakby uderzył sam, bez udziału jej woli. Na ciemnej skórze policzka wybrzuszyła się gruba pręga, a wezbrana na niej

kropla krwi spłynęła po brodzie i kapnęła na klatkę piersiową. Był to rosyjczyk, wyższy niż inni, wspaniale zbudowany, mający na sobie tylko stary worek zawiązany wokół bioder. Stała przerażona, nagle wydał się jej ogromny. Na jego szeroką pierś spadła następna czerwona kropla i spłynęła do pasa. Zobaczyła, że człowiek ów wykonuje gwałtowny ruch, i cofnęła się przerażona; pomyślała, że chce ją zaatakować. Ale on tylko otarł krew z twarzy wielką dłonią, która lekko drżała. Wiedziała, że tubylcy za jej plecami zastygli w bezruchu, przyglądając się tej scenie. Głosem ochryplym z emocji rozkazała: „A teraz wracaj do pracy”. Przez moment patrzył na nią tak, że żołądek ścisnął się jej ze strachu. Potem wolno odwrócił się, podniósł z ziemi worek i wrócił na swoje miejsce w ludzkim pasie transmisyjnym. W całkowitej niemal ciszy robotnicy podjęli na nowo pracę. Mary wciąż drżała ze strachu na myśl o tym, co zrobiła, pamiętając wzrok mężczyzny.

Pomyślała: czy poskarży się policji, że go uderzyłam? Nie przerażało jej to, raczej złościło. Największą bolączką białych farmerów jest prawo zabraniające uderzyć tubylczych robotników, a jeśli tak się zdarzy, ci mogą – choć robią to rzadko – złożyć skargę na policji. Do furii doprowadzała ją myśl, że to czarne zwierzę ma prawo poskarżyć się, złożyć zażalenie na zachowanie białej kobiety. Ale, co charakterystyczne, nie bała się wcale. Ponieważ to jej pierwsze wykroczenie, to jeśli ten czarny pójdzie na policję, ona najwyżej dostanie upomnienie – od policjanta, który jest Europejczykiem, często objeżdża dystrykt, zna farmerów, jada i nocuje u nich, bierze udział w życiu towarzyskim. Natomiast tubylec, jako zakontraktowany pracownik, i tak wróci na farmę, a Dick raczej się nie będzie patyczkował z czarnuchem, który śmiał poskarżyć się na jego żonę. Mary miała za sobą policję, sądy, więzienie; on nie miał nic prócz cierpliwości. Jednak złościł ją fakt, że miał prawo się

odwołać; największą zaś złość czuła do sentymentalnych teoretyków, o których myślała zawsze „oni” – ustawodawców i urzędników – ingerujących w naturalne prawo białego farmera do traktowania własnych robotników, jak mu się żywnie podoba.

Mimo złości odczuwała też jednak tryumf, satysfakcję, że wygrała, że postawiła na swoim. Patrząc, jak ten człowiek dźwiga worki, pod których ciężarem uginają się potężne ramiona, znajdowała gorzką przyjemność w tym, że widzi go pokonanego i podporządkowanego swojej woli. A jednak kolana wciąż jej drżały; mogłaby przysiąc, że w tej strasznej chwili, gdy go uderzyła, omal jej nie zaatakował. Na zewnątrz była jednak surowa i opanowana, zamykając w sobie na cztery spusty wszystkie miotające nią sprzeczne uczucia. Po południu wróciła do pracy z silnym postanowieniem, że nie ugnie się w tym ostatnim momencie, choć z niechęcią myślała o następnych długich godzinach przebywania wśród ludzi milcząco okazujących jej wrogość i niechęć.

Poczuła się jak po wygranej bitwie, kiedy wreszcie zapadł mrok. W powietrzu zapanował ostry chłód lipcowej nocy, krajowcy odeszli, zabierając puszki na wodę, okrycia oraz złapane w ciągu dnia szczury i inne stworzenia, które ugotują sobie na wieczorny posiłek. Jej zadanie również dobiegło końca (jutro już miał tu być Dick). Odniosła zwycięstwo nad czarnymi, nad swą odrazą do nich, nad sobą samą, nad Dickiem, nad jego powolnością i głupią niezadornością. O wiele więcej wycisnęła z tych dzikusów, niż jemu się kiedykolwiek udało. Przecież on nawet nie umie z nimi postępować!

Ale wieczorem, znów mając przed sobą puste dni, poczuła się zmęczona, a nawet wyczerpana. Planowana dyskusja z Dickiem, która wydawała się taką prostą sprawą, gdy Mary była w polu, z dała od niego i samodzielnie roz-

myślała o tym, co należy zrobić na farmie, teraz wydawała się przedsięwzięciem trudnym i przykrym. On tylko czekał, by przejąć z powrotem władzę, jakby jej tymczasowa suwerenność była niczym, zupełnie niczym. Teraz znów był czymś zaabsorbowany, ale najwyraźniej nie zamierzał rozmawiać z nią o swoich problemach. Poczuli się skrzywdzona i zlekceważona. Jakoś nie przyszło jej do głowy, że od lat odrzucając wszelkie jego prośby o pomoc, nauczyła go takiego postępowania. Tego wieczoru, gdy ogarnęło ją dawne zmęczenie i ociężałość, zrozumiała, że trzeba się będzie posłużyć tymi pełnymi najlepszymi intencjami Dickowymi inicjatywami. Siedząc w domu, niczym królowa pszczół w ulu, musi z daleka nim kierować.

Przez kilka dni czekała cierpliwie, aż na jego twarz wróci zwykłe kolory i opalenizna, przybladłe podczas ataków gorączki. Dopiero gdy doszedł do dawnej swej formy i przestał być opryskliwy, poirytowany, zaczęła rozmowę na temat farmy.

Tego wieczoru, siedząc pod rzucającą dość przygnębiające światło lampą, zwięźle, lecz dokładnie omówiła sytuację farmy, kładąc nacisk na to, jakiego rzędu dochodów mogą się obecnie spodziewać, jeśli nie będzie większych problemów i złych sezonów. Wykazała, że nie uda się im wyjść z bagna, w którym ugrzęźli, kontynuując dotychczasową politykę; sto funtów zysku, pięćdziesiąt funtów straty, zależnie od kaprysów pogody i od cen – to wszystko, czego można się spodziewać.

Mówiła coraz ostrzej, dobitniej, z rosnącą pasją. Ponieważ on milczał, zakłopotany, wyjęła księgi i poparła swe słowa liczbami. Od czasu do czasu kiwał głową, patrząc na jej palec, przesuwający się wzdłuż długich kolumn i nieruchomiejący, gdy chciała coś podkreślić albo wykonywała szybkie obliczenia. Słuchając jej, powtarzał sobie w duchu,



że nic w tym dziwnego, przecież zawsze wiedział, że ona jest mądra; czyż nie dlatego właśnie zwrócił się o pomoc do niej?

Ma teraz na przykład całkiem spory kurnik i zarabia kilka funtów miesięcznie na jajkach i mięsie, a cała praca z tym związana zajmuje jej zaledwie kilka godzin. Ten regularny miesięczny dochód wiele dla nich znaczył. Zauważył, że ona niemal przez cały dzień nie ma nic do roboty, podczas gdy inne kobiety hodujące kury na taką skalę uważają to za duże obciążenie. Teraz zanalizowała organizację farmy i strukturę upraw, co go upokorzyło i wywołało chęć obrony. Milczał wszakże, czując jednocześnie podziw i niechęć, a także użalając się nad sobą; na razie jednak podziw przeważał. Myliła się co do pewnych szczegółów, ale ogólnie rzecz biorąc, miała rację. Wszystko, co mówiła, nawet rzeczy najbardziej dla niego bolesne, było szczerą prawdą! Cierpiał w duchu, słuchając przemowy, podczas której co chwilę odgarniała z oczu zniszczone słońcem włosy tym dobrze znanym, pełnym zniecierpliwienia gestem. Przyznawał jej słuszność, a ponieważ swoje racje przedstawiała w sposób bardzo rzeczowy, nie bronił się; choć boleśnie ranił go ten jej brak emocjonalnego podejścia. Patrzyła na farmę chłodno, jak na maszynę do robienia pieniędzy; za to ją zresztą uważała. Wielu rzeczy nie brała pod uwagę. Nie dostrzegała, jak bardzo Dick dbał o swoją ziemię, nie doceniała faktu, że zasadził sto akrów drzew. On nie potrafił spojrzeć na farmę jej oczami. Kochał farmę, stanowiła część jego samego. Lubił powolne przemijanie pór roku i skomplikowany system „drobnych upraw”, jak je pogardliwie określiła, uważając za kompletnie bezsensowny.

Targały nim sprzeczne emocje i kiedy skończyła, dłuższą chwilę milczał, szukając odpowiednich słów. W końcu powiedział z tym swoim przegranym uśmieszkiem:

– No dobrze, to co robimy?

Gdy zobaczyła ten uśmiech, humor jej się poprawił; wygrała tę bitwę z korzyścią dla nich obojga! Zgodził się z jej uwagami! Zaczęła szczegółowo tłumaczyć, co konkretnie powinni zrobić. Zaproponowała, by zaczęli uprawiać tytoń; wszyscy dokoła uprawiają tytoń i zarabiają na tym. Dlaczego oni nie mieliby też zarobić? Każde słowo, każda zmiana głosu zmierzały do jednego: posadzić tytoń, zarobić, spłacać długi i jak najszybciej stąd wyjechać.

Teraz uświadomił sobie wreszcie, do czego prowadzą jej plany, i kompletnie nie wiedział, jak zareagować. Zapytał z wahaniem:

– A jak już zarobimy, to co dalej?

Straciła pewność siebie, spuściła wzrok, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy. Dotąd o tym nie myślała. Pragnęła jedynie, by mu się wreszcie udało, żeby w końcu zarobił jakieś godziwe pieniądze, które pozwoliłyby im robić to, na co mają ochotę, wyjechać z farmy i żyć w sposób cywilizowany. Odmawianie sobie wszystkiego, to wieczne ubóstwo, w jakim żyli, było nie do zniesienia; niszczyło ich. Nie znaczy wcale, że nie mieli co jeść. Problem był w tym, że nad wydaniem każdego pensa trzeba się było długo zastanawiać, nowe ubrania były nieosiągalne, rozrywki zabronione, urlop odłożony na święty nigdy. Bieda pozwalająca na drobne wydatki, przy wiecznej świadomości ciężaru długów dokuczliwych jak wyrzuty sumienia, gorsza jest od głodowania. Tak właśnie zaczęła to odczuwać. Goryczy przydawał jeszcze fakt, że ich bieda brała się poniekąd z wyboru. Nikt nie rozumiał dumy Dicka. W dystrykcie, w całym kraju, wielu farmerów równie biednych jak oni żyło po pańsku, zaciągając kolejne długi i licząc na szczęśliwy traf, który wszystko odmieni. (Nawiasem mówiąc, filozofia ta sprawdziła się w praktyce, bo gdy przyszła wojna i koniunktura na tytoń, z roku na rok dorobili się fortun,

a wtedy Dick Turner na ich tle wypadwał jeszcze żałośniej). Gdyby Turnerowie przestali się głupio upierać i wyjechali raz czy drugi na wakacje, albo kupili nowy samochód, przyzwyczajeni do tutejszych obyczajów wierzyli nie mieliby nic przeciwko temu. Ale Dick za nic by tak nie postąpił. Mary z jednej strony nienawidziła go za to, uważając za głupca, z drugiej zaś było to jedyne, co w nim szanowała; mógł sobie być nieudacznikiem i słabeuszem, ale zachował ten ostatni, niezdojany bastion swojej dumy.

Dlatego nie nalegała, by wyrzekł się swoich zasad i poszedł w ślady innych. Nadal jeszcze zbijano fortuny na tytoniu. Wydawało się to łatwe i proste. Nawet gdy naprzeciwko siebie miała wymęczoną, nieszczęśliwą twarz Dicka, wyglądało to realnie. Musiał tylko podjąć słuszną decyzję. A potem? Właśnie o to przed chwilą zapytał – jaka będzie ich przyszłość.

Myśląc o tej pięknej, choć dość mglistej przyszłości, gdy wreszcie będą mogli żyć jak ludzie, wyobrażała sobie samą siebie jak kiedyś w mieście, wśród dawnych przyjaciół, mieszkającą w klubie dla młodych kobiet. Dick nie pasował do tego obrazka. Długo, wymijająco milczała, unikając przy tym jego wzroku, więc powtórzył pytanie, a wtedy po raz pierwszy z całą jasnością pojęła, jak różne są ich potrzeby. Znów odgarnęła włosy z oczu, jakby odsuwając od siebie coś, o czym nie chciała teraz myśleć, i odrzekła wykrętnie:

– Przecież nie możemy tak dalej żyć, prawda?

Zapadło znowu milczenie. Obracając w palcach ołówek, postukiwała nim o blat stołu; ten irytujący swoją regularnością dźwięk działał mu na nerwy.

Więc teraz zależy wszystko od niego. Znów przerzuciła na niego decyzję i zostawiła go samego; niech działa, jak potrafi, tylko nie określiła wyraźnie celu, do którego miałby dążyć. Poczł gniew i rozgoryczenie. Oczywiście, że nie

mogą tak dalej żyć! Czy kiedykolwiek mówił, że jest innego zdania? Czyż nie pracował jak czarnuch, żeby wydobyc ich z biedy? Ale nad dalszą przyszłością nie zastanawiał się nigdy; to go przerażało. Przyuczył się wybiegać myślą o sezon naprzód. Jego plany nie sięgały poza następny rok. Tymczasem Mary patrzyła dużo dalej; myślała o innych ludziach, o innym życiu – bez niego. Wiedziała, choć tego nie powiedziała. Wpadł w panikę. Tyle czasu minęło, odkąd stykał się na co dzień z ludźmi, że już ich nie potrzebował. Lubił sobie od czasu do czasu ponarzekać w rozmowie z Charliem Slatterem, ale gdyby zabrakło takiej możliwości, nie przejąłby się bardzo. Dopiero w towarzystwie innych uświadamiał sobie rozmiar swoich niepowodzeń i własne nieudacznictwo. Wiele lat żył wśród tubylczych robotników, planując nie dalej niż na rok naprzód, tak że jego horyzonty zacieśniły się. Nie potrafił już wyobrazić sobie niczego innego, a już na pewno nie widział siebie nigdzie poza farmą. Znajome było tu każde drzewo, a *veld*, z którego żył, znał tak samo dobrze jak tubylcy. Nie żywił sielankowych sentymentów mieszczucha. Jego zmysły wyostrzyły się na dźwięk wiatru, śpiew ptaków, dotyk ziemi, zmianę pogody, a pozostawały nieczułe na wszystko inne. Poza farmą nie potrafiłby żyć. Chciał, aby mu się powiodło, ale po to, by nadal mógł mieszkać na farmie, tyle że opływając w dostatki, i aby Mary miała wszystko, czego zapragnie. A przede wszystkim po to, by mogli mieć dzieci. Dzieci dla niego były najważniejszą potrzebą. Nawet teraz nie tracił nadziei, że pewnego dnia... I tak dalej. Nie rozumiał więc tego, że Mary widzi przyszłość gdzie indziej i w dodatku domaga się jego aprobaty! Poczuł się smutny i zagubiony, pozbawiony oparcia w życiu. Patrzył na nią niemal z przerażeniem, jak na obcą istotę, która nie ma prawa dyktować mu, co ma robić.

Nie, nie wolno mu tak o niej myśleć! Po tamtej ucieczce uświadomił sobie, jak wiele dla niego znaczy jej obecność w domu. Nie. Ona jednak musi w końcu zrozumieć tę jego potrzebę życia na farmie, a kiedy już mu się powiedzie, przyjdzie czas na dzieci. Musi też zrozumieć, że jego największą przegraną wcale nie są jego niepowodzenia jako farmera; największą poniesioną przezeń klęską jest jej niechęć do niego jako do mężczyzny i to, jak wygląda ich wspólne życie. Kiedy jednak będą mieli dzieci, nawet to się naprawi, i będą szczęśliwi. I o tym marzył, oparłszy głowę na rękach i słuchając stuk-stuk-stuk-stukania ołówka.

Mimo tych wizji przytłaczało go poczucie przegranej. Wzdrygał się na samą myśl o tytoniu; zawsze tak było, wydawał mu się jakiś nieludzki. Trzeba by zaprowadzić na farmie nowe porządki, a potem spędzać długie godziny w parnych, gorących wnętrzach, wstawać w nocy i sprawdzać temperaturę.

Przekładał papiery na stole, tarł ręką czoło i w duchu żałośnie buntował się przeciw swemu losowi. Nadaremnie. Siedząca naprzeciwko Mary gotowa była na wszystko, żeby zmusić go do postąpienia wedle jej woli. W końcu podniósł głowę, uśmiechnął się krzywo i smutno powiedział:

– No dobrze, proszę pani. Czy w takim razie mogę się przez kilka dni zastanowić? – Głos miał zdławiony od upokorzenia.

Odparła z irytacją:

– Wolałabym, żebyś się tak do mnie nie zwracał!

Nie odpowiedział, choć cisza, która zapadła, wyraźnie mówiła to, co obydwójce bali się powiedzieć na głos. W końcu to Mary przerwała tę ciszę. Wstała i energicznie zebrała książki ze stołu.

– Idę spać – oznajmiła i wyszła, zostawiając go z własnymi myślami.

Trzy dni później, nie patrząc na nią, poinformował cichym głosem, że umówił się z majstrami na budowę dwóch stodół.

Kiedy podniósł wzrok, zmuszając się do konfrontacji z jej niepohamowanym tryumfem, zobaczył lśniąca w jej oczach nową nadzieję i z niepokojem pomyślał, co będzie, jeśli zawiedzie i tym razem.

## Rozdział 8

Kiedy zdobyła się już na ten ogromny wysiłek woli, żeby wpłynąć na niego, wycofała się i zostawiła go samego. Kilka razy próbował wciągnąć ją w swoje sprawy, pytał o radę, prosił o pomoc w jakimś kłopotcie, ale, jak dawniej, niezmiennie odmawiała. Powody były trzy. Pierwszy wykalkulowany: jeśli będzie cały czas stać nad nim, udowadniając, że jest mądrzejsza, wywoła w nim reakcję obronną, a wtedy z czystej przekory nie będzie chciał działać po jej myśli. Dwa pozostałe powody były instynktowne. Nadal nie lubiła farmy i obawiała się, że jeśli da się wciągnąć jak on w te wszystkie codzienne problemy, zaangażuje się w nie w końcu. Najważniejszy był wszakże powód trzeci, choć najmniej uświadomiony. Miała ogromną potrzebę, by myśleć o poślubionym „dopóki śmierć nas nie rozłączy” Dicku jako o człowieku w pełni wartościowym, umiejącym własną pracą dojść do czegoś. Gdy widziała go słabego, żałosnego, niemającego wyższego celu w życiu, nienawidziła go, a nienawiść ta ostatecznie godziła w nią samą. Potrzebowała mężczyzny silniejszego od siebie, więc chciała, żeby Dick taki się stał. Gdyby naturalnym biegiem rzeczy przejął dowodzenie w ich związku i radził sobie w tej roli, kochałaby go, a tak nienawidziła siebie za to, że związała

się z nieudacznikiem. Chciała, żeby samodzielnie stanął na nogach, i to ją powstrzymywało od wtrącania się w sprawy gospodarstwa, choć nieraz korciło ją, by mu powiedzieć, że powinien zrobić to czy tamto. Uważała, że gdy zostawi mu sprawy związane z prowadzeniem farmy, ocali w ten sposób jego dumę, nie zdając sobie sprawy, że to ona sama jest jego największą klęską. Może była w tym jakaś instynktownie wyczuwana racja; sukces materialny na pewno wzbudziłby jej respekt i zmienił stosunek do męża. Jednak założenia były błędne. Miałyby rzeczywiście słuszność, gdyby Dick był innym człowiekiem. Kiedy widziała, że znów głupio wydaje pieniądze na rzeczy niepotrzebne, a oszczędza na tych zasadniczych, po prostu starała się o tym nie myśleć. Zbyt wiele to dla niej znaczyło tym razem. A Dick, zraniony i zawiedziony jej rezerwą, w końcu przestał się do niej zwracać. Z uporem robił wszystko po swojemu, czując się przy tym tak, jakby mu kazała pływać w głębokiej wodzie, przekraczającej jego możliwości, i zostawiła go zdanego na własną pomysłowość.

Wróciła do domu, do kur i do wiecznego wojowania ze służbą. Oboje wiedzieli, że stoją przed trudnym wyzwaniem. Więc czekała. Przez pierwsze lata również czekała, z utęsknieniem wierząc – z wyjątkiem kilku momentów poddania się rozpaczycy – że coś się nareszcie zmieni, stanie się cud i nadejdzie sukces. Potem, nie mogąc dłużej znieść tej sytuacji, uciekła, a wracając, pogodziła się z tym, że nie będzie żadnego cudownego wybawienia. Teraz znów pojawiła się nadzieja, ale Mary nie ma zamiaru się do tego mieszać, to sprawa Dicka. W miesiącach tych żyła jak ktoś, kto jakoś musi wytrzymać tymczasowy pobyt w nielubianym przez siebie kraju, bez żadnych konkretnych planów, ale mając niemal pewność, że gdy tylko stąd wyjedzie, wszystko jakoś się ułoży.

Nadal nie planowała, co będzie, kiedy Dick wreszcie się



dorobi, ale wciąż marzyła o powrocie do biura w roli doskonałej i niezastąpionej sekretarki, wyobrażała sobie, że znów stanie się powiernicą młodszych koleżanek w klubie, że będzie bywać w zaprzyjaźnionych domach i „wychodzić” z panami traktującymi ją po przyjacielsku, co było takie proste i niczym niezagrażające.

Czas mija szybko, wręcz pędzi, w tych okresach w życiu, kiedy dojrzewają i piętrzą się różne kryzysy, które – pokazując się niczym wzgórze u kresu podróży – kończą pewien etap. Ponieważ ciało ludzkie nie zna limitu długości snu, Mary w ciągu dnia przez wiele godzin spała, aby czas mijał szybciej, aby za jednym razem pochłonąć spory jego kęs; zawsze budziła się zadowolona, że jest o kilka godzin bliższa wybawienia. W tym okresie niewiele przebywała na jawie, gdyż nawet wykonując codzienne czynności, pograżała się w marzeniach. Z każdym dniem rosły jej nadzieje; zdarzało się jej budzić rano z uczuciem ulgi i radości, jakby dzień miał przynieść coś wspaniałego.

Śledziła postępy budowy stodół na tytoń, jakby to był statek, który miał ją zabrać z zesłania. Zabudowania wolno nabierały kształtu. Najpierw powstał nieregularny ceglany zarys, przypominający ruiny, potem prostokąt z podziałami, co przypominało puste pudełka zestawione razem, a w końcu przyszła kolej na dach lśniący nową, połyskującą w słońcu blachą, nad którą płynęły i drżały fale rozgrzanego powietrza. W kotlinie przygotowano grządki czekające na deszcz, który miał zmienić jej dno w rwący strumień. Mijały miesiące, nadszedł październik. A choć bardzo bała się tej pory roku, gdy zniechęcony upał stawał się szczególnie dokuczliwy, tym razem przetrwała ją łatwo, podtrzymywana na duchu nadzieją. Powiedziała nawet Dickowi, że w tym roku gorąco wcale nie jest takie straszne, na co on odparł, że jego zdaniem jest znacznie gorzej niż zwykle, a mówiąc to, patrzył na nią z niepokojem,

a nawet z pewną podejrzliwością. Nie potrafił zrozumieć zależności Mary od pogody i emocjonalnego stosunku do niej, gdyż z natury było mu to obce. Sam dużo przebywał w upale, niestraszne było mu zimno ani susza, więc pogoda nie stanowiła dla niego problemu. Był jej częścią, nie walczył z nią tak jak żona.

Tego roku, gdy dym zasnuł powietrze, mocno przeżywała pełne napięcia oczekiwanie na deszcz, po których miał wzejść tytoń. Niby obojętnie – na co się nie dał nabrać – spytała Dicka o zbiory innych farmerów i z błyskiem w oku uważnie słuchała, jak ten zarobił na czysto dziesięć tysięcy funtów, gdy rok był dobry, a ów pospłacał długi. A kiedy Dick, nie wierząc ani przez chwilę, że ona pyta z prostej ciekawości, zwrócił uwagę, że mają tylko dwie stodoły, a nie piętnaście czy dwadzieścia, jak na dużych farmach, i dodał, iż nie spodziewa się dochodu rzędu tysiący funtów, nawet jeśli sezon się uda, nie przejęła się tym w ogóle. Najważniejsze dla niej było snucie marzeń o rychłym sukcesie.

Deszcze – co było dość niezwykle – przyszły dokładnie wtedy, kiedy powinny, i w grudniu rozpadało się na dobre. Tytoń prezentował się – przynajmniej dla Mary – zdrowo i dorodnie, zapowiadając obfite zbiory. Chodziła z Dickiem po polach i z przyjemnością patrzyła na krzepką, bujną zielonkę, myśląc o tym, jak płaskie zielone liście zmieniają się w kilkucyfrowy czek.

Wtedy zaczęła się susza. Początkowo Dick się nie przejął; tytoń dobrze znosi brak wody, kiedy rośliny zadomowią się już w glebie. Choć jednak dzień po dniu zbierały się deszczowe chmury, stawało się tylko coraz goręcej. Przeszło Boże Narodzenie, nastał styczeń. Dick był zasepiony i drażliwy, Mary dziwnie milcząca. Któregoś popołudnia trochę popadało, ale przewrotnie tylko na jednym polu. Znowu zaczęła się susza i kolejne tygodnie mijały bez śla-

du deszczu. Raz zebrały się chmury, i to dość gęste, po czym się rozwiały. Stojąc na werandzie, Mary i Dick patrzyli na ciężki szary welon płynący nad wzgórzami. Nad *vel-dem* pojawiła się cienka zasłona deszczu i zaraz zniknęła; na farmę nie spadła ani kropla. Inni farmerzy mieli więcej szczęścia i częściowo udało się im ocalić zbiory. Raz po południu popadał ciepły deszcz, którego grube, lśniące krople w promieniach słońca tworzyły miejscami tęczę. Ale to było za mało, by zwilżyć wysuszoną na pergamin ziemię. Zwiędnięte tytoniowe liście ledwie, ledwie odżyły. Następne dni przyniosły piekące słońce.

– Cóż – rzekł Dick, krzywiąc twarz w bolesnym rozczarowaniu. – I tak już za późno.

Miał nadzieję, że uda się uratować choć to pole, na które spadł deszcz. Zanim jednak w końcu rozpadało się porządnie, znaczna część tytoniu przepadła; zostało tylko bardzo niewiele. Niewielka ilość zasadzonej w tym roku kukurydzy nie zwróci nawet kosztów uprawy. Dick tłumaczył to wszystko Mary cichym głosem, z cierpiętniczym wyrazem twarzy. Ale dostrzegła, że i z pewną ulgą. Wprawdzie znowu zawiódł, ale nie z własnej winy. To czysty pech, który mógł się zdarzyć każdemu; nie może go za to winić.

Któregoś wieczoru omówili sytuację. Dick przyznał się, że wystąpił o nową pożyczkę, mającą uchronić ich od bankructwa, i dodał, że w przyszłym roku nie postawi tylko na tytoń. Wolałby w ogóle z niego zrezygnować, ale jeśli ona bardzo chce, to trochę może posadzić. Gdyby znów spotkało ich takie niepowodzenie jak tegoroczne, będzie to oznaczało ostateczne bankructwo.

Po raz ostatni Mary błagała, żeby spróbowali raz jeszcze; niemożliwe, by zdarzyły się dwa złe lata z rzędu. Nawet u „Jonasza” (zmusiła się do nazwania go tym imieniem, uśmiechając się jednocześnie ze współczuciem) nie może być dwóch kolejnych pechowych sezonów. A zresztą

zawsze przecież można zaciągnąć następne długi. W porównaniu z innymi, którzy winni są tysiące, oni wcale nie mają długów. Jeśli ma nastąpić klęska, to w wielkim stylu, z rozmachem. Zbudują jeszcze dwanaście stodół, obsieją tytoniem całą ziemię, postawią wszystko na jedną kartę. A czemu nie? Czemu on ma mieć skrupuły, skoro inni ich nie mają?

W tym momencie ujrzała na jego twarzy ten sam wyraz co wtedy, kiedy błagała go, by wyjechali na odpoczynek, by nabrać sił. Ponury lęk, którego się bała.

– Nie zadłużę się ani o pensa więcej, jeśli nie będzie to naprawdę konieczne – zakomunikował nieodwołalnie. – Za nic.

Uparł się. Nie było mowy, żeby go przekonać.

A w przyszłym roku, co wtedy?

Jeśli okaże się dobry, powiedział, jeśli wszystkie plony się udadzą i nie nastąpi spadek cen, a tytoń obrodzi, to nadrobią straty z tego roku. Może nawet uzyskają troszeczkę więcej. Kto wie? Ten pech może się wreszcie skończy. Ale on nie ma zamiaru ryzykować wszystkiego i stawiać na jedną uprawę, dopóki nie wyjdzie z długów. No bo przecież, powiedział z poszarzałą twarzą, jeśli zbankrutują, stracą farmę! Odparła – choć wiedziała, że tym go zrani najboleśniej – że będzie szczęśliwa, gdy tak się stanie, bo będą wreszcie musieli zrobić jakiś radykalny krok, żeby się utrzymać. Dotąd nic takiego nie robił, przypomniała, bo wiedział, że nawet jeśli znajdą się na krawędzi bankructwa, przeżyją jakoś, żywiąc się tym, co wyhodują, i zarzynając własne bydło.

Kryzysy jednostek, podobnie jak kryzysy narodów, przechodzą niezauważone, dopóki nie jest po wszystkim. Kiedy Mary usłyszała z ust męża to straszliwe „w przyszłym roku”, zrobiło jej się słabo, ale dopiero po kilku dniach od tej rozmowy przyszłość, której nadzieją dotąd żyła, nagle od-

sunęła się w nieskończoną dal. „Przyszły rok” mógł oznaczać bardzo wiele, także kolejne niepowodzenie, a już na pewno nie więcej niż zaledwie skromną poprawę. Cudu nie będzie. Nic się nie zmieni; nic nigdy się nie zmieniało.

Dick, który szykował się do stawienia czoła gromom gniewu i strumieniom łez, zdziwił się, że tak mało widać po żonie rozczarowanie. Z wieloletniego nawyku od razu zaczął myśleć o „przyszłym roku” i snuć plany. Ponieważ Mary nie okazywała rozpaczy, przestał się nią przejmować; najwyraźniej cios nie był tak ciężki, jak się obawiał.

Ale efekty ciężkich szoków nie występują od razu. Minęło sporo czasu, nim Mary do reszty straciła nadzieję i przestała wyczekiwać szczęśliwej odmiany, tak długo bowiem docierała do niej prawda, że i tytoń okazał się niewypałem. Długo też trwało, zanim w pełni uświadomiła sobie inną prawdę – miną lata, nim uda im się wydostać z farmy, jeśli to w ogóle nastąpi.

Nadszedł okres smutku i apatii, które zajęły miejsce rozpaczy i bólu. Czuła się tak, jakby stała się zupełnie miękka w środku, a ten rozmiękczający rozkład zaatakował nawet kości.

Bo nawet marzenia potrzebują iskierki nadziei, inaczej nie mają sensu. Ucinała teraz gwałtownie snute dotąd chętnie fantazje o dawnych czasach przeniesionych w przyszłość i powtarzała sobie tępo, że nie będzie żadnej przyszłości. Niczego nie będzie. Zero. Pustka.

Pięć lat wcześniej odurzałaby się lekturą romantycznych powieści. W mieście takie kobiety jak ona żyły życiem gwiazd filmowych albo zaczynały interesować się religią, przeważnie którąś z nastrojowych religii Wschodu. Gdyby miała lepsze wykształcenie i dostęp do książek, zapewne odkryłaby Rabindranatha Tagore i uciekała w ten słodki, senno-marzycielski świat.

W obecnym jednak stanie rzeczy chodziło jej po głowie,

że koniecznie powinna znaleźć sobie jakieś zajęcie. Może rozwinąć hodowlę kurcząt? Znowu zabrać się do szycia? Ale przy apatii, która ją ogarnęła, i przy zmęczeniu nic jej nie interesowało. Pomyślała, że może zrobi coś w przyszłym roku, gdy nadejdzie chłodna pora i pobudzi ją do życia. Farma oddziaływała na nią podobnie jak na Dicka; również myślała już w kategoriach przyszłego roku, odkładając rzeczy na później.

Dick, który pracował jeszcze więcej niż zwykle, w końcu zauważył jej mizerny wygląd, podpuchnięte oczy i czerwone plamy na policzkach. Sprawiała wrażenie niezdrowej. Spytał, czy źle się czuje. Jakby dopiero w tej chwili to sobie uświadomiła, odparła, że tak. Cierpiała na silne bóle głowy i trawiła ją niechęć do wszystkiego, a to mogło oznaczać, że jest chora. Zauważył, że sprawia wrażenie zadowolonej z myśli o chorobie.

Zaproponował, że skoro nie może wystać jej na porządny urlop, to niech pojedzie na trochę do miasta i odwiedzi dawne przyjaciółki. Przestraszyła się nie na żarty. Na samą myśl o spotkaniu z ludźmi, a zwłaszcza tymi, którzy znali ją, gdy była młoda i szczęśliwa, poczuła się jak bez skóry, jakby wszystkie nerwy znalazły się na wierzchu.

Widząc ten jej stanowczy upór, Dick wzruszył ramionami i wrócił do pracy, licząc w duchu, że może choroba sama przejdzie.

W ciągu dnia Mary nerwowo chodziła po domu, nie mogąc usiedzieć na miejscu. W nocy źle spała. Jedzenie nie wywoływało u niej mdłości, ale sama czynność spożywania posiłku stanowiła problem. Cały czas czuła się tak, jakby miała w głowie kłęb waty i odczuwała miękki, tępy ucisk z zewnątrz. Wszystkie czynności wykonywała mechanicznie; kurami, sklepem i domem zajmowała się niejako z rozpędu. W tym czasie rzadko się jej zdarzały napady złości na służącego, jakby w przeszłości te wybuchy gniewu sta-

nowiły ujście dla jej niespożytej energii, a kiedy energia w niej wygasła, stały się niepotrzebne. Ale nadal zrzedziła; stało się to jej nawykiem, i do krajowców mówiła zawsze poirytowanym, niemiłym tonem.

Po jakimś czasie niepokój minął. Teraz godzinami siedziała na zniszczonej kanapie, pogrążona w apatii, a spłowiałe perkalowe zasłony powiewały nad jej głową. Wydawało się jej, że coś w niej pękło i że ona sama z wolna zanika, zapadając się w ciemność.

A Dick myślał, że czuje się lepiej.

Pewnego dnia przyszła do niego jakaś inna niż zwykle, spięta i zdesperowana, i spytała, czy mogliby mieć dziecko. Ucieszył się. Było to największe szczęście, jakie go kiedykolwiek spotkało z jej strony, bo to ona poprosiła, przyszła do niego z własnej woli, tak przynajmniej myślał. Nareszcie zwraca się do niego jak żona. Tak był szczęśliwy, tak wielka radość go ogarnęła, że o mało się nie zgodził. Przecież tego właśnie pragnął najbardziej. Marzył, że pewnego dnia, „kiedy sprawy lepiej się ułożą”, będą wreszcie mogli pozwolić sobie na dzieci. Po chwili jednak twarz mu stężała, zasepił się.

- Mary, nie możemy mieć dzieci.
- Inni je mają, chociaż też są biedni.
- Ależ ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak biedni jesteśmy.
- Oczywiście, że zdaję sobie sprawę, ale nie mogę tak dłużej żyć. Muszę mieć coś. Nie mam nic do roboty.

Pojął, że ona pragnie dziecka ze względu na siebie i że on nadal nic dla niej nie znaczy, nic ważnego. Odpowiedział z uporem, żeby rozejrzała się dokoła i zobaczyła, co się dzieje z dziećmi wychowywanymi w takich warunkach, na jakie skazane byłoby ich dziecko.

- Gdzie? – spytała nieprzytomnie, naprawdę się rozglądając, jakby te nieszczęsne dzieci były gdzieś tu, w domu.

Uświadomił sobie w tym momencie, w jakim ona żyje odosobnieniu, przypomniało mu się, że nigdy nie chciała brać udziału w tym, co działo się w dystrykcie. To jednak znów go zirytowało. Ile czasu trwało, nim wreszcie zainteresowała się farmą; tyle lat tu mieszka, a nawet nie wie, jak tutejsi ludzie żyją, ledwo zna nazwiska najbliższych sąsiadów.

– Nie widziałaś nigdy tego Holendra od Charliego?

– Jakiego Holendra?

– Zarządcy. Trzynaścioro dzieci! Przy dwunastu funtach miesięcznie. Slatter jest twardy jak skała. Trzynaścioro! Biegają bez dozoru jak zwierzęta, chodzą w byle czym, jedzą dynię i mączkę kukurydzianą, jak czarni. O szkole w ogóle nie ma mowy...

– Tylko jedno... – błagała Mary, słabym, płaczliwym głosem. Brzmiało to jak żalosna skarga.

Bardzo potrzebowała tego dziecka, żeby uratowało ją przed nią samą. Do takiego stanu doprowadziła ją trwająca od kilku tygodni rozpacz. Bezradność dziecka, jego zależność, bałagan i rodzicielskie troski budziły w niej niechęć, ale przynajmniej miałyby coś do roboty. Do czego doszło, żeby to ona błagała Dicka o dziecko?! Przecież to on zawsze chciał mieć dzieci, ona ich nie lubiła. Myśląc o dziecku w tych tygodniach rozpacz, kurczowo uczepiła się tego pomysłu. Nie byłoby wcale źle. Wreszcie miałyby kogoś. Wspominając siebie z lat dzieciństwa i swoją matkę, rozumiała teraz, czemu matka wczepiła się w nią, traktując ją jak zawór bezpieczeństwa. Utożsamiała się z matką i po tylu latach naprawdę jej żałowała, dopiero teraz rozumiejąc coś niecoś z tego, co ona musiała wtedy czuć i jak musiała cierpieć. Widziała siebie samą: ciche, spokojne dziecko, na bosaka i z gołą głową, chodzące za matką do kurnika, jednocześnie kochające ją i żałujące jej, a nienawidzące ojca. Wtedy wyobrażała sobie swoje dziecko, małą córeczkę, po-



cieszając ją tak, jak ona pocieszała matkę. Nie myślała o dziecku jak o niemowlęciu; ten etap należało jak najszybciej mieć za sobą. Chciała mieć małą dziewczynkę, małą towarzyszkę; w ogóle nie brała pod uwagę, że może się urodzić chłopiec.

Dick spytał:

- A co ze szkołą?
- A co ma być? – odparła gniewnie.
- Jak zapłacimy za szkołę?
- Nie trzeba płacić za szkołę. Moi rodzice nie płacili.
- Internat kosztuje, podobnie jak książki, bilety kolejowe, ubranie. Pieniądze nie spadną nam z nieba.
- Moglibyśmy dostać stypendium rządowe.
- Nie! – zaprotestował Dick ostro, krzywiąc twarz w grymasie. – Za nic na świecie! Już się w życiu nachodziłem po bogaczach, zebrząc o pieniądze, a oni siedzieli na swoich grubych tyłkach i tylko patrzyli na mnie z góry. Dobrodzieje! Nic z tego! Nie chcę mieć dziecka, dopóki nie będę w stanie czegoś mu zapewnić. Nie w takim domu, nie żyjąc w ten sposób.
- A ja mogę żyć w ten sposób – rzekła Mary posępnie.
- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim za mnie wyszłaś – odparł Dick.

Ta jego gruboskórność i jawna niesprawiedliwość wywołały u niej wybuch furii. Ale niedokończony. Z początku twarz jej pociemniała, oczy zapłonęły, po czym wszystko ucichło, złożyła jedną na drugiej drżące dłonie i zamknęła oczy. Gniew rozwiął się; była zbyt zmęczona, żeby wdawać się w awanturę.

- Zbliżam się do czterdziestki – przypomniawszy ze znużeniem. – Nie rozumiesz, że niedługo w ogóle nie będę mogła mieć dzieci? Nawet na pewno, jeśli będę dalej tak żyła.

- Nie teraz – odparł nieubłaganie.

Ostatni raz wspomnieli wtedy o dziecku. Równie dobrze jak on wiedziała, że to szaleństwo, skoro Dick jest taki: zbyt dumny, by pożyczać, i traktujący tę dumę jak ostatni bastion szacunku dla samego siebie.

Później, kiedy zobaczył, że ona znów zapada w tę swoją straszliwą apatię, poprosił po raz kolejny:

– Mary, proszę cię, pojedź ze mną na pole. Dlaczego nie chcesz? Możemy to robić razem.

– Nienawidzę twojej farmy – odparła drewnianym, nieobecny głosem. – Nienawidzę jej. Nie chcę mieć z nią do czynienia.

Ale mimo całego swego zobojętnienia zdobyła się na wysiłek wyprawy w pole. I tak jej było wszystko jedno, co robi. Przez kilka tygodni towarzyszyła Dickowi, próbowała wspierać go swoją obecnością. I to przyprawiło ją o jeszcze większą rozpacz niż do tej pory. Całkowita, całkowita beznadzieja. Tak wyraźnie widziała, co jest nie tak z nim i z farmą, a nie mogła zrobić nic, żeby mu pomóc. Był taki uparty. Zwracał się do niej o radę, szczęśliwy był jak mały chłopiec, kiedy brała swoją poduszkę i jechała z nim na pole, a jednak gdy coś proponowała, zacinał się i przyjmował postawę obronną.

Tygodnie te straszne były dla Mary. Widziała wtedy wszystko wyraźnie, całą prawdę, bez łudzenia się i fałszywych nadziei, uczciwie i obiektywnie: siebie i Dicka, ich wzajemną relację, stosunek do farmy i do przyszłości. Obawiała się przy tym, że długo nie wytrzyma tego swego wyostrożonego spojrzenia, tak smutna była ta prawda. W przypiływie gorzkiego uniesienia towarzyszyła Dickowi, po czym znów dochodziła do wniosku, że nie ma sensu niczego mu proponować ani namawiać go do opamiętania. Szkoda czasu.

Zaczęła myśleć o mężu beznamiętnie, choć dość serdecznie. Znacznie lepiej się czuła, gdy udało się jej odsunąć na bok rozgoryczenie i nienawiść i gdy była w stanie myś-

leć o nim z matczyną troskliwością, widząc jego słabości i rozumiejąc, skąd się biorą, za co przecież nie był odpowiedzialny. Brała poduszkę na skraj buszu, w cień; tam, siedząc na ziemi, z nogami otulonymi szczelnie spódnicą, patrzyła na kleszcze łąjące w trawie i myślała o Dicku. Obserwując, jak na środku rozległego rdzawego pola balansuje między wielkimi grudami ziemi, szczupły, w dużym kapeluszu i luźnej koszuli, zastanawiała się, jak to możliwe, że ktoś może być do tego stopnia pozbawiony zdecydowania, które w znacznym stopniu kształtuje osobowość. Dick jest dobry, naprawdę dobry! – powtarzała sobie do znudzenia. Porządny człowiek; nie ma w nim żadnej niegodziwości. I aż za dobrze zdawała sobie sprawę – kiedy tylko zebrała się na odwagę i spojrzała obiektywnie (co nawet było możliwe w tym nastroju beznamiętnego współczucia) – ilu upokorzeń doznał od niej jako mężczyzna. A jednak nigdy się nie starał jej tym odwzajemnić. Tracił panowanie nad sobą, tak, to prawda, ale nie dowartościowywał się jej kosztem. Był dobry! Aż za dobry, za miękki. Brakowało mu jedynie tego czegoś, czego mógłby się trzymać. Czy zawsze był taki? Tego nie wiedziała. Jego rodzice nie żyli; był jedy-nakiem. Wychował się gdzieś na przedmieściach Johannesburga, i zorientowała się, choć on nigdy tego wprost nie powiedział, że jego dzieciństwo było mniej nędzne niż jej, choć też biedne i pełne wyrzeczeń. Z gniewem powiedział raz, że jego matka miała ciężkie życie; słysząc te słowa, poczuła, że mają coś wspólnego: on też kochał matkę i żywił żal do ojca. Kiedy dorósł, imał się różnych zajęć. Był urzędnikiem na poczcie, pracował na kolei, sprawdzał liczniki wody dla władz miejskich. Potem postanowił zostać weterynarzem. Studiował przez trzy miesiące, lecz okazało się, że nie stać go na dalsze studia; pod wpływem impulsu przyjechał do Rodezji Południowej, żeby zostać farmerem i „pracować na swoim”.

I tak ten niezaradny, porządny człowiek stał teraz na „własnej” ziemi, do ostatniego ziarnka piasku należącej do rządu, i patrzył, jak pracują „jego” krajowcy, a ona, przyglądając mu się z cienia, doskonale wiedziała, że jest skazany na zagładę; nigdy nie miał szans. Mimo wszystko jednak wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że taki dobry człowiek jest nieudacznikiem. Wstawała z poduszki i szła do niego, postanawiając jeszcze raz spróbować mu pomóc.

– Posłuchaj, Dick – powiedziała pewnego dnia nieśmiało, lecz stanowczo. – Mam pomysł. W przyszłym roku można by wykarczować następne, powiedzmy, sto akrów i obsadzić wszystko jednym, na przykład kukurydzą. Posadź wszędzie kukurydzę, zrezygnuj z wielu roślin uprawianych na mniejszą skalę.

– A co, jeśli będzie zły sezon na kukurydzę?

Wzruszyła ramionami.

– Teraz też nie idzie ci najlepiej.

Oczy nabiegły mu krwią, a twarz stężała, aż pogłębiły się linie biegnące od kości policzkowych do podbródka.

– Co ja mogę więcej zrobić?! – zaczął krzyczeć. – Jak mam wykarczować następne sto akrów? Łatwo ci mówić! Skąd wezmę robotników? Nie stać mnie na kupowanie ich po pięć funtów od głowy. Pozostają tylko ci, którzy zgłoszą się sami. A tacy już nie przychodzą. I to twoja wina. Przez ciebie bezpowrotnie straciłem dwudziestu najlepszych ludzi. Wygadują teraz o farmie niestworzone rzeczy i psują mi opinię, a wszystko przez twój przekłęty charakter. Nikt się już nie zgłasza do pracy. Nie, wszyscy jadą do miasta, a tam włóczą się tylko i nic nie robią.

Gdy dotknął starej bolączki, poniosło go i zaczął wygadywać na rząd, który będąc pod wpływem siedzących w dalekiej Anglii miłośników czarnuchów, nie ma zamiaru zmuszać ich do pracy na roli ani wysyłać ciężarówek z wojskiem, żeby doprowadzić ich siłą. Rząd nigdy nie rozumiał

farmerów! Nigdy! Grzmiał też na tubylców, którym się nie chce porządnie pracować, są zuchwali, i tak dalej. Mówił i mówił, rozgorączkowanym, pełnym gniewu i goryczy głosem, głosem białego farmera, który wygaduje na rząd i pozostaje niewzruszony w swoich poglądach. Wśród tej burzliwej tyrady zapomniał o planach na następny rok. Do domu wrócił zamyślony i rozgoryczony, z miejsca warknął na służącego, który w tej chwili reprezentował tubylczą rasę, będącą tak wielką dlań udręką.

W tamtym okresie niepokoił Mary, na tyle, na ile w ogóle mogła się czym przejąć w tym swoim stanie apatii. Gdy o zachodzie słońca wracali razem do domu, zmęczony i rozdrażniony siadał w fotelu i palił. Teraz palił już bez przerwy, wprowadzając tańsze papierosy, dla krajowców, ale za to wywołujące uporczywy kaszel i plamiące palce na żółto. Kręcił się przy tym i wiercił, jakby nerwy nie dawały mu spokoju. W końcu ciało słabło, i kładł się, czekając na kolację, po której mógł wreszcie pójść spać.

Wtedy do pokoju wchodził służący i mówił, że przyszli robotnicy, bo chcą prosić o zgodę na odwiedzenie krewnych albo coś takiego. Mary zauważała, że Dickowi od razu wracało napięcie w twarzy i niepokój ruchów. Miał po dziurki w nosie tubylców i wszelkich spraw z nimi związanych. Krzyczał na służącego, żeby się wynosił i zostawił go w spokoju; niech powie tamtym, że mają iść z powrotem – do diabła! – do swoich chat. Za pół godziny służący zjawiał się znowu i cierpliwie znosząc złość pana, oznajmiał, że robotnicy ciągle czekają. Dick gasił papierosa, natychmiast zapalał następnego i wychodził na zewnątrz, gdzie krzyczał na cały głos.

Mary słuchała w napięciu. Doskonale znała to uczucie rozjątrzenia z własnych doświadczeń ze służbą, ale złościło ją, gdy widziała je u niego. Irytowało ją w najwyższym stopniu i kiedy wracał, odzywała się z sarkazmem:

- A więc ty możesz mieć konflikty z krajowcami, ja nie.
- Powiem ci coś – odpowiadał, patrząc na nią rozgoryczkowanymi, udreńczonymi oczami. – Mam ich już serdecznie dosyć.

Zasiadał ciężko w fotelu, trzęsąc się cały.

Niby tak ich nienawidził, ale czasem, widząc go rozmawiającego na polu z czarnym nadzorcą, była szczerze zaniepokojona. Zupełnie jakby zmieniał się w krajowca, myślała wtedy z niechęcią. Wydmuchiwał nos w palce jak oni; gdy stał wśród robotników, przypominał jednego z nich; nawet kolorem skóry nie różnił się bardzo, opalony na ciemny brąz; w dodatku trzymał się w podobny sposób. A kiedy żartował, żeby wprowadzić ich w dobry humor, miała wrażenie, że jest kimś zupełnie obcym; te dowcipy ją przerażały. Zastanawiała się, do czego w końcu dojdzie. Potem ogarniało ją przemożne zmęczenie i myślała sennie: „Jakie ma to zresztą znaczenie?”.

Wreszcie oświadczyła, że nie widzi sensu w tym, by wysiadywać pod drzewem i narażać się na ataki kleszczy tylko po to, żeby na niego patrzeć, zwłaszcza że on i tak nie zwraca na nią uwagi.

- Ależ Mary, ja lubię, gdy tam jesteś.
- No tak, ale ja mam tego dosyć.

Wróciła więc do swoich zwyczajów i przestała myśleć o farmie. Farma była miejscem, z którego Dick wracał, by jeść i spać.

Poddała się. Cały dzień siedziała tępo na kanapie, z zamkniętymi oczami, czując gorąco lasujące mózg. Dręczyło ją pragnienie, ale zbyt wielkim było wysiłkiem podniesienie się i nalanie szklanki wody czy choćby zawołanie służącego, żeby podał coś do picia. Stała się senna, ale wstanie z miejsca i położenie się na łóżku jawiło się jej jako czynność zbyt wyczerpująca. Spała więc tam, gdzie akurat siedziała. Kiedy szła, nogi wydawały się niezmiernie ciężkie,

zbyt ciężkie dla niej. Zbudowanie zdania wiązało się z nadludzkim wysiłkiem. Przez całe tygodnie więc nie odzywała się prawie wcale. Dicka widywała zresztą tylko przez pięć minut rano i pół godziny wieczorem, nim padł wyczerpany na łóżko.

Mijały chłodne miesiące, zbliżała się pora gorąca. Wiatr owiewał dom tumanami drobniutkiego pyłu, pokrywając nim wszystko; z ziemi unosiły się spirale kurzu i drobnych śmieci, po których pozostawały wiszące w powietrzu drobinki trawy i łusek kukurydzianych. Mary z przerażeniem myślała o nadchodzącym upale, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie tyle energii, by jakoś z nim walczyć, zupełnie jakby najmniejszy ruch mógł pozbawić ją równowagi i wtrącić w nicość. Tęskniła do całkowitej ciemności; zamknąwszy oczy, wyobrażała sobie posępne i chłodne niebo bez gwiazd zakłócających jego czern.

W tym czasie każde wydarzenie mogło otworzyć przed nią nowe życie, gdyż całą sobą czekała na jakikolwiek bodziec, który skierowałby ją w tę czy tamtą stronę. Wtedy służący znowu wymówił pracę. Tym razem nie było awantury o zbity półmisek czy źle umyty talerz, po prostu chciał wrócić do domu, a Mary była zbyt apatyczna, żeby z nim wojować. Odszedł, sprowadziwszy na swoje miejsce innego, którego tak bardzo nie mogła znieść, iż wyrzuciła go po pierwszej godzinie pracy. Przez jakiś czas obywatela się bez służby, nie próbując wszakże robić nic, co nie było naprawdę konieczne. Podłogi były niezamiecione, żywili się konserwami. Żaden kandydat na służącego się nie zgłaszał. Mary miała tak złą opinię wśród krajowców, że coraz trudniej było znaleźć kogoś na miejsce chłopaka, który odszedł.

Nie mogąc dłużej znieść brudu i byle jakiego jedzenia, Dick zapowiedział, że przyśle któregoś z robotników; niech ona przyuczy go do służby w domu. Gdy człowiek ten

stanął pod drzwiami, okazało się, że jest to ten sam, którego dwa lata wcześniej smagnęła batem po twarzy. Wyraźnie widziała bliznę na jego brodzie – cienką, ciemniejszą pręgę na czarnej skórze. Niezdecydowana stała w progu, podczas gdy on czekał na zewnątrz, ze spuszczonej oczami. Jednak myśl, że miałyby go odesłać na pole i znów czekać na następnego, wywołała w niej falę znużenia. Kazała mu wejść do środka.

Tego ranka, z powodu jakichś wewnętrznych oporów, nie próbowała go niczego uczyć i nie była w stanie z nim pracować, co zazwyczaj czyniła przy takich okazjach. Zostawiła go w kuchni, a kiedy Dick przyszedł, zapytała:

– Nie masz żadnego innego?

Nie patrząc na nią i połykając jedzenie wielkimi kęsami, jak to miał teraz w zwyczaju, powiedział:

– To najlepszy, jakiego mogłem znaleźć. Co ci się w nim nie podoba?

Zabrzmiało to wrogo.

W obawie przed jego gniewem nie przyznała się nigdy do incydentu z batem.

– Nie wydaje mi się, żeby nadawał się do tej pracy – powiedziała. Zobaczyła, że twarz mu się chmurzy, dodała więc pośpiesznie: – Ale może coś z niego będzie.

– Jest czysty i pracowity – odparł Dick. – To jeden z najlepszych moich ludzi. Czego jeszcze chcesz? – Mówił szorstko, niemal brutalnie, po czym wyszedł.

I tak służący został.

Zaczęła przyuczanie go od rutynowych objaśnień, przekazywanych jak zawsze chłodno i metodycznie, ale tym razem nieco inaczej niż zwykle, nie potrafiła traktować go bowiem jak innych. Zawsze gdzieś w głębi jej duszy czaił się strach – doznany w chwilę po tym, gdy go uderzyła – że on ją zaraz zaatakuje. W jego obecności czuła się więc nieswojo. On tymczasem zachowywał się tak samo jak poprzednicy;



nic w jego postawie nie świadczyło o tym, że pamięta tamto wydarzenie. Był milczący, wytrwale i cierpliwie słuchał licznych wyjaśnień i poleceń. Oczy miał stale spuszczone, jakby bał się na nią spojrzeć. Ale nawet jeśli zapomniał o incydencie, ona zapomnieć nie potrafiła, toteż traktowała go trochę inaczej niż poprzednich służących. Starła się być zupełnie beznamiętna, do tego stopnia, że przez jakiś czas nawet przemawiała głosem pozbawionym zwykłej irytacji.

Siedząc nieruchomo, przyglądała się jego pracy. Fascynowało ją roste ciało i szerokie ramiona. Do noszenia po domu dała mu białe szorty i białe koszule, których używali poprzedni służący. Były na niego za małe; kiedy zamiatał, szorował, czy pochylał się nad kuchnią, napęczniałe mięsły rozpychały cienki materiał rękawów, aż wydawało się, że zaraz pęknie. Przez to, że dom był mały, tubylec wydawał się jeszcze wyższy i szerszy w ramionach niż w rzeczywistości.

Był dobrym służącym, najlepszym, jakiego dotąd miała. Chodziła w ślad za nim, szukając niedociągnięć, ale rzadko udało się jej coś znaleźć. Po jakimś czasie przyzwyczała się do niego, a wspomnienie bata opadającego na jego twarz przybladło. Traktowała go teraz tak, jak odruchowo traktowała wszystkich czarnych; znów mówiła głosem ostrym i poirytowanym. On nie reagował, pokornie przyjmował często niesprawiedliwe łajania, nie podnosząc nigdy wzroku. Może sobie postanowił, że będzie się zachowywał z jak największym spokojem.

I tak to trwało; niby wszystko było jak należy, ustalił się porządek, który dawał jej swobodę; teraz mogła nic nie robić. Ale nie była już tak apatyczna jak wcześniej.

O dziesiątej rano, po podaniu jej herbaty, służący szedł z blaszanką gorącej wody za dom, pod wysokie drzewo, rosnące za wybiegiem dla kurcząt. Widziała czasem z okna, jak nagi do pasa splukuje się wodą. Nie chodziła tam wte-

dy, starając się trzymać z dala od niego. Następnie wracał przed kuchnię i nieruchomiał w słońcu, oparty o ścianę, najwyraźniej nie myśląc o niczym. Dopiero gdy przychodziła pora przygotowania lunchu, zabierał się znowu do roboty. Złościło ją, że przez kilka godzin stoi beczynnie, nieruchomy i milczący, na silnym słońcu, które najwyraźniej nie robiło na nim żadnego wrażenia. Nic na to nie mogła poradzić, choć, zamiast zapadać w swój dotychczasowy nużący letarg na pograniczu snu, wyęczała mózg, żeby wymyślić mu coś do roboty.

Pewnego ranka poszła do zagrody dla niosek, o czym ostatnio często zdarzało się jej zapominać. Kiedy już zakończyła pobieżną inspekcję gniazd i pozbierała jajka do kosza, ujrzała służącego, który akurat mył się pod drzewem. Namydlił właśnie potężny kark, a biała piana wydawała się jeszcze bielsza na tle czarnej skóry. Stał odwrócony do niej plecami. Kiedy mu się przyglądała, albo przez przypadek, albo może dlatego, że wyczuł jej obecność, odwrócił się i zobaczył ją. Zapomniała wcześniej, że to jego pora mycia.

Biały człowiek ma prawo patrzeć na krajowca, który w hierarchii stworzeń stoi w jego pojęciu niewiele wyżej niż pies. Dlatego zirytowało ją, że wyprostowany, czeka bez ruchu, aż ona sobie pójdzie; całe jego ciało wyrażało niechęć do jej obecności. Rozzłościła się, że mogło mu przyjść do głowy, iż ona przyszła tu specjalnie. Oczywiście, ta myśl była na wpół tylko uświadomiona. Mary nie dopuściłaby w pełni do siebie tego niedorzecznego przypuszczenia, że czarny mógłby być tak niewypowiedzianie zuchwały, by śmiał wyobrazać sobie coś podobnego. Jednak ta nieruchoma poza oraz wyraz jego twarzy, kiedy patrzył na nią zza oddzielających ich od siebie krzaków, budziły gniew. Przeszył ją ten sam impuls, który kiedyś kazał jej smagnąć go batem. Ostentacyjnie odwróciła się i przeszła po wy-

biegu, rzucając tu i tam garść ziarna. Potem wolno schyliła się i wyszła na zewnątrz przez niskie druciane drzwiczki. Nie spojrziała już na niego, miała jednak świadomość, że on tam wciąż stoi, ciemny nieruchomy kształt, dostrzegany kątem oka. Wracając do domu, po raz pierwszy od miesięcy poczuła się wyrwana z apatii, po raz pierwszy od miesięcy widziała ziemię, po której stąpała, czuła żar słońca na odsłoniętej szyi i ostre gorące kamyki pod podeszwami butów.

Usłyszała dziwne, pełne złości mamrotanie i uświadomiła sobie, że idąc, mówi na głos. Przycisnęła rękę do ust i pokręciła głową, jakby chciała się z tego otrząsnąć; gdy jednak Moses wrócił do kuchni i siedząc we frontowym pokoju, usłyszała jego kroki, zeszywniała. Na wspomnienie posepnego, niechętnego spojrzenia tubylca, który czekał, aż ona sobie pójdzie, poczuła się tak, jakby położyła rękę na wężu. Zareagowała nerwowo: poszła do kuchni, gdzie on, już w czystym ubraniu, chował właśnie swoje rzeczy do mycia. Wspomnienie silnego czarnego karku pokrytego śnieżnobiałą pianą i potężnych pleców zgiętych nad wiadrem kłuło ją niczym cierń. Nie przyszło jej do głowy, że ta złość i narastająca histeria właściwie o nic, o nic, co mogłaby wytłumaczyć, to, co właśnie się stało, było przełamaniem oficjalnie obowiązującego wzorca układu czarnej-biała, pani-służący poprzez wejście w osobistą relację. W Afryce, kiedy biały człowiek przypadkiem spojrzy w oczy tubylca i dostrzeże istotę ludzką (czego za wszelką cenę stara się uniknąć), jego poczucie winy, któremu stale zaprzecza, rozpala się niechęcią i wtedy bat spada. Czuła, że musi coś zrobić, i to zaraz, żeby odzyskać dawną pozycję. Wzrok jej padł na skrzynkę po świecach, stojącą pod stołem, gdzie trzymała szczotki i mydło. Poleciała:

– Wyszoruj podłogę.

Doznała szoku, słysząc własny głos, gdyż nie spodzie-

wała się, że w ogóle coś powie. Poczowała się jak ktoś, kto biorąc udział w banalnej rozmowie towarzyskiej, nagle usłyszy od rozmówcy, co ten naprawdę o nim myśli, i wyprowadza go to z równowagi, prowokując do nerwowego chichotu lub idiotycznej riposty. Straciła wewnętrzną równowagę i kontrolę nad sobą.

– Szorowałem ją dziś rano – rzekł wolno tubylec, patrząc na nią, a oczy mu błysnęły.

– Powiedziałam: wyszoruj. I to zaraz. – Głos jej uniósł się przy ostatnich słowach.

Przez chwilę patrzyli na siebie, jawnie okazując wzajemną nienawiść, potem jego oczy skierowały się w dół, a ona odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami.

Wkrótce dobiegł ją odgłos szorowania podłogi. Znowu opadła na kanapę, osłabła, jakby była chora. Dobrze знаła te swoje napady irracjonalnego gniewu, ale żaden nie był tak wyczerpujący jak ten. Trzęsa się, krew pulsowała jej w uszach, usta miała wyschnięte. Po jakimś czasie, opanowawszy się nieco, poszła do sypialni przynieść sobie wody; nie chciała spotkać się z Mosesem.

Później jednak zmusiła się, żeby wstać i pójść do kuchni. Stojąc w drzwiach, obejrzała uważnie mokrą podłogę, jakby rzeczywiście przyszła na inspekcję. On, jak zwykle, stał nieruchomo za drzwiami, patrząc na zwał kamieni, z którego wyrastał wilczomlec wyciągający szarozielone mięsiste ramiona ku jaskrawobłękitnemu niebu. Demonstracyjnie zajrzała za wszystkie szafki i oświadczyła:

– Czas nakrywać do stołu.

Przyszedł do pokoju i powoli zaczął wyjmować naczynia i obrus; wielkie czarne ręce dość niezgrabnie poruszały się wśród drobnych przedmiotów. Irytował ją każdy jego ruch. Siedziała spięta i wzburzona, zaciskając dłonie w pięści. Po jego wyjściu rozluźniła się nieco, jakby zdjęto z niej ciężar. Stół został nakryty. Podeszła bliżej, żeby sprawdzić;

wszystko było na swoim miejscu. Wzięła jedną szklanę i zaniósła do kuchni.

– Spójrz na tę szklanę, Moses – poleciła.

Podszedł i niby posłuchał, jednak udał tylko, że patrzy, bo prawie natychmiast wziął szklanę od niej. Z jednej strony pozostały białe ślady od ścierki. Nappełnił zlew wodą, dodał mydlin, jak go uczyła, i umył szklanę, podczas gdy ona cały czas go obserwowwała. Wytarł starannie, a ona, wzięwszy ją od niego, wróciła do pokoju.

Znów wyobraziła sobie, jak on, milcząc, stoi w słońcu i bez celu patrzy przed siebie. Miała ochotę krzyczeć albo cisnąć szklanką przez pokój i rozbić ją o ścianę. Jednak nie było nic, absolutnie nic, co mogłaby dać mu do roboty. Cicho obeszła dom; wszystko, choć zniszczone i biedne, było czyste i na swoim miejscu. Łóżko, wielkie małżeńskie łoże, którego nienawidziła, było idealnie gładko posłane, rogi kapy odwinęte jak na zdjęciach w nowoczesnych katalogach. Widok ten był niemiłym zgrzytem; przypominał o znieawidzonych nocnych kontaktach ze zmęczonym, muskularnym ciałem Dicka, do których nigdy nie mogła przywyknąć. Odwróciła się, zaciskając dłonie, i wtedy zobaczyła się w lustrze. Błada, rozczochrana, z ustami gniewnie zaciśniętymi i rozgorączkowanymi, twarz nabrzmiała i pokryta czerwonymi plamami; ledwo rozpoznała samą siebie. Patrzyła z przerażeniem i politowaniem; nagle rozpłakała się, łkając histerycznie. Starła się stłumić szloch ze względu na to, że służący mógł ją usłyszeć z kuchni. Jakiś czas jednak płakała, potem spojrzała na zegarek. Dick zaraz będzie w domu. Przeraziła się, że zobaczy ją w tym stanie, i rozedrgane mięśnie twarzy natychmiast znieruchomiały. Obmyła policzki, uczesała się, przypudrowała ciemną, pomarszczoną skórę przy oczach.

Lunch upłynął w milczeniu, tak jak ostatnio wszystkie ich posiłki. Widząc jej zaczerwienioną, zmęczoną twarz

i spuchnięte oczy, domyślił się wszystkiego. Zawsze po kłótni ze służbą płakała. Miał już tego naprawdę serdecznie dość, a ponadto doznał rozczarowania; ponieważ dawno nie było awantur, po cichu liczył na to, że może Mary wreszcie się opanowała. Nic nie jadła, głowę miała zwieszoną. Usługujący do stołu tubylec poruszał się jak automat, ciało podawało jedzenie, duch jednak był nieobecny. Dick pomyślał, że niezły jest ten nowy służący, a wtedy widok opuchniętej twarzy Mary ukłuł go jak cierń. Kiedy Moses wyszedł z pokoju, odezwał się:

– Mary, on ma zostać. Najlepszy z tych, którzy byli do tej pory.

Nie podniosła wzroku, tylko siedziała nieruchomo, jakby ogłuchła.

Dick zauważył, że jej chuda, spalona słońcem dłoń drży. Po chwili milczenia rzekł znowu nieprzyjemnym, pełnym wrogości głosem:

– Nie zniosę kolejnej zmiany służącego. Mam tego dosyć. Uprzedzam cię.

Znowu nie odpowiedziała. Osłabiona złością i płaczem, bała się, że jeśli otworzy usta, rozsłocha się na nowo. Zdziwił się, gdyż na ogół w tym momencie wytaczała oskarżenie o kradzież albo o nieodpowiednie zachowanie; gotów był podjąć walkę. Tymczasem ona milczała, co było całkowicie sprzeczne z jej zwykłą reakcją. Musiał jednak usłyszeć odpowiedź.

– Mary – odezwał się władczo, jak przełożony do podwładnego. – Czy słyszałaś, co powiedziałem?

– Tak – odparła w końcu posepnie i z trudem.

Po wyjściu męża od razu udała się do sypialni, nie chcąc widzieć służącego, który przyjdzie sprzątać ze stołu, i prześpała cztery godziny z czasu nieznośnego do wytrzymania.

## Rozdział 9

I tak mijały gorące, zamglone sierpniowe i wrześnieowe dni, z wiejącymi leniwie od strony wianuszka granitowych wzgórz wiatrami, unoszącymi tumany kurzu. Mary poruszała się jak pogrążona we śnie; godzinami robiła to, co kiedyś zajmowało jej kilka minut. Bez kapelusza, senna i otepiała od palących promieni słońca, lejących się na plecy i ramiona, czasami miała wrażenie, że jest przez słońce posiniaczona na całym ciele, które zmieniało się w obolałą, spuchniętą osłonę dla równie bolących kości. Gdy długo stała, robiło się jej słabo i posyłała służącego po kapelusz. Potem z ulgą – jak po długiej i ciężkiej pracy fizycznej, a nie bezcelowym chodzeniu wśród kur, w ogóle ich nie widząc – zasiadała w fotelu i zastygała w bezruchu, nie myśląc o niczym. Przez cały czas jednak dręczyła ją świadomość, że ten mężczyzna jest z nią sam na sam w domu. W jego obecności była opanowana, trzymała się pod kontrolą, ciągle wynajdywała dla niego jakieś zajęcia, bezlitośnie wytykała każdy pyłek, każde naczynie odstawione nie na właściwe miejsce, wszystko, co tylko zauważyła. Myśl o gniewie Dicka, który twardo zapowiedział, że nie życzy już sobie zmian służących – czemu nie miała siły się przeciwstawić – wywoływała tak silne napięcie, jakby była mocną nicią roz-

ciągniętą między dwoma niedającymi się poruszyć ciężarami. Właśnie tak się teraz czuła, jakby groził jej atak ze strony dwóch walczących ze sobą sił. Co to są jednak za siły i jak mogłaby je powstrzymać, nie umiała powiedzieć. Moses zachowywał się wobec niej spokojnie i obojętnie, jakby w ogóle nie istniała, tyle że słuchał poleceń. Dick, dawniej dobroduszny i niewymagający, teraz stale narzekał, że ona nie dba o dom, histerycznie łaje służącego za to, że krzesło stoi dwa cale dalej, niż trzeba, a nie widzi pajęczyn na ścianach.

Wszystko to jednak przepływało gdzieś obok, chyba że została zmuszona do skupienia uwagi. Pole jej zainteresowań zawężyło się do samego domu. Nagle zaczęły padać kurczaki; najpierw próbowała tłumaczyć to jakąś chorobą, potem zorientowała się, że przez tydzień zapomniała je karmić. A przecież codziennie chodziła z ziarnem do kurnika. Padłe sztuki zostały ugotowane i zjedzone. Przerażona swoim stanem, przez jakiś czas próbowała zdobyć się na wysiłek myślenia o tym, co robi. Jednak wkrótce zdarzyła się rzecz podobna, okazało się, że koryta do pojenia są puste. Kury leżały na spieczonej ziemi w przedśmiertnych drgawkach, zdychając z braku wody. To przelało czarę goryczy. Przez kilka tygodni jedli kurczęta, aż pojemne kojce opustoszały. Nie było więc i jajek. Nie zamawiała ich w sklepie, bo drogie. Przez cały niemal czas w głowie miała miękka jak wata, bolesną pustkę. Zaczynała zdanie i zapomniała je dokończyć. Dick przywykł do tego, że żona mówi trzy słowa, po czym jej twarz staje się pusta, obca, i zapada cisza. Kompletnie wylatywało jej z głowy, co zamierzała powiedzieć. Gdy łagodnie zachęcał ją do kontynuowania wypowiedzi, spoglądała na niego niewidzącym wzrokiem i milczała. Tak go to martwiło, że nie miał serca robić jej wyrzutów z powodu kur, z których dotąd mieli nieduży wprawdzie, ale zawsze jakiś dochód.



Gdy chodziło o krajowca, zachowywała natomiast pełną czujność. I tylko ta jedna zajęta nim niewielka część jej umysłu była w stałym pogotowiu. W głowie Mary ćwiczyła różne sceny, które pragnęła odegrać, ale nie odważała się na to ze strachu, że służący odejdzie, a Dick się wścieknie. Raz wyrwał ją z odrętwienia jakiś dźwięk i uświadomiła sobie, że to ona sama, siedząc w bawialni, gniewnie mówi coś na głos. W jej fantazji służący zapomniawszy rano sprzątnąć w sypialni, więc krzyczała na niego, wymyślając okrutne, boleśnie raniące zdania w swoim języku, których by pewnie nie zrozumiał. Dźwięk własnego, urywanego, obłąkanego głosu był równie przerażający jak odbicie w lustrze. Gwałtownie wróciła do rzeczywistości, nie na żarty przestraszona tą wizją samej siebie, wtulonej w kąt kanapy, gadającej jak jakaś wariatka.

Wstała i podeszła do drzwi łączących bawialnię z kuchnią, chcąc sprawdzić, czy służący jest w pobliżu i czy mógł ją słyszeć. Stał na zewnątrz, tam gdzie zawsze, oparty o ścianę; widziała jedynie silne ramiona naprężone pod cienkim materiałem i opuszczoną luźno rękę z widocznym różowobrazowym wnętrzem dłoni. Nie poruszał się. Wmawiała w siebie, że nie mógł słyszeć jej słów, odsuwając myśl, iż przecież obie pary dzielących ich drzwi otwarte są na oścież. Cały dzień unikała go, tylko chodziła niespokojnie po pokojach, jakby zapomniawszy, że zwykle siedzi bez ruchu. Popołudnie przepłakała, leżąc na łóżku; łkała szmatycznie i beznadziejnie. Kiedy Dick przyszedł do domu, była bardzo wyczerpana. Tym razem nic nie zauważył; sam wykończony, chciał tylko spać.

Następnego dnia, kiedy wydawała zapasy z kuchennego kredensu (starła się pamiętać, aby go zamykać, lecz coraz częściej zostawał otwarty, a ona nawet tego nie zauważała, więc rytuał wydzielania produktów zupełnie stracił sens), Moses, czekający obok z tacą, oświadczył nagle, że

chce odejść z końcem miesiąca. Mówił cicho i powiedział to wprost, ale z lekkim wahaniem, jakby spodziewał się oporu z jej strony i wiedział, że czeka go walka. Mary dobrze znała tę swoją złość, gdy służący wymawiali pracę. Odczuwała to zawsze jak rodzaj zniewagi, mimo iż z drugiej strony doznawała też ulgi, gdyż było to jedyne rozwiązanie narodziłego konfliktu. Nie obywało się przy tym nigdy bez dłuższej dyskusji i wyrzutów z jej strony. Teraz też otworzyła usta, żeby wyrazić sprzeciw, ale nic nie powiedziała; jej ręka otwierająca drzwiczki kredensu opadła bezwładnie. Mary pomyślała o nieuchronnym gniewie Dicka; nie miała siły się z nim zmierzyć. Po prostu nie zniesie tego. Tym razem przecież to nie jej wina. Czyż nie zrobiła wszystkiego, co w jej mocy, żeby zatrzymać tego zniechęconego tu-bylca, którego tak się bała? Ku swemu przerażeniu, stwierdziła, że znowu wstrząsa nią łkanie, i to przy czarnym! Bezradna i słaba, stała odwrócona do niego plecami i szlochała. Przez jakiś czas żadne z nich się nie poruszyło; potem on zbliżył się i stanął tak, by widzieć jej twarz. Patrzył ciekawie, ściągając brwi, zdziwiony i niepewny. Wreszcie, na pół przytomna z paniki, odezwała się:

– Nie możesz odejść! – Płacząc, powtarzała w kółko: – Musisz zostać! Musisz zostać!

Przepętniał ją przy tym wstyd i upokorzenie, że służący widzi ją płaczącą.

Po chwili zobaczyła, że on podchodzi do półki, gdzie stała woda, i napełnia szklanę. Ponieważ ona sama straciła nad sobą kontrolę, pewność jego ruchów drażniła ją. Nawet nie podniosła ręki, gdy podał jej szklanę; potraktowała to jak impertynencję, którą postanowiła zignorować. Jednak choć bardzo starała się zachować godnie, znowu wyszlochała: „Nie możesz odejść!”, a w głosie jej zabrzmiała prośba. Moses zbliżył szklanę do jej ust, więc musiała ją od niego wziąć i zapłakana wypła łyk. Spojrzała błagalnie

i wtedy odżył w niej strach, gdyż wyraźnie ujrzała w jego oczach, że cieszy się z jej słabości.

– Proszę wypić – powiedział po prostu, jakby mówił do którejś ze swoich kobiet.

Wypiła, a wtedy delikatnie wziął od niej szklanekę, postawił na stole i widząc, że Mary stoi oszołomiona, nie wiedząc, co robić, rzekł:

– Madame się położy.

Nie poruszyła się. Niechętnie wyciągnął rękę, czując odrazę przed dotknięciem nietykalnej białej kobiety, i spokojnie zaprowadził ją do sypialni. Był to koszmar, w którym człowiek jest bezsilny wobec własnego strachu. Dotknięcie czarnego mężczyzny przyprawiało Mary o mdłości; nigdy, przenigdy, ani razu w całym swoim życiu nie dotknęła tu-bylca. Doszli do łóżka, a ona przez cały czas miała świadomość tego delikatnego dotyku na ramieniu; jej głowa jakby odpływała, nogi stały się zupełnie miękkie.

– Madame się położy – powtórzył, tym razem łagodnie, niemal po ojcowsku.

Usiadła na łóżku, a on ostrożnie ujął ją za ramiona i ułożył. Potem zdjął z haka na drzwiach płaszcz i przykrył jej nogi. Wszedł, a wtedy przerażenie Mary ustąpiło; leżała apatycznie w ciszy, nie będąc w stanie myśleć o tym, co właśnie się stało.

Po chwili zasnęła i obudziła się dopiero późnym popołudniem. Niebo widoczne za prostokątem okna zasnuwane było burzowymi chmurami i oświetlone pomarańczowym blaskiem zachodzącego słońca. W pierwszej chwili nie pamiętała o porannym incydencie; kiedy sobie przypomniała, znowu ogarnął ją przerażający, ponury strach. Myślała o sobie płaczącej bezradnie i niepowstrzymanie; o tym, jak piła wodę na polecenie czarnego mężczyzny; o tym, jak ją prowadził przez cały dom do łóżka; o tym, jak położył ją i okrył stopy płaszczem. Wtuliła się w poduszkę, jęcząc

głośno ze wstrętu, jakby dotknęła ekskrementu. A wśród tej udręki wciąż dźwięczał jej w uszach jego głos, stanowczy, a jednocześnie łagodny, ojcowski.

Po jakimś czasie w pokoju zrobiło się ciemno i tylko ściany jaśniały, odbijając światło wciąż jeszcze lśniące na czubkach drzew, choć niższe konary pogrążyły się już w mroku. Wstała i zapaliła lampę, która najpierw rozbłysła, a potem przygasła, płonąc jednostajnym, nikłym płomieniem. Pokój stał się jaskinią wypełnioną bursztynowym światłem i cieniami, wydrążoną w skale nocy. Przypudrowała twarz i długo siedziała przed lustrem, nie czując się na siłach, aby wstać. Nie myślała o niczym, tylko się bała, choć nie wiedziała czego właściwie. Czuła, że nie powinna wychodzić z pokoju, dopóki nie wróci Dick i nie wesprze jej swoją obecnością. Kiedy wreszcie przyszedł, przyglądając się jej z niepokojem, powiedział, że nie budził jej na lunch i ma nadzieję, że nie jest chora. „Och, nie – odparła. – Tylko zmęczona. Czuję się...”. Głos jej zamarł, spojrzenie stało się nieobecne. Siedzieli w kręgu mdłego światła wiszącej lampy, służący bezszelestnie krążył wokół stołu. Długi czas wzrok miała spuszczone, choć wraz z jego wejściem wróciła jej czujność. Gdy zdecydowała się wreszcie na podniesienie głowy i szybkie spojrzenie na jego twarz, uspokoiła się, gdyż w jego zachowaniu nie pojawiło się nic nowego. Jak zwykle, poruszał się tak, jakby duchem przebywał gdzie indziej, jak bezduszna maszyna.

Następnego ranka zmusiła się, żeby pójść do kuchni i rozmawiać z nim jak zwykle. Lękliwie czekała, że on znowu wspomni o odejściu. Ale nic takiego nie nastąpiło. Trwało tydzień, zanim dotarło do niej, że on wcale nie odchodzi; uległ jej łzom i prośbom. Nie mogła znieść myśli, że wygrała z nim takimi metodami; ponieważ nie chciała o tym pamiętać, pomалу stawała się znowu taka jak dawniej. Uwolniwszy się od strachu przed gniewem Dicka, nie

wracała więcej myślą do swego kompromitującego załamania i wkrótce znów zaczęła zrzedzić i krytykować pracę służącego tym samym co dawniej, zimnym, zjadliwym tonem. Aż któregoś dnia w kuchni spojrzął jej prosto w twarz i rzekł z pasją, a jednocześnie z wyrzutem:

– Madame prosiła, żebym został. Zostaję, żeby madame pomóc. Jak madame będzie zła, odejdę.

Ten stanowczy ton obezwładnił ją; poczuła się bezradna. Zwłaszcza że przypomniał jej, jak to się stało, że się tu znalazł. Na domiar złego dobitna wypowiedź wyraźnie świadczyła o tym, że jego zdaniem Mary jest niesprawiedliwa. Niesprawiedliwa! W jej własnym odczuciu wcale tak nie było.

Przerwał pracę i stał obok kuchni, czekając na reakcję, a ona nie wiedziała, co powiedzieć. Pochwili podszedł do stołu po ścierkę, przez którą miał zamiar ująć rozgrzaną żelazną rączkę od piecyka. Nie patrząc w stronę Mary, odezwał się:

– Pracuję dobrze, tak? – Mówił po angielsku, co z zasady tępiła, uważając na impertynencję.

Odpowiedziała jednak po angielsku:

– Tak.

– To dlaczego madame zawsze zła?

Mówił swobodnie, niemal poufale, dobrotliwie, jakby uspokajał dziecko. Odwrócony do niej plecami, otworzył piecyk i wyjął blachę z chrupiącymi, lekkimi bułeczkami, które były o niebo lepsze od tych, jakie piekła ona. Wykładał je kolejno do wystudzenia na drucianą siatkę. Czując, że powinna natychmiast wyjść, ale nie drgnęła. Stojąc w miejscu, patrzyła bezradnie na duże dłonie przerzucające bułeczki. Milczała. Wzbierał w niej ten sam co zwykle gniew za ton, którym się do niej odezwał, a jednocześnie była zafascynowana i nie bardzo to rozumiała; nie miała pojęcia, co robić z tą relacją, która nagle stała się osobista.

Po jakimś czasie, gdy on, nie patrząc na nią, cicho krzątał się przy pracy, wyszła, nie odpowiedziawszy na pytanie.

Kiedy pod koniec października, po sześciu tygodniach morderczego upału, zaczęły się deszcze, ze względu na nawał prac Dick – jak zwykle o tej porze roku – nie przyjeżdżał do domu w południe. Wyruszał rano koło szóstej i wracał o szóstej wieczorem, więc tylko jeden posiłek trzeba było gotować: śniadanie i lunch zanoszono mu na pole. Podobnie jak działo się w ubiegłych latach, Mary uprzedziła służącego, żeby nie przygotowywał lunchu. Sobie kazała podać tylko herbatę; nie miała ochoty na jedzenie. Pierwszego dnia przedłużonej nieobecności Dicka zamiast samej herbaty Moses przyniósł jajka, szynkę i grzanki. Ustawił wszystko na małym stoliku obok kanapy.

– Powiedziałam, że chcę tylko herbatę – rzekła ostro.

Odparł cicho:

– Madame nie jadła śniadania, madame musi jeść.

Na tacy stał nawet bezuchy kubek z kwiatami: niezdarnie wciśnięte pospolite żółte, różowe i czerwone kwiaty z buszu tworzyły barwną plamę na tle starej, poplamionej serwetki.

Mary siedziała ze spuszczonej oczami; on postawił tacę i wyprostował się. W największy niepokój wprowadziło ją staranie, żeby jej sprawić przyjemność – te kwiaty. Czekał na aprobatę i zadowolenie z jej strony. Tego mu dać nie mogła; jednak ostre wymówki cisnące się na usta pozostały niewypowiedziane. Bez słowa przysunęła do siebie tacę i zaczęła jeść.

Nawiązała się między nimi nowa relacja, w której Mary czuła się bezradna i podporządkowana. A przecież tak nie powinno być. Przez cały czas nie opuszczała jej świadomość obecności Mosesa w domu; zawsze wiedziała, kiedy stoi w słońcu oparty o mur, i czuła wtedy irracjonalny strach, głęboki niepokój, a nawet – nieświadomie, gdyż

prędzej umarłaby, niż się do tego przyznała – pewne mroczne zafascynowanie. Zupełnie jakby płacząc wtedy przy nim, zrzekła się swojej władzy, a on teraz nie chciał jej tej władzy oddać. Kilka razy zdarzyło się jej skarcić go ostro, patrzył wtedy na nią przeciągle, ale nie potulnie, raczej wyzywająco. Tylko raz, kiedy naprawdę zapomniał coś zrobić i nie miał racji, wrócił do dawnej postawy uległości i posłuszeństwa. Pokornie przyjął wymówkę, bo była to istotnie jego wina. Zaczęła go teraz unikać. Kiedyś chodziła za nim krok w krok, sprawdzała wszystko, co robił, teraz zaś rzadko zaglądała do kuchni; zostawiła cały dom na jego głowie. Nawet klucze leżały na półce w spiżarni, skąd mógł je brać i otwierać kredens, gdy czegoś potrzebował. Niepewna i zagubiona, nie rozumiała, co się z nią dzieje, i nie potrafiła nic z tym zrobić.

Dwukrotnie zadał jej pytanie tym nowym, poufałym, przyjacielskim tonem.

Raz sprawa dotyczyła wojny.

– Czy madame uważała, że szybko się skończy?

Zaskoczył ją. Żyła z dala od wszystkiego, nie czytała nawet tygodników, więc dla niej wojna była czymś bardzo odległym, dziejącym się w innym świecie. Jakiś czas przedtem zauważyła natomiast, jak Moses mozolnie czytał starą gazetę rozłożoną jako osłona kuchennego stołu. Odparła sztywno, że nie wie. Kilka dni później, jakby w tym czasie przemyślał to sobie, znowu zapytał:

– Czy Jezus uważał za słuszne, że ludzie się zabijają?

Tym razem nie spodobało się jej to, co odebrała jako krytykę, i odpowiedziała chłodno, że Jezus jest po stronie dobrych ludzi. Ale cały dzień czuła w sobie dawną niechęć do służącego i wieczorem spytała Dicka:

– Skąd Moses pochodzi?

– Z misji – odparł. – Jedyiny przyzwoity, jaki mi się dotąd trafił.

Jak większość mieszkańców Południowej Afryki, Dick nie lubił tubylców wychowanych przez misjonarzy, ponieważ „za dużo wiedzieli”. A już na pewno nie powinno się ich uczyć czytać i pisać; wystarczy, jak się dowiedzą o godności pracy i swej przydatności dla białego człowieka.

– Czemu cię to interesuje? – spytał podejrzliwie. – Nie jakieś nowe kłopoty, mam nadzieję.

– Nie.

– Czy był zuchwały?

– Nie.

Ale wychowanie w misji wiele tłumaczyło; między innymi to irytująco grzeczne zwracanie się do niej per „madame”, zamiast „pani”, co byłoby bardziej stosowne.

Ta „madame” denerwowała ją. Chciała zwrócić mu uwagę, żeby tak nie mówił. Jednak nie było w tym nic lekceważącego; tak go nauczył jakiś misjonarz, wyraźnie mający niemądre pomysły. W zachowaniu Mosesa wobec niej nie było nic, do czego mogłaby się przyczepić. Ale choć nie dałoby mu się zarzucić braku szacunku, zmuszał ją, żeby traktowała go jak istotę ludzką; po prostu nie mogła wypchnąć go ze świadomości jako czegoś gorszego, co nie sprawiało jej trudności przy jego poprzednikach. Była zmuszona do nawiązywania z nim kontaktu i ani na chwilę nie przestawała odczuwać jego obecności. Zdawała sobie sprawę, że jest w tym coś niebezpiecznego, ale nie potrafiła określić co.

W nocy miewała okropne, przerażające koszmary. Sen, dawniej będący jak nagłe zapadnięcie czarnej kurtyny, teraz stał się bardziej realny niż jawa. Dwa razy służący przyśnił się jej wprost i za każdym razem budziła się z przerażeniem, kiedy jej dotknął. W obu wypadkach stał nad nią, silny i imponujący, choć życzliwy, i wymuszał na niej takie zachowanie, żeby musiała go dotknąć. W innych snach nie pojawiał się bezpośrednio, ale tak były zagmatwane i prze-



rażające, że budziła się zrana potem ze strachu i starała się jak najszybciej o nich zapomnieć. Doszło do tego, że bała się zasnąć. Spięta i zdenerwowana leżała w ciemności obok odprężonego, śpiącego Dicka, zmuszając się do trwania na jawie.

W ciągu dnia często ukradkiem przyglądała się Mosesowi, ale nie jak pani obserwująca pracę służącego, tylko z lękliwą ciekawością, wspominając tamte sny. On z kolei troskliwie się nią zajmował, pilnował, żeby jadła, szykował jej posiłki również wówczas, gdy nie dostał takiego polecenia, przynosił drobne prezenty, a to kilka jajek od kur z murzyńskiej osady, a to bukiet kwiatów z buszu.

Kiedyś, gdy było już dawno po zachodzie słońca, a Dick nie wracał, powiedziała:

– Trzymaj kolację w cieple. Pójdę zobaczyć, co zatrzymało pana.

Poszła do sypialni po płaszcz, a wtedy Moses zapukał i powiedział, że to on pójdzie sprawdzić; madame po ciemku nie powinna chodzić sama w buszu.

– Dobrze – zgodziła się bezwolnie i zdjęła płaszcz.

Z Dickiem nic złego się nie działo. Został dłużej w polu, bo wół złamał nogę. A kiedy tydzień później znowu długo go nie było, choć niepokoiła się, nie wykazała żadnej inicjatywy, żeby dowiedzieć się, co się stało, w obawie, że służący znowu zachowa się wobec niej opiekuńczo. Doszło do tego, że przede wszystkim pilnowała się, by jej postępowanie nie dawało Mosesowi okazji do zacieśniania tej nowej, ludzkiej relacji między nimi, gdyż nie potrafiłaby się temu przeciwstawić; mogła jedynie tego unikać.

W lutym Dick znowu zachorował na malarię. Był to również krótkotrwały nagły atak o dość ciężkim przebiegu. Równie niechętnie jak przedtem Mary wysłała przez posłańca list do pani Slatter, prosząc o sprowadzenie doktora. Przyjechał ten sam lekarz. Zmarszczył brwi, patrząc na za-

niedbane domostwo, i spytał Mary, dlaczego nie zastosowała się do jego wskazówek. Nie odpowiedziała.

– Czemu pani nie kazała wyciąć krzaków dokoła domu? Przecież moskity tu się lęgą.

– Mąż nie mógł mi dać robotników.

– Ale chorować to może, co?

Doktor ostro ją pouczał, ale bez większych nadziei; po latach spędzonych w rolniczym dystrykcie wiedział, kiedy czeka go zawodowa porażka. Pieniędzy i tak się nie spodziewał, bardziej chodziło mu o dobro pacjentów. A ci ludzie byli beznadziejni. Wyraźnie mówiły o tym choćby zasłony w oknach, spłowiałe na brudnoszary kolor, podarte i niezszyte. Wszędzie widać było upadek na własne życzenie. Szkoda czasu tu przyjeżdżać! Ale z obowiązku obejrzał trzęsącego się, rozpalonego Dicka i przepisał leki. Orzekł, że Dick jest wycieńczony, że to strzęp człowieka, i łatwo może zapaść na każdą chorobę. Mówił jak najpoważniejszym tonem, chcąc zmusić Mary do podjęcia jakichś działań. Ale pozostała apatyczna: „Jaki to ma sens?”. W końcu odjechał z Charliem Slatterem, który przyglądał się wszystkim krytycznym okiem, myśląc, że kiedy już przejmie farmę, siatkę z kurników weźmie do siebie, a i falista blacha z domu i zabudowań może się kiedyś przydać.

Przez pierwsze dwie noce Mary siedziała przy mężu na twardym krześle, żeby nie zasnąć, i co chwilę okrywała jego niespokojne ciało. Dick nie przeżywał choroby aż tak bardzo jak poprzednio; teraz nie bał się, znając już jej przebieg.

Tym razem Mary nawet nie starała się pilnować pracy na farmie; jedynie dwa razy dziennie, żeby go uspokoić, objeżdżała pola z oficjalną i całkowicie niepotrzebną inspekcją. Krajowcy obijali się bez celu po osadzie. Wiedziała o tym, ale jej to nie obchodziło. Ledwo raczyła rzucić okiem na pola; farma stała się czymś, co jej nie dotyczyło.

W ciągu dnia, po przygotowaniu zapasu zimnego picia,

jedynej rzeczy, jaką Dick był w stanie przełknąć, siedziała beczynnie przy jego łóżku, pogrążona w zwykłej apatii. Myśli jej krążyły chaotycznie wokół scen z przeszłości, pojawiających się we wspomnieniach. Tym razem jednak bez nostalgii i bez pragnień. Straciła poczucie czasu. Nastawiała budzik, żeby pamiętać o regularnym podawaniu Dickowi płynów. Moses przynosił jej posiłki o zwykłych porach, ale jadła mechanicznie, nie zauważając co, nie zauważając nawet, że czasem po przełknięciu paru kęsów odkładała widelec i nóż i zapominała skończyć. Trzeciego ranka, gdy ubijała z mlekiem jajko, które jej przyniósł w prezencie z osady, spytał:

– Czy madame spała w nocy?

Mówił z tą swoją rozbrajającą bezpośredniością; nigdy nie wiedziała, jak reagować.

– Muszę czuwać przy panu.

– Czy madame czuwała tej nocy?

– Tak – odparła i szybko wyszła z napojem do sypialni.

Dick leżał nieruchomo, półprzytomny od gorączki, pogrążony w niespokojnym śnie. Temperaturę nadal miał wysoką. Ciężko przechodził ten atak. Pot lał się z niego strumieniami, skóra była szorstka i rozpalona. Każdego popołudnia słupek rtęci w szklanej rurce ostro szedł w górę, tak że chwilę tylko wystarczało potrzymać termometr w ustach; za każdym razem był coraz wyższy, osiągając o szóstej sto pięć stopni\*. Taki stan utrzymywał się do północy, a Dick wciąż rzucał się, mamrotał coś i jęczał. Nad ranem temperatura spadała gwałtownie poniżej normy, a wtedy skarżył się na zimno i żądał więcej koców, nawet gdy leżał już przykryty wszystkim, co było w domu. Nagrzewała wtedy cegły w piecyku i owinięte w płótno kładła mu przy stopach.

---

\* Ponad 40 stopni Celsjusza.

Wieczorem Moses podszedł do sypialni i zapukał w ścianę, jak zawsze to robił. Wystawiła głowę przez rozsunięte jutowe zasłony.

– Tak? – spytała.

– Madame niech śpi w tym pokoju. Ja będę z panem.

– Nie – powiedziała, drżąc ze strachu na myśl o długiej nocy spędzonej na intymnym czuwaniu razem z krajowcem. – Nie, idź do siebie. Ja zostanę z panem.

Zbliżył się nieco; stał tak blisko, że aż się cofnęła. W ręku miał złożony worek od kukurydzy, zapewne przygotowane na noc posłanie.

– Madame musi spać – oznajmił. – Madame zmęczona, tak?

Skórę wokół oczu miała napiętą z nerwów i niewyspania, ale uparcie odmawiała:

– Nie, Moses. Muszę tu zostać.

Podszedł do ściany, rozłożył worek przy szafie. Podniósł się i rzekł głosem urażonym, pełnym wyrzutu:

– Madame myśli, ja nie zajmę się panem, tak? Ja też czasem jestem chory. Przykrywać pana kocem, tak?

Podszedł do łóżka, ale nie za blisko, i spojrzał na rozpaloną twarz Dicka.

– Dam pić, jak się obudzi, tak?

Na wpół dobrotliwy teraz, na wpół urażony głos rozbroił ją. Spojrzała na twarz Mosesa, unikając jednak oczu, po czym szybko odwróciła wzrok. Niedobrze tak pokazywać, że boi się patrzeć na niego; wzrok jej padł na dużą dłoń o jasnym wnętrzu, zwisającą luźno wzdłuż ciała.

Znów powtórzył uparcie:

– Madame myśli, ja nie zajmę się panem dobrze?

Zawahała się i odpowiedziała nerwowo:

– Nie, ale muszę zostać.

Jakby to wahanie wystarczyło mu za odpowiedź, pochylił się i poprawił koce okrywające chorego.

– Jak pan źle się poczuje, zawołam madame.

Stał przy oknie, zasłaniając sobą prostokąt usianego gwiazdami i pociętego konarami drzew nieba, i czekał, żeby wyszła.

– Madame też będzie chora, jak madame nie będzie spać – dodał.

Wzięła płaszcz z szafy. Przed wyjściem, zaznaczając swoją władzę, rzekła jeszcze:

– Zawołaj mnie, jak się obudzi.

Instynktownie udała się do swego schronienia, na kanapę w sąsiednim pokoju, gdzie spędziła tyle bezsennych godzin, bezradnie wtulona w ką. Myśl, że czarny mężczyzna przez całą noc będzie się znajdował w pokoju obok, tak blisko, oddzielony jedynie cienką ścianką, była wprost nieznośna.

Przesunęła poduszkę na koniec kanapy i położyła się, przykrywając stopy płaszczem. Noc była duszna, powietrze w pokoju stało niemal nieruchomo. Migoczący nieprzytulnie mdły płomyk w wiszącej lampie słał słabe promyki, wydobywając z mroku połacie falistej blachy i belkę dachu. W pokoju widać było tylko mały żółty okrąg stołu stojącego pod lampą. Wszystko inne pogrążone było w mroku, majaczyły jedynie niewyraźne, wydłużone kształty. Lekko przekręciła głowę, żeby widzieć zasłony w oknie; wisiały nieruchomo. Gdy uważnie nasłuchiwała, ciche nocne odgłosy buszu stały się nagle tak głośne jak walenie jej własnego serca. Na pobliskim drzewie zakrzyczał jakiś ptak, gdzieś zabrzczał owad. Słyszała ruchy gałęzi, jakby coś ciężkiego się przez nie przedzierało; z lękiem myślała o karłowatych drzewach rosnących dokoła. Nigdy nie przyzwyczała się do buszu, nie czuła się w nim dobrze. Nadal, nawet po tak długim czasie, czuła niepokój, kiedy uświadamiała sobie całkowitą obcość otaczającego ją *veldu*, pełnego dziwnych zwierząt i krzyku nieznanymi ptaków.

Często budząc się w nocy, myślała o małym ceglany domku jak o kruchej skorupce, którą nieprzyjazny busz może skruszyć. Myślała też, że gdyby stąd wyjechali, wystarczyłby jeden mokry sezon, kiedy wszystko gnije i fermentuje, żeby pochłonać polanę; młode drzewa przebiłyby podłogę, rozpychając cement i cegły, i po kilku miesiącach nie zostałoby nic poza kupą gruzu dokoła pni.

Leżała na kanapie, każdy nerw miała napięty i czujny; myśli drżały niespokojnie jak małe zwierzątko zwrócone w stronę prześladujących je myśliwych. Wszystko bolało ją z tego napięcia. Słuchała dobiegających z zewnątrz odgłosów nocy, bicia własnego serca i dźwięków dochodzących z sąsiedniego pokoju. Najpierw suche szuranie stwardniałych stóp na macie, brzęk szkła, cichy pomruk chorego. Potem kroki się zbliżyły i rozległ się szelest, kiedy tubylec położył się na worku obok szafy. Był tuż za cienką ścianą, tak blisko, że gdyby tej ściany nie było, jego plecy znalazłyby się zaledwie sześć cali od jej twarzy! Przed oczami ujrzała szerokie, muskularne plecy i zadrżała. Tak żywa była ta wizja, że wyobraziła sobie też cierpki zapach czarnego ciała. Czują go wyraźnie w ciemności. Odwróciła głowę i ukryła twarz w poduszce.

Przez długi czas nie słyszała nic poza cichym regularnym oddechem. Zastanawiała się, czy to oddech Dicka. Ale Dick akurat znowu coś zamruczał i kiedy służący wstał, żeby poprawić koce, nie było już słychać oddechu. Po chwili Moses wrócił i znowu usłyszała ocieranie się pleców o ścianę, potem regularny oddech; a więc to on! Kilka razy słyszała, jak Dick kręci się i woła coś grubym, nieswoim głosem, biorącym się z maligny, i za każdym razem krajo-wiec podnosił się z postania i podchodził do łóżka. Gdy wracał na miejsce, nasłuchiwała uważnie. Kiedy przewracała się niespokojnie na kanapie, dźwięk ów zdawał się dochodzić z różnych miejsc; najpierw gdzieś z bliska, potem

z odległego ciemnego kąta. Tylko odwrócona twarzą do ściany lokalizowała go właściwie. W tej pozycji zasnęła – nachylona w kierunku ściany, jakby podśluchiwała przez dziurkę od klucza.

Sen miała niespokojny, nerwowy, pełen majaków. Raz przebudziła się, wyczuwając jakiś ruch, i ujrzała ciemną sylwetkę mężczyzny rozsuwającego zasłony. Wstrzymała oddech. Słyszając, że się poruszyła, szybko spojrzał na nią, po czym odwrócił wzrok; bezszelestnie wyszedł do kuchni. Udał się na kilka minut w swoich sprawach. W myślach podążała za nim, gdy przechodził przez kuchnię, otwierał drzwi i zniknął samotnie w ciemności. Wtedy znów odwróciła twarz do poduszki, drżąc, gdyż raz jeszcze wyobraziła sobie ten czarny zapach. Pomyślała: zaraz wróci. Leżała nieruchomo, żeby wyglądało, że śpi. Ale nie przyszedł zaraz, i po kilku minutach zajrzała do ciemnej sypialni. Dick leżał bez ruchu w dziwnej pozie. Dotknęła jego czoła; było wilgotne i zimne, a zatem musiało być dawno po północy. Służący okrył chorego wszystkimi kocami, które leżały przedtem na krześle. Zasłona w oknie poruszyła się i zimny podmuch owionął jej szyję. Zamknęła skrzydło bliższe łóżka i stojąc bez ruchu, nasłuchiwała głośnego nagle tykania zegara. Pochyliwszy się, spojrzała na lekko fosforyzującą tarczę, a wtedy okazało się, że nie ma jeszcze drugiej, choć jej wydawało się, że noc trwa i trwa. Usłyszała szelest z tyłu domu i szybko, z poczuciem winy, wróciła na swoje miejsce. Znowu ten odgłos stwardniałych stóp na podłodze, kiedy Moses przechodził obok, udając się na swój posterunek za ścianą; widziała, że patrzył na nią, sprawdzał, czy śpi. Teraz rozbudziła się kompletnie i już nie mogła zasnąć. Było jej chłodno, ale nie chciała wstawać, żeby wziąć coś do przykrycia się. Ponownie wyobraziła sobie ten ciepły zapach i chcąc uwolnić się od niego, odwróciła głowę w stronę zasłon poruszających się w chłodnych podmu-

chach nocnego powietrza. Dick leżał nieruchomo; z sąsiedniego pokoju nie dochodził żaden odgłos poza cichym, rytmicznym oddechem.

Zapadła w sen i od razu przyśniło się jej coś okropnego.

Znowu była dzieckiem i razem z innymi dziećmi, które w tym śnie nie miały konkretnych twarzy, bawiła się w zaniedbanym ogródku przed drewnianym domem. Przewodziła w zabawie, była dowódcą, inne dzieci wołały do niej, pytały, jak mają się bawić. Stała w słońcu przy cierpko pachnącym geranium, w otoczeniu dzieci. Matka ostrym głosem kazała jej wejść do domu, więc ociągając się, opuściła ogródek i weszła na werandę. Bała się. Matki nigdzie nie było, poszła zatem do pokoju. Stojąc w drzwiach sypialni, popatrzyła z obrzydzeniem, bo był tam znienawidzony ojciec, mały człowieczek z dużym, przelewającym się brzuchem, cuchnący piwem i w swawolnym nastroju; stał przy oknie, przyciskając do siebie matkę, która niby to wyrywała się, robiąc mu żartobliwie wymówki. Pochylił się nad matką i na ten widok Mary uciekła.

Znowu bawiła się, tym razem z rodzicami i rodzeństwem, przed pójściem spać. Była to zabawa w chowanego i właśnie na nią przyszła kolej kryć, a matka miała się schować. Starsze dzieci stały z boku i przyglądały się; zabawa była dla nich zbyt dziecinna, nie uczestniczyły w niej. Śmiały się z Mary, że tak poważnie ją traktuje. Ojciec złapał ją i swoimi owłosionymi rękami przycisnął jej głowę do siebie, żeby nie podglądała; śmiał się i głośno pytał, gdzie też to mogła schować się matka. Czowała mdlący odór piwa, a także – mając twarz przyciśniętą do grubego materiału spodni – zapach niedomytego mężczyzny, jaki zawsze jej się z ojcem kojarzył. Wyrywała się, chcąc oswobodzić głowę, lecz trzymał mocno, śmiejąc się z jej przerażenia. Pozostałe dzieci też się śmiały. Krzyczała głośno ze strachu, pragnąc uwolnić się od tego snu, półprzytomna, wystraszona.



Zdawało się jej, że już nie śpi, tylko leży sztywno na kanapie, nasłuchując oddechu dobiegającego z drugiego pokoju, za każdym razem czekając na kolejny cichy wydech. Nagle zapadła cisza. Przerażona, rozejrzała się po pokoju, ledwo śmiała poruszyć głową ze strachu, że obudzi krajowca śpiącego za ścianą; mdły krąg rzucany przez lampę oświetlał chropowatą powierzchnię stołu. We śnie nabierała coraz większej pewności, że Dick nie żyje – Dick nie żyje, a ten czarny w pokoju obok czeka na nią. Wolno podniosła się i wyplątała stopy ze zwiniętego płaszcza, usiłując zapanować nad strachem. Powtarzała sobie, że nie ma się czego bać. Wreszcie po cichutku spuściła z kanapy złączone nogi, bojąc się zdradzić najmniejszym choćby szelestem. Chwilę siedziała, drżąc i starając się uspokoić, po czym zmusiła się do wstania i przejścia na środek pokoju, skąd oceniła odległość dzielącą ją od sypialni, z lękiem patrząc na ciemne skóry na podłodze; miała wrażenie, że przybliżają się coraz bardziej z każdym ruchem kołyszącej się lampy. Wydawało się, że skóra lamparta przy drzwiach wypełniła się i ożyła; małe szklane oczka patrzyły prosto na nią. Uciekła do sypialni. Stała w progu i rozsunęła ciężkie zasłony. Ostrożnie zajrzała do środka. Dostrzegła jedynie zarys ciała Dicka leżącego pod kocami, Afrykanina nie widziała, ale była pewna, że gdzieś na nią czeka. Rozsunęła zasłony szerzej. Zobaczyła nogę sterczącą na pokój, ogromną, nadnaturalnych rozmiarów, kończynę olbrzyma. Podeszła nieco bliżej i teraz widziała go dobrze. We śnie ziryutowała się i poczuła zawiedziona, bo tubylec spał przy ścianie, zmęczony długim czuwaniem. Siedział w takiej pozycji, w jakiej czasem widywała go wygrzewającego się na słońcu, z podciągniętą jedną nogą i ręką opartą swobodnie na kolanie, tak że dłoń zwisała luźno, a palce były lekko zgięte. Druga noga, ta, którą zobaczyła od progu, sięgała niemal do tego miejsca, gdzie stała; wyraźnie widziała

zgrubiałą skórę stopy, popękana i zrogowaciała. Doznała takiego samego uczucia jak nieraz na jawie, gdy koniecznie chciała przyczepić się do czegoś, co źle zrobił, i sprawdziwszy wszystko dokładnie, nie znalazła żadnego niedociągnięcia. Złość na samą siebie skierowywała wtedy przeciwko niemu. Znów spojrzała w stronę łóżka, na którym leżał nieruchomy Dick. Przystąpiła przez tę olbrzymią nogę i cicho obeszła łóżko, cały czas plecami zwrócona do okna. Gdy pochylała się nad Dickiem, chłodne nocne powietrze owiało jej ramiona i gniewnie pomyślała, że krajowiec pewnie znowu otworzył okno, przez co Dick przeziębził się i umarł. Martwy Dick wyglądał brzydko. Był żółty na twarzy, usta miał otwarte, oczy nieruchome. We śnie dotknęła jego skóry. Była zimna, a ona odczuła ulgę i szaloną radość. Jednocześnie czuła się winna z powodu tej radości i próbowała wzbudzić w sobie stosowny żal i smutek. Pochylając się nad martwym Dickiem, poczuła, że krajowiec obudził się i patrzy na nią. Nie odwracając głowy, dostrzegła kątem oka, że wielka noga cicho się wycofała; doskonale wiedziała, że on tam stoi. Ruszył w jej stronę. Pokój nagle stał się ogromny, a on szedł bardzo wolno i z bardzo daleka. Zesztywniała ze strachu, zimny pot spływał jej po ciele. Czekwała. Był coraz bliżej, silny i lubieżny, ale to nie był tylko on, także ojciec, który jej zagrażał. Szli razem jako jedna istota, a ona czuła zapach nie krajowca, ale niedomytego ojca; wypełniał pokój, zatęchły, zwierzęcy. Nogi się pod nią ugięły, nozdrza poruszały się nerwowo, łaknąc czystego powietrza, wirowało jej w głowie. Nie mogąc ustać, oparła się o ścianę i omal nie wypadła przez otwarte okno. Podszedł bliżej i dotknął jej ramienia. Głos, który usłyszała, był głosem Afrykanina, pocieszał ją z powodu śmierci Dicka, serdecznie i opiekuńczo, ale jednocześnie był to ojciec, niebezpieczny i straszny, dotykający jej z pożądaniem.

Krzyczała, zrozumiawszy, że śpi i ma koszmary. Krzy-

czała i krzyczała, rozpaczliwie usiłując się wybudzić. Myślała sobie: „Mój krzyk obudzi Dicka”, walcząc z oparami snu. Nagle obudziła się i usiadła, dysząc ciężko. Obok stał Afrykanin, zaspany, z zaczerwienionymi z niewyspania oczami, trzymając tacę z herbatą. Pokój wypełniało gęste szare światło, paląca się jeszcze lampa rzucała blade promienie na stół. Na widok służącego, żywo mając w pamięci śnione dopiero co koszmary, Mary cofnęła się w kąt kanapy, oddychając szybko i urywanie; patrzyła na niego oczami rozszerzonymi ze strachu. Niezgrabnym, zmęczonym ruchem postawił tacę, a ona usiłowała jakoś oddzielić sen od rzeczywistości.

Przyjrzał się jej z zaciekawieniem i powiedział: „Pan śpi”. Znikło natychmiast przeświadczenie, że Dick leży martwy. Mimo to patrzyła na czarnego mężczyznę czujnie i nadal nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Był bardzo zdziwiony jej lękiem; na jego twarzy pojawił się ten wyraz, który tak często u niego ostatnio widziała: lekko ironiczny, lekko niepewny, krytyczny, jakby ją osądzał. Niespodziewanie spytał cicho:

– Madame się mnie boi, tak? – Był to głos z jej snu, właśnie taki słyszała.

Nagle ogarnęła ją słabość i zadrżała. Dopiero po dłuższej chwili, usiłując za wszelką cenę panować nad głosem, odrzekła niemal szeptem:

– Nie, nie, nie. Nie boję się. – Wściekła była na siebie, że zaprzecza czemuś, co jest w ogóle niedopuszczalne.

Ujrzała jego uśmiech i spojrzenie, które padło na jej ręce leżące na kolanach. Drżały. Oczy tubylca przesunęły się w górę, na jej twarz, na ułamek sekundy zatrzymując się na opuszczonych bezradnie ramionach i ciele wtulonym w poduszki, szukającym w nich oparcia.

Odezwał się swobodnie, poufale:

– Dlaczego madame się mnie boi?

Odparła piskliwym, histerycznym głosem, śmiejąc się nerwowo:

– Nie bądź śmieszny. Nie boję się ciebie.

Równie dobrze mogłaby takim właśnie tonem flirtować z białym mężczyzną. Gdy posłyszała własne słowa i zobaczyła wyraz jego twarzy, omal nie zemdląta. Dobrze wiedziała, że zanim wyszedł, obrzucił ją długim, nieodgadniwym spojrzeniem.

Po jego wyjściu poczuła się, jakby zwolniono ją z przesłuchania. Słaba i roztrzęsiona, wciąż myślała o śnie, walcząc z narastającym strachem.

Nalała sobie herbaty, rozlewając ją przy tym na spodek. Znowu, tak jak we śnie, zmusiła się, żeby wstać z kanapy i pójść do pokoju obok. Dick spał spokojnie i wyglądał lepiej. Nie dotykając go, wyszła na werandę, gdzie stojąc oparta o chłodny ceglany murek, jakiś czas wciągała głęboko w płuca chłodne poranne powietrze. Słońce jeszcze nie wstało. Niebo było czyste i blade, lekko zaróżowione od smug światła, lecz między cichymi, nieruchomymi drzewami zalegały jeszcze ciemności. Nad skupiskiem chat w osadzie krajowców unosiły się cienkie strużki dymu; czas iść i uderzyć w gong obwieszczający początek dnia pracy.

Cały dzień przesiedziała, jak zwykle, w sypialni, obserwując Dicka, który zdrowiał z godziny na godzinę, choć nadal był bardzo słaby, zbyt słaby, by go denerwować.

Tego dnia nie pojechała na pole. I unikała służącego; czuła się zbyt niepewnie i nie miała dość siły, aby stanąć z nim twarzą w twarz. Kiedy wyszedł po lunchu, gdyż był to jego czas wolny, poszła do kuchni śpiesznie, niemal ukradkiem, żeby zrobić zimny napój dla Dicka, a wracając, oglądała się za siebie, jakby w obawie, że ktoś za nią idzie.

Tej nocy starannie zamknęła wszystkie drzwi na klucz i położyła się obok Dicka; po raz pierwszy w czasie trwania małżeństwa wdzięczna mu była za jego bliskość.

W ciągu tygodnia Dick wrócił do pracy.

Znów jeden za drugim płynęły dni, długie dni spędzane w domu sam na sam z Afrykaninem, kiedy mąż był w polu. Walczyła z czymś, czego nie rozumiała. W miarę upływu czasu Dick stawał się dla niej coraz bardziej i bardziej nierealny, natomiast myśl o Afrykaninie przeradzała się w obsesję. Był to dla niej koszmar – potężny czarny mężczyzna cały czas tak blisko i żadnej możliwości ucieczki od jego obecności. Była jak opętana; Dicka ledwo w ogóle zauważała.

Odkąd budziła się rano, gdy służący podawał im herbatę, odwracając wzrok od jej nagich ramion, aż do jego wyjścia po skończonej pracy, ani przez chwilę nie zaznała spokoju. Bojaźliwie wykonywała domowe prace, starając się schodzić mu z drogi; jeśli był w jednym pokoju, przechodziła do drugiego. Nie patrzyła na niego; spojrzenie mu w oczy byłoby dla niej zgubne, tak żywe było wspomnienie przeżytego strachu i tego, jak odezwała się do niego pamiętnej nocy. Polecenia wydawała pośpiesznie, spięta i zdenerwowana, i od razu wychodziła z kuchni. Bała się usłyszeć jego głos: poufały, lekko zuchwały, dominujący. Wiele razy już, już miała powiedzieć Dickowi: „On musi odejść”. Ale nigdy się na to nie odważyła. Powstrzymywał ją lęk przed nieuniknionym wybuchem gniewu męża, jaki by wtedy nastąpił. Czuła się jak w ciemnym tunelu, jakby zbliżała się do czegoś ostatecznego, czego nie umiała sobie nawet wyobrazić, ale co oczekiwało ją nieuchronnie, nieubłagane. A po zachowaniu Mosesa, po jego sposobie mówienia i bycia – swobodnym, pewnym siebie, irytująco zuchwałym – poznawała, że on też czeka. Byli jak dwoje przeciwników prowadzących cichą walkę. Tyle że on był silny i pewny siebie, a ona podszyta strachem, przerażona koszmarowymi snami i swoją obsesją.

## Rozdział 10

Ludzie, którzy żyją swoimi sprawami – niezależnie od tego, czy z konieczności, czy z wyboru – i nie zaprzatają sobie głowy tym, co dzieje się u bliźnich, przeżywają niemałe zdziwienie, gdy przypadkiem okaże się, że inni sporo mówią na ich temat. To tak jakby człowiek obudził się i zobaczył wianuszek wpatrzonych w siebie obcych osób. Turnerowie, którzy równie dobrze mogliby mieszkać na księżycu, tak mało ich sprawy dystryktu interesowały, byłiby zdziwieni, dowiedziawszy się, że od lat dostarczają tematów do plotek okolicznym farmerom. Nawet ci, których znali jedynie z nazwiska albo o których w ogóle nie słyszeli, chętnie rozprawiali o ich życiu, wykazując sporą wiedzę, zawdzięczaną Slatterom. Wszystko przez Slatterów, no, ale nie można ich winić! Nikt nie wierzy, że plotki wyrządzają krzywdę, poza tymi, którzy sami od nich ucierpieli. Gdyby Slatterom postawiono taki zarzut, zakrzyknęliby zgodnie: „Mówiliśmy tylko prawdę”, ale z oburzeniem świadczącym, że mają niezupełnie czyste sumienie. Pani Slatter musiałaby być najbardziej niezwykłą kobietą pod słońcem, gdyby zachowała bezstronną lojalność wobec Mary po tym, jak została potraktowana. Wielokrotnie ponawiała próby „wyciągnięcia Mary”, jak to określała. Wyczuwając jej sza-

loną dumę (aż nazbyt dobrze sama знаła to uczucie), zapraszała ją czasem na przyjęcie, na tenisa albo na tańce. Jeszcze po drugiej chorobie Dicka próbowała nakłonić ją do wyjścia z izolacji, gdy dość przerażający obraz Dickowego gospodarstwa nakreślił cynicznie patrzący na życie doktor. W odpowiedzi przychodziły jednak krótkie, zwięzłe liściki (ze względu na koszty Turnerowie nie mieli, tak jak wszyscy, założonego telefonu), będące wyraźnym odrzuceniem wyciągniętej ręki. Kiedy pani Slatter przypadkiem spotykała Mary w sklepie przy odbieraniu poczty, z niezmienną życzliwością ponawiała zaproszenia. Mary zawsze odpowiadała sztywno, że bardzo chętnie, ale akurat „Dick jest bardzo zajęty”. A teraz dużo czasu upłynęło, odkąd ktoś widział Mary lub Dicka na stacji.

„Co oni znowu zrobili?” – pytali ludzie. U Slatterów ludzie zawsze pytali, co zrobili Turnerowie. A pani Slatter, której dobre intencje i cierpliwość dawno się wyczerpały, chętnie zaspokajała ich ciekawość. Wiecie, że Mary uciekła kiedyś od męża? Ale to już będzie ze sześć lat temu... Tu wpadał jej w słowo Charlie ze swoją opowieścią, jak to Mary zjawiała się bez kapelusza, byle jak ubrana, w dodatku sama przeszła przez *veld* (kobieta!), i poprosiła, żeby ją zawiózł na stację. „Skąd miałem wiedzieć, że ucieka od męża? Nic mi nie powiedziała. Myślałem, że jedzie sama na zakupy, bo Turner jest zajęty. A potem zjawił się Turner, nieprzytomny ze zdenerwowania, więc musiałem mu powiedzieć, że ją zawiozłem. Nie powinna była. Tak się nie robi”. Historia ta urosła do monstrualnej legendy. Mary uciekła od męża w środku nocy, bo nie chciał jej wpuścić do domu, po czym znalazła schronienie u Slatterów i pożyczyła od nich pieniądze na wyjazd. Dick zjawił się w ślad za nią następnego ranka i obiecał, że już nigdy więcej nie będzie dla niej niedobry. Powtarzano sobie tę historię w całym dystrykcie, potrząsając głowami i cmokając. Kiedy

jednak ludzie zaczęli gadać, że Slatter wysmagał Turnera batem, tego było już za wiele, i Charlie się zdenerwował. Lubił Dicka, choć nim pogardzał. Żał mu go było. Zaczął więc opowiadać wszystkim, jak było naprawdę. Powtarzał ciągle, że Dick powinien był pozwolić żonie odejść. Pozbyć się jej. Głupio zrobił. Więc pomału, za sprawą Charliego, wszystko się odkręciło i porobiło na odwrót; Mary była zła, Dick dobry. A o wszystkich tych plotkach i sąsiedzkiej ciekawości żadne z Turnerów nie miało pojęcia, no bo i skąd, skoro od lat nie ruszali się z farmy.

Prawdziwy powód, dla którego Slatterowie, a zwłaszcza Charlie, tak bardzo interesowali się Turnerami, był taki, że chcieli przejąć farmę Dicka, teraz nawet bardziej niż przedtem. A ponieważ to interwencja Charliego przyśpieszyła tragedię – choć nie można go za to winić – należałoby wyjaśnić parę faktów dotyczących jego gospodarowania. Tak jak druga wojna światowa przyniosła fortuny producentom tytoniu, tak podczas pierwszej wielu farmerów wzbogaciło się dzięki temu, że ceny kukurydzy ostro poszły w górę. Do pierwszej wojny Slatter był biedny; potem stał się bogaty. A kiedy człowiek jest bogaty i ma temperament Slattera, bogaci się jeszcze bardziej. Zarobionych pieniędzy nie włożył w farmę; nie ufał inwestycjom rolniczym. Wszystkie nadwyżki ulokował w akcjach kopalni i nie modernizował farmy bardziej, niż było to konieczne, żeby przynosiła jaki taki dochód. Miał pięćset akrów najpiękniejszej, żyznej ciemnej gleby, która w dawnych dobrych czasach dawała od dwudziestu pięciu do trzydziestu worków kukurydzy z akra. Rok po roku ziemia wyjaławiała się coraz bardziej, aż wydajność spadła do zaledwie pięciu worków z akra, jeśli dopisało szczęście. Charliemu nawet przez myśl nie przeszło, żeby ziemię użyźniać. Swoje drzewa (pozostałe po wycinkach przeprowadzonych przez kopalnię) ściał i sprzedał na opał. Ale nawet farma tak bogata jak jego nie była nie-



wyczerpana; choć nie musiał już wyciągać z niej tysięcy funtów, ziemia była wyeksploatowana, a on potrzebował jej więcej. Stosunek do roli miał taki sam jak krajowcy, którymi pogardzał: uprawia się kawałek ziemi, a potem przenosi się na następny. I tak uprawił już wszystko, co się do tego nadało. Na farmę Dicka ostrzył sobie zęby, bo inne gospodarstwa rolne graniczące z jego posiadłością były już zajęte. Miał konkretne plany. U Dicka było po trochu wszystkiego. Sto akrów świetnej ciemnej gleby; niewyjałowionej, ponieważ Dick o nią dbał. Dobre tereny pod uprawę tytoniu. A reszta doskonale nadawała się na pastwiska.

To właśnie pastwiska były Charliemu potrzebne. Nie bawił się w dokarmianie bydła zimą. Wypędzał je na dwór, i niech się samo żywi, co jest skutecznym rozwiązaniem przy trawie dobrej jakości, jednak przy licznych stadach pastwisk miał zdecydowanie za mało, a poza tym i one były już wyeksploatowane. Ziemia Dicka stanowiła więc jedyne wyjście. Od lat Charlie snuł plany, co zrobi, kiedy Dick zbankrutuje. Tymczasem Dick uparcie nie bankrutował. „Jak on to robi? – pytano ze zdumieniem, gdyż wszyscy wiedzieli, że farma nie przynosi niemal żadnego dochodu, że Dick zawsze ma zły rok i wiecznie siedzi w długach. „Bo żyją jak nędzarze i niczego nie kupują” – mówiła pani Slatteer kwaśno; był to już ten czas, kiedy Mary mogłaby pójść i utopić się, nic by to jej nie obeszło.

Może nie byliby tak zbulwersowani i tacy złośliwi, gdyby Dick zachowywał się sensownie. Niechby przyszedł do Charliego, poprosił o radę, uznał własne niedołęstwo, zaraz byłoby inaczej. Ale nie zrobił tego. Tkwił w długach, nie ruszał się z farmy i lekceważył autorytet Charliego. A temu pewnego dnia przyszło do głowy, że od roku nie widział Dicka. „Jak ten czas leci” – skomentowała pani Slatteer, kiedy powiedział o tym głośno. Gdy się wspólnie zastanowili, okazało się, że to już będzie prawie dwa lata; czas

na wsi płynie niepostrzeżenie. Jeszcze tego samego popołudnia Charlie pojechał więc do Turnerów. Miał lekkie wyrzuty sumienia, gdyż w jakimś sensie poczuwał się do opieki nad Dickiem, mając znacznie większe doświadczenie i wiedzę. Czuł się odpowiedzialny za niego, tym bardziej że obserwował jego farmerskie poczynania od samego początku. Po drodze do Turnerów bacznie wypatrywał oznak zaniedbania. Wyglądało na to, że nie jest ani lepiej, ani gorzej. Pasy przeciwpożarowe wzdłuż granicy były, ale ochroniłyby farmę tylko od niewielkich płomieni, bo już nie przed wielkim ogniem przy silnie wiejącym wietrze. Obory jeszcze się nie zawaliły, ale podparte były drągami; pokrycia dachów miały wstawki, przez co wyglądały jak pocerowane pończochy; trawa w różnych kolorach i na różnych etapach wysuszenia sięgała miejscami aż do ziemi, zwisając w długich wiechciach. Drogi potrzebowały melioracji; były w opłakanym stanie. Narożnik sporej plantacji eukaliptusów przy drodze został w jednym rogu strawiony przez pożar *veldu*; w żółtym świetle popołudnia drzewa wyglądały jak widma, liście zwisały sztywno w dół, pnie osmalone były na czarno.

Wszędzie dokładnie to samo: upadek, ale jeszcze nie całkowity.

Dicka zastał siedzącego na wielkim kamieniu przy stodołach na tytoń, które teraz służyły za spichrze. Pilnował krajowców składających zbiory kukurydzy poza zasięgiem mrówek, na metalowych sztabach opartych na ceglach. Szeroki miękki kapelusz farmerski miał nasunięty na czoło; skinął głową Charliemu, który stanął obok niego, przyglądając się całej operacji spod zmrużonych powiek; ten od razu zauważył, że worki na kukurydzę są zbutwiałe i mało prawdopodobne, żeby wytrzymały do końca sezonu.

– Mogę ci w czymś pomóc? – odezwał się Dick niby grzecznie, ale dość zaczepnym tonem. Głos miał jednak

niepewny; jakby długo go nie używał. Patrzące spod runda oczy błyskały niespokojne.

– Nie, dzięki – odparł Charlie krótko, przypatrując mu się irytująco uważnie. – Przyjechałem zobaczyć, jak ci leci. Nie widzieliśmy się parę miesięcy.

Odpowiedzi nie było. Krajowcy skończyli pracę. Słońce zachodziło, pozostawiając falę rozgrzanej czerwieni na wzgórzach, od skraju buszu pomału nadpełzał przez pola zmierzch. Pół mili dalej widoczna między drzewami osada, stanowiąca skupisko stożkowatych kształtów, wydziełała wąskie strużki dymu, a za ciemnymi pniami błyskały ogniska. Ktoś uderzał w bęben; monotonne bum-bum obwieszczało koniec dnia. Robotnicy przerzucali przez ramię swoje nędzne okrycia i gęsiego odchodzili skrajem pola.

– No i tak – westchnął Dick, wstając. – Kolejny dzień minął.

Zadrżał nagle. Charlie przyjrzał mu się; chude, kościaste dłonie i wątłe zgarbione ramiona trzęsły się cały czas. A przecież było gorąco. Ziemia dyszała ciepłem, czerwony rumieniec na niebie jeszcze grzał.

– Masz gorączkę? – spytał.

– Nie, chyba nie. Z biegiem lat krew się robi rzadka.

– Coś mi się widzi, że to wcale nie rozrzedzona krew – odparł Charlie. Odczuwał jak coś w rodzaju tryumfu fakt, że Dick ma gorączkę. Spoglądał jednak na niego życzliwie, choć z niezmienną czujnością malującą się na dużej, mięsistej twarzy, pokrytej szczeciną zarostu. – Często chorujesz? Ile razy byłeś chory, odkąd przywiozłem ci tego konowala?

– Kilka – odparł Dick. – Co roku mam malarię, w zeszłym nawet dwa razy.

– Żona opiekuje się tobą?

Na twarzy Dicka pojawił się dziwny niepokój.

– Tak – odparł.

– A jak ona się miewa?

– Tak jak zawsze.  
– Nie chorowała?  
– Nie, nie chorowała. Ale nie jest z nią dobrze. Bardzo nerwowa, przemęczona. Za długo już mieszka na farmie. – Potem śpiesznie, jakby nie mógł już tego dłużej ukrywać, dodał: – Bardzo się o nią martwię.

– Ale o co konkretnie? – Charlie mówił spokojnie, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy Dicka.

Stali w zapadającym zmroku pod wystającym dachem stodoły. Z otwartych drzwi dobiegał słodkawy, wilgotny zapach świeżo zmielonej kukurydzy. Dick podniósł ramieniem drzwi; jeden zawias był urwany. Zamknął je. Trójkątna blacha zamku trzymała się na ostatniej śrubie; ktoś silny mógłby go bez trudu wyrwać.

– Wstąpisz do nas? – spytał Charliego.  
Ten skinął głową, po czym rozejrzał się.  
– Gdzie masz samochód?  
– Chodzę teraz pieszo.  
– Sprzedałeś?  
– Za dużo kosztował. Jak czegoś mi potrzeba, wysyłam na stację wóz.

Wsiedli do ogromniastego auta Charliego, które chwiało się i podskakiwało na pociętej koleinami drodze, zbyt wąskiej dla niego. Teraz, gdy Dick nie miał samochodu, droga zarastała trawą.

Między niskim, porośniętym drzewami wzgórzem, na którym stał dom, a miejscem, gdzie wśród buszu postawiono stodoły, znajdowała się ziemia, która nie była uprawiana. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie po prostu leżącej odłogi, ale przyjrawszy się jej uważnie w zapadającym zmierzchu, Charlie zauważył, że wśród trawy i niskich krzaków walczy o przetrwanie rachityczna kukurydza. Pomyślał najpierw, że sama się wysiała; jednak nie, rosła w regularnych odstępach.

- Co to jest? – spytał. – Co to ma być?
  - Wypróbowałem nowy amerykański pomysł.
  - Jaki?
  - Podobno wcale nie trzeba orać ani bronować. Wystarczy zasadzić rośliny uprawne i dać im rosnąć samym.
  - Nie udało się?
  - Nie – odparł Dick głucho. – Nawet nie zebrałem. Pomyslałem, że jak ją zostawię, to użyźni ziemię... – Głos mu zamarł.
  - Eksperyment – stwierdził Charlie krótko. Zastanawiająca, że Dick wcale nie był rozgoryczony ani zły. Sprawiał wrażenie obojętnego. Charlie co jakiś czas spoglądał z ciekawością i z pewnym zakłopotaniem na sąsiada, na którego twarzy pojawił się w tej chwili wyraz ponurej zaciętości. – Mówiłeś, że źle jest z twoją żoną?
  - Nie jest dobrze.
  - No, wykrztuśże, człowieku! Co się dzieje?
- Dick przez chwilę nie odpowiadał. Z otwartych pól, gdzie złote światło dnia jeszcze połyskiwało na listowiu, wjechali w intensywnie mroczny busz. Wielki samochód wspinał się na strome wzgórze, mierząc maską w niebo.
- Sam nie wiem – rzekł Dick w końcu. – Ostatnio jest jakaś inna. Czasami myślę nawet, że z nią lepiej. Trudno powiedzieć coś konkretnego, sam wiesz, jakie są kobiety. Zmieniła się.
  - Ale pod jakim względem? – dopytywał się Charlie.
  - No więc, na przykład, kiedy przyjechała na farmę, miała więcej energii i zapału. Teraz w ogóle się nie przejmuję. Niczym się nie przejmuję. Siedzi i nic nie robi. Nawet kurami się nie zajmie. Wiesz, że kiedyś co miesiąc miała z tego parę groszy. Zupełnie przestało ją też obchodzić, co robi służący. Kiedyś do szafu doprowadzała mnie zrzędzeniem i awanturami ze służbą. Potrafiła tak cały dzień. Wiesz, jak to jest, kiedy kobiety za długo są na farmie. Nie panują nad sobą.

– Żadna kobieta nie radzi sobie z czarnuchami – zauważył Charlie.

– No więc boję się o nią – wyznał Dick, uśmiechając się smutno. – Już chyba wolałbym, żeby zrzędziła.

– Wiesz co, Turner? – rzekł Charlie nagle. – A może rzućbyś to wszystko i wyjechał gdzieś. Ani tobie, ani twojej żonie życie tu nie służy.

– Jakoś sobie radzimy.

– Człowieku, ty jesteś chory!

– Nic mi nie jest.

Zatrzymali się przed domem. Ze środka dochodziło światło, ale Mary nie wyszła. W sypialni zapaliło się drugie. Dick spojrzał w tamtą stronę.

– Przebiera się – stwierdził z wyraźnym zadowoleniem. – Od dawna nikt nas nie odwiedzał.

– Sprzedaj mi ziemię. Dam ci dobrą cenę.

– A gdzie się wtedy podziej? – spytał zdumiony Dick.

– Pojedziesz do miasta. Zostaw to. Nie nadajesz się. Znajdź sobie stałą posadę w mieście.

– Jakoś daję sobie radę – rzekł Dick z niechęcią.

Na tle jasnego okna pojawiła się szczupła sylwetka kobieca. Mężczyźni wysiedli z samochodu i weszli do środka.

– Uszanowanie, pani Turner.

– Dobry wieczór – odparła Mary.

W oświetlonym pokoju Charlie przyjrzał się jej bardzo uważnie, z lekka zaniepokojony tonem, jakim powiedziała „dobry wieczór”. Minę miała dość niepewną, była sucha jak wiór, wyblakłe, przewiązane niebieską wstążką włosy spletaną masą otaczały wymizerowaną twarz. Z wycięcia przed chwilą nałożonej sukienki, marszczonej, z bawełny w malinowym kolorze, wystawała cienka, żółtawa szyja. W uszach Mary miała długie, przypominające landrynki, czerwone kolczyki, które obijały się o szyję, gdy nerwowo poruszała głową. Niebieskie oczy, niegdyś mówiące

każdemu, kto gotów był w nie spojrzeć, że Mary Turner tak naprawdę nie jest wcale „zarozumiała”, tylko nieśmiała, dumna i wrażliwa, miały w sobie jakiś nowy, budzący niepokój błysk.

– Ależ dobry wieczór! – powtórzyła, wdzięcząc się jak młoda panienka. – Drogi panie Slatter, tak długo nie mieliśmy przyjemności pana widzieć. – Zaśmiała się z jakąś niewydarzoną kokieterią.

Dick odwrócił wzrok, wyraźnie cierpiał. Charlie gapił się na nią niegrzecznie. Gapił się tak, aż w końcu się zaczerwieniła i spojrzała w inną stronę, zadzierając jednak dumnie głowę.

– Pan Slatter nas nie lubi – poinformowała Dicka tonem towarzyskiej pogawędki. – Inaczej częściej by do nas przyjeżdżał.

Usiadła w kącie pełnej wystających sprężyn starej kanapy, przykrytej niebieskim wyblakłym materiałem.

Patrząc na ten materiał z niedowierzaniem, Charlie spytał:

– Jak sklep?

– Zrezygnowaliśmy. Nie opłacał się – rzekł szorstko Dick. – Sami korzystamy teraz z towarów.

Charlie spojrział na kolczyki Mary, na kanapę pokrytą materiałem, jaki sprzedaje się krajowcom; brzydka niebieska tkanina we wzorek, charakterystyczna dla Południowej Afryki, uważana powszechnie za „towar dla czarnych”. Doznał prawdziwego szoku, widząc coś takiego w domu białego człowieka. Nie tylko ta „narzuta” budziła zresztą zdziwienie. Zastłony były podarte; szyba w oknie zbita i zastąpiona papierem; inna, pęknięta, też nie została wymieniona. Całe wnętrze było nieprawdopodobnie nędzne i zaniedbane. Materiał ze sklepu znalazł tu wszechstronne zastosowanie, już to przyfastrygowany do oparcia fotela, już to położony na siedzeniu i poutykany byle jak. Te wysiłki, by zachować resztki pozorów, mogły stanowić dobry

znak, ale cały jowialny i szorstki humor Charliego znikł. Gość milczał i tylko marszczył czoło.

– Zostaniesz na kolacji? – spytał Dick w końcu.

– Nie, dziękuję – odparł najpierw Charlie, potem jednak, powodowany ciekawością, zmienił zdanie. – Albo tak, chętnie.

Nie zdając sobie z tego sprawy, mężczyźni rozmawiali jakby w obecności osoby chorej. A Mary ciężko podniosła się z kanapy i stojąc w drzwiach, zawołała:

– Moses! Moses!

Ponieważ służący się nie pojawił, odwróciła się z uśmiechem i z tym samym co wcześniej salonowym krygowaniem się powiedziała:

– Proszę wybaczyć, ale sam pan wie, jaka potrafi być służba.

Wyszła. Mężczyźni milczeli. Dick nie patrzył na Charliego, który, nie będąc raczej mistrzem taktu, wpatrywał się w niego intensywnie, jakby próbował go zmusić do wytłumaczenia się.

Kolacja przyniesiona przez Mosesa składała się z herbaty, chleba ze zjełczalym masłem i kawałka zimnego mięsa. Na stole nie było ani jednego niewyszczerbionego naczynia; biorąc do ręki nóż, Charlie poczuł pod palcami tłuszcz. Jadł z obrzydzeniem, nie starając się nawet tego ukryć. Dick milczał, Mary, ciągle z tą samą odrażającą kokieterią, co jakiś czas wygłaszała oderwane uwagi o pogodzie, potrząsała kolczykami i gestykulowała chudymi rękami, spoglądając na Charliego zalotnie.

Nie reagował na to. Mówił jedynie: „Tak, pani Turner. Nie, pani Turner”. I patrzył na nią zimno, twardo, z pogardą i niechęcią.

Kiedy tubylec przyszedł sprzątnąć ze stołu, zdarzył się incydent, który doprowadził Slattera do szewskiej niemal pasji. Siedzieli nad smętnymi resztkami posiłku, a służący



obchodził stół, powoli zbierając talerze. Charlie traktował go jak powietrze. Nagle Mary powiedziała:

– Ma pan ochotę na owoce, panie Slatter? Moses, przynieś pomarańcze. Wiesz, gdzie są.

Charlie podniósł wzrok, jego szczęki poruszały się wolno, przeżuując jedzenie, lecz w oczach zapłonęła czujność i niepokój. Bardzo nie spodobało mu się, że Mary, odzywając się do służącego, mówi z tą samą zalotną przymilnością, z jaką zwracała się do niego.

Tubylec odpowiedział bezceremonialnie i niegrzecznie:

– Pomarańcze skończone.

– Wiem, że jeszcze są. Zostały dwie. Wiem na pewno – mówiła Mary, patrząc na niego niemal błagalnie.

– Pomarańcze skończone. – Znów zbył ją niegrzecznie, ale też z nutą satysfakcji, świadom swojej władzy.

Charliego dosłownie zamurowało. Zabrakło mu słów. Spojrzał na Dicka, który siedział ze spuszczoną głową, wpatrzony we własne ręce; zupełnie nie wiadomo było, co myśli ani czy w ogóle cokolwiek zauważył. Spojrzał na Mary, na której pomarszczonej, pożółkłej twarzy pojawiły się brzydkie czerwone plamy; w oczach niewątpliwie miała strach. Chyba do niej dotarło, że Charlie coś zauważył, bo spojrzała na niego ze skruchą, uśmiechając się.

– Jak długo ten czarny tu pracuje? – spytał w końcu Charlie, ruchem głowy wskazując Mosesa, który stał z tacą w progu, otwarcie przysłuchując się rozmowie.

Mary bezradnie spojrzała na Dicka.

Ten odparł bezbarwnym tonem:

– Około czterech lat, chyba.

– Czemu go trzymacie?

– To dobry służący – powiedziała Mary, podnosząc dumnie głowę. – Dobrze pracuje.

– Nie wydaje mi się – odparł Charlie rzeczowo i spojrzał na nią wyzywająco.

Unikała jego wzroku, wyraźnie zakłopotana. Jednocześnie w jej oczach płonęła jakaś tajona satysfakcja, co sprawiło, że Charliemu krew uderzyła do głowy.

– Czemu się go państwo nie pozbęda? Jak można pozwolić, żeby odzywał się w ten sposób?!

Mary nie odpowiedziała. Odwróciła się i spojrzała na Mosesa, wciąż stojącego w progu. Na jej twarzy pojawił się nieprzyjemny wyraz bezmyślnej apatii, co spowodowało, że Charlie z miejsca ryknął na służącego:

– Wynoś się stąd! Wracaj do roboty.

Rosły tubylec zniknął, natychmiast reagując na polecenie. Zapadła cisza. Charlie czekał, że Dick coś powie; pokaże, iż nie poddał się całkiem. Ale on siedział z pochyloną głową, wyraźnie nieszczęśliwy. W końcu Charlie, ignorując obecność Mary, odezwał się do niego:

– Pozbądź się tego czarnucha. Wywal go, Turner.

– Mary go lubi – padła obojętna odpowiedź.

– Wyjdźmy na chwilę, chcę z tobą porozmawiać.

Dick podniósł głowę i niechętnie spojrzał na Charliego. Nie był zachwycony tym, że zmusza się go do zwrócenia uwagi na coś, o czym wolał nie wiedzieć. Posłusznie jednak podniósł się z krzesła i wyszedł za Charliem na dwór. Zeszli z werandy i dotarli aż do linii drzew.

– Musicie stąd wyjechać – oświadczył Charlie bez ogródek.

– To niemożliwe – odparł Dick apatycznie. – Mam długi. – A potem, jakby to była wyłącznie kwestia pieniędzy, nie żadnych innych kłopotów, dodał: – Wiem, że inni się nie przejmują. Wiem, że wielu farmerom jest równie ciężko jak mnie, a kupują samochody i jeżdżą na wakacje. Ale ja tak nie umiem, Charlie. Nie umiem i już. Nie potrafię.

Slatter nie ustępował.

– Turner, ja kupię od ciebie tę farmę i będziesz mógł tu

zostać jako zarządca. Ale najpierw masz pojechać na urlop. Przynajmniej na pół roku. Musisz wywieźć stąd żonę.

Mówił tak, jakby odmowa nie wchodziła w grę. Szok, który właśnie przeżył, miał jednak podłoże czysto egoistyczne. To nie współczucie dla Dicka go poruszyło. Posłuszny był pierwszemu przykazaniu Południowej Afryki, które głosi: „Nie dopuścisz, aby twoi biali bracia upadli poniżej pewnego poziomu, ponieważ wtedy byle czarnuch będzie się uważał za równego tobie”. Przemawiała przez niego najsilniejsza emocja cywilizowanego społeczeństwa, i to ostatecznie pokonało opór Dicka, który w końcu mieszkał w tym kraju przez całe swoje życie, i teraz trawił go wstyd. Wiedział, czego się od niego oczekuje, i wiedział też, że zawiódł te oczekiwania. Nie od razu wszakże się zgodził na nalegania Charliego. Dla niego było to bowiem tak, jakby Charlie kazał mu się wyrzec życia, bo życiem było dla niego posiadanie farmy.

– Przejmę ją w obecnym stanie i dam ci tyle, że wystarczy na spłatę długów. Zatrudnię zarządcę, który zajmie się wszystkim do twojego powrotu. Ty musisz wyjechać na co najmniej pół roku. Nieważne dokąd. Zadbam, żebyś miał za co. Nie możesz tak dalej żyć, i już.

Dick wciąż się nie poddawał. Walczył przez cztery godziny. Przez cztery godziny spierali się, chodząc tam i z powrotem pod drzewami.

W końcu Charlie odjechał, nie zachodząc nawet do domu. Dick wrócił ociężale, z trudem poruszając nogami, jakby mu przetrącono kręgosłup. Nie będzie już właścicielem farmy, będzie na służbie u kogoś... Mary siedziała bezwładnie w kącie kanapy; nic już nie zostało z tego sposobu bycia, jaki odruchowo przyjęła w obecności gościa, chcąc zachować pozory i nie dać za wygraną. Nie spojrzała na męża, kiedy wszedł. Od wielu dni w ogóle z nim nie rozmawiała. Zupełnie jakby dla niej nie istniał. Sprawiała

wrażenie pogrążonej w jakichś swoich marzeniach. Do rzeczywistości wracała tylko wtedy, i tylko wtedy zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje, gdy do pokoju wchodził służący, żeby wykonać jakąś pracę. Nie spuszczała z niego wzroku. Co to oznaczało, Dick nie wiedział; nie chciał wiedzieć. Nie był w stanie z tym walczyć.

Charlie Slatter nie tracił czasu. Jeździł po farmach, starając się znaleźć kogoś, kto przez kilka miesięcy zająłby się gospodarstwem Turnerów. Nie wdawał się w szczegóły. Powściągliwie wyjaśniał, że pomaga Turnerowi, żeby ten mógł wywieźć żonę na jakiś czas. W końcu dowiedział się o młodym człowieku, przybyłym prosto z Anglii, który szukał pracy. Dla Charliego nieważne było, kto to jest; każdy by się nadał, a sprawa była pilna. Pojechał do miasta i odszukał go. Młody człowiek nie zrobił na nim szczególnego wrażenia; był to najzwyklejszy pod słońcem, spokojny, kulturalny, wykształcony Anglik, który mówił z dobrym akcentem, tocząc słowa jak perełki. Od razu przywiózł go na miejsce. Niewiele mu powiedział; sam bowiem nie wiedział, co mówić. Zgodnie z umową, młody człowiek miał objąć farmę od razu, w ciągu tygodnia, żeby Turnerowie mogli jak najszybciej wyjechać nad morze. Charlie załatwił wszystkie sprawy finansowe; Charlie mu powie, co ma robić na farmie. Taki był plan. Kiedy jednak przyjechali z tą nowiną do Dicka, ten, choć przekonany do konieczności wyjazdu, za nic nie chciał się zgodzić, by nastąpiło to od razu.

Charlie, Dick i młody człowiek, Tony Marston, stali na środku pola. Charlie zgrzany, wściekły i zniecierpliwiony (nie znosił, gdy krzyżowano mu plany), Dick uparty i niešťczęśliwy, Marston lekko zażenowany i trzymający się na uboczu.

– Psiakrew, Charlie. Nie możesz wyrzucić mnie w ten sposób. Piętnaście lat tu jestem.

– Na miłość boską, człowieku, nikt cię nie wyrzuca. Chcę, żebyś wyjechał, zanim... Żebyś wyjechał co prędzej. Chyba zdajesz sobie sprawę dlaczego.

– Piętnaście lat! – powtórzył Dick, a jego szczupła, smutna twarz poczerwieniała. – Piętnaście lat!

Odruchowo pochylił się, podniósł garść ziemi i trzymał ją w ręku, jakby głosił wszem wobec, że to jego własność. Absurdalny gest. Na twarzy Charliego pojawił się lekko drwiący uśmieszek.

– Ależ, Turner, przecież tu wrócisz.

– Nie będzie już moja – odparł Dick i głos mu się załamał. Odwrócił się, ściskając w dłoni swoją ziemię.

Tony Marston także się odwrócił i udawał, że ocenia stan pola; czuł się jak intruz wobec tej rozpaczki. Charlie, który nie miał takich skrupułów, spojrzał ze zniecierpliwieniem na napiętą twarz Dicka. Ale i z pewnym szacunkiem. Duma posiadania... Tak, to uczucie znał. Ale żeby takie miłosne wręcz przywiązanie do ziemi...? Nie rozumiał tego wprawdzie, ale spuścił z tonu.

– Będzie zupełnie tak samo, jakby nadal była twoja. Nic nie zmienię na twojej farmie. Po powrocie będziesz mógł tak samo pracować – rzekł ze swoją zwykłą szorstką dobroduszością.

– Z cudzej łaski – dodał Dick zboliałym głosem.

– To nie żadna łaska, robię interes. Potrzebuję pastwisk. Będę tu wypasał swoje bydło razem z twoim, a ty możesz sobie uprawiać, co zechcesz.

W gruncie rzeczy jednak uważał, że wyświadcza łaskę. Sam się sobie dziwił, że do tego stopnia zdradził własne zasady prowadzenia interesów. Słowo „łaska” przestłoniło wszystko inne. Tymczasem obydwaj byli w błędzie. Zdecydował zwykły instynkt samozachowawczy. Charlie walczył o to, by kolejny nieudacznik nie powiększył szeregów białej biedoty, która u szanowanych białych obywateli

wywoływała znacznie silniejszy szok (nie wzbudzając litości, a jedynie wzdargę i nienawiść za zdradę standardów życia białego człowieka) niż wszystkie te miliony czarnych stłoczonych w slumsach i coraz bardziej kurczących się rezerwatach w swoim własnym kraju.

W końcu, po długiej dyskusji, Dick zgodził się wyjechać pod koniec miesiąca, kiedy pokaże już Tony'emu, jak należy pracować na „jego” ziemi. Charlie, troszeczkę szachrując, zamówił bilety kolejowe na termin przypadający za trzy tygodnie. Tony od razu udał się z Dickiem do swego nowego miejsca zamieszkania, zadowolony, że już w pierwszych miesiącach pobytu w tym kraju znalazł pracę. Miał spać w krytej strzechą lepiance, stojącej za domem. Przedtem był tam spichrz, teraz stała pusta. Na podłodze walały się ziarna kukurydzy ominięte przez szczotkę; na ścianach pozostały niestarte czerwone ślady przemarszów mrówek. Wstawiono żelazne łóżko, dostarczone przez Charliego, szafkę ze skrzynek z zasłonkami z tego wyjątkowo brzydkiego niebieskiego materiału dla krajowców i lustro umieszczone na odwróconej skrzynce. Tony'emu skromny wystrój nie przeszkadzał. Wpadł w nastrój romantycznego uniesienia i rzeczy przyziemne, jak niesmaczne jedzenie czy stary materac, były dla niego zupełnie nieważne. We własnym kraju szokowałoby go to, tutaj było wręcz ekscytujące, bo świadczyło o zupełnie innym systemie wartości.

Miał dwadzieścia lat. Otrzymał dobre przeciętne wykształcenie i miał przed sobą perspektywę zostania urzędnikiem w fabryce wuja. Siedzenie w biurze nie wydawało mu się pociągającym pomysłem na życie. Na swój dom wybrał Południową Afrykę, ponieważ jego daleki kuzyn zarabiał tutaj pięć tysięcy funtów rocznie na uprawie tytoniu. Zamierzał robić to samo, a nawet lepiej, jeśli mu się powie dzie. Na razie musi się sporo nauczyć. Na farmie nie podobało mu się jedynie to, że nie uprawiano tu tytoniu, ale

i tak sześć miesięcy praktyki przy zróżnicowanych uprawach będzie dla niego pożądanym doświadczeniem. Żał mu było Dicka Turnera, któremu, jak wiedział, nie powiodło się, ale nawet to nieszczęście wydawało mu się romantyczne. Postrzegał je bezosobowo, jako symptom kapitalizacji światowego rolnictwa, w wyniku której mali farmerzy są nieuchronnie połykani przez wielkich. (Ponieważ sam zamierzał zostać wielkim farmerem, tendencja ta nie spędzała mu snu z powiek). A że nigdy dotąd nie zarabiał na własne utrzymanie, wszystko było dla niego dość abstrakcyjne. Miał na przykład typowe „postępowe” poglądy na temat segregacji rasowej, a idealistyczna postępowość, będąca tak naprawdę czymś sztucznym, rzadko wytrzymuje konfrontację, gdy w grę zaczyna wchodzić własny interes. Przywiózł ze sobą walizkę książek – które poustawiał przy okrągłej ścianie chatki – na temat kwestii rasowych, o Rhodesie i Krugerze, o rolnictwie i odkryciu złóż złota. Gdy po tygodniu wziął jedną do ręki, zobaczył, że z tyłu została nadjedzona przez termity. Schował je więc do walizki i więcej do nich nie zaglądał. Człowiek i tak nie da rady pracować dwanaście godzin dziennie, a potem się uczyć.

Posiłki jadał z Turnerami. W ciągu tego jednego miesiąca musiał nabrać tyle doświadczenia, by poradzić sobie przez następne sześć, do powrotu Dicka. Cały dzień spędzał z nim w polu, wstawał o piątej i kładł się o ósmej. Interesował się wszystkim, był obyty w świecie, energiczny, bystry – słowem, miły towarzysz. Za takiego przynajmniej uznałby go Dick dziesięć lat wcześniej, bo teraz w ogóle nie podejmował tematu, gdy Tony próbował porozmawiać na temat mieszania się ras czy o wpływie segregacji rasowej na rozwój przemysłu. Patrzył jedynie nieobecny, pustym wzrokiem. W obecności Tony’ego dla Dicka najważniejsze było dotrwanie do końca tych ostatnich dni tak, by nie zatać się i nie odwołać wyjazdu, tracąc resztki szacunku

dla samego siebie. Wiedział, że musi wyjechać, jednak targany był tak gwałtownymi emocjami i miał w głowie taki mętlik, że ze wszystkich sił musiał panować nad niepojętymi impulsami, nakazującymi podpalić wysoką trawę i patrzeć, jak płomienie niszczą *veld* – tak dobrze znany, że każdy krzak, każde drzewo było tu jego osobistym przyjacielem; albo zburzyć zbudowany własnymi rękami dom, w którym tak długo mieszkał. Zadano mu gwałt przez to, że kto inny będzie tu wydawać rozkazy, uprawiać ziemię i być może zniweczy jego ciężką pracę.

Mary natomiast Tony prawie wcale nie widywał. Kiedy myślał czasami o niej, budziła w nim niepokój: dziwna, milcząca, wysuszona na wiór kobieta, która przeważnie sprawiała wrażenie, jakby zapomniała ludzkiej mowy. Niekiedy, jakby przypomniawszy sobie, że wypadałoby zdobyć się na wysiłek, zaczynała zachowywać się jeszcze dziwniej. Przez jakiś czas mówiła z groteskowym ożywieniem, co zatrwazało Tony'ego, czującego się wtedy bardzo nieswojo. Jej sposób bycia nie miał żadnego związku z tym, co mówiła. Przerywała nagle powolne, drobiazgowo wyjaśnienia Dicka na temat pługa albo chorującego wołu jakąś zupełnie pozbawioną sensu uwagą o jedzeniu (które Tony uważał zresztą za obrzydliwe) albo o upale o tej porze roku. „Tak lubię, gdy już zaczyna padać deszcz” – mówiła tonem towarzyskiej konwersacji, śmiejąc się cicho. Potem nagle zapadała w posępne milczenie i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Tony zaczął podejrzewać, że ta kobieta nie jest całkiem przy zdrowych zmysłach. W końcu jednak nie było im tu lekko, więc to rozumiał; mieszkając od tak dawna na odludziu, każdy człowiek miałby prawo zachowywać się dziwnie.

Żar w domu panował tak wielki, że Tony nie był w stanie pojąć, jak ona może to wytrzymać. Przebywając w tym kraju od niedawna, źle znosił upał panujący na dworze, ale



wszystko było lepsze od tego pieca o blaszanym dachu, gdzie powietrze wydawało się ścinać w warstwy lepkiego gorąca. Choć nie interesował się sprawami Mary, dziwiło go, że w ogóle nie cieszy się z pierwszego od wielu lat wyjazdu na urlop. Nie robiła żadnych przygotowań do podróży; nawet o tym nie wspominała. Dick też się nie wypowiadał na ten temat.

Jakiś tydzień przed wyjazdem Dick przy lunchu zapytał Mary:

– A co z pakowaniem?

Kiwała głową, gdy dwukrotnie jeszcze powtarzał pytanie, ale nie odpowiedziała.

– Musisz się spakować, Mary – powiedział łagodnie, cichym, bezradnym głosem, którym zawsze zwracał się do niej.

Kiedy obaj z Tonym wrócili tego wieczoru, okazało się jednak, że nic nie zrobiła. Po sprzątnięciu ze stołu po obrzydliwie tłustym posiłku Dick sam wziął się do pakowania. Widząc go przy tym zajęciu, zaczęła mu pomagać, ale przed upływem półgodziny zostawiła go w sypialni, a sama usiadła na kanapie i tępo patrzyła przed siebie.

Całkowite załamanie nerwowe – zdiagnozował Tony, który już miał kłaść się spać. Zawsze lubił ujmować rzeczy słowami. Sformułowaniem tym jakby przeproszał za Mary; bronił jej przed krytyką. „Całkowite załamanie nerwowe” było czymś, co mogło się zdarzyć każdemu; miewała je większość ludzi. Następnego wieczoru Dick dalej pakował rzeczy, dopóki wszystko nie było gotowe. „Kup materiał i uszyj sobie jakieś sukienki” – zaproponował nieśmiało, gdyż przejrawszy jej garderobę, uświadomił sobie, że ona dosłownie „nie ma w co się ubrać”. Kiwnęła posłusznie głową i wyjęła z szuflady kwiecistą bawełnę, pochodzącą z dawnych zapasów sklepowych. Zaczęła coś wykrajać, po czym zastygła nieruchomo i trwała tak pochylona nad ma-

terialem, dopóki Dick nie dotknął jej ramienia i nie poprosił, żeby położyła się spać. Tony, świadek tej sceny, bał się spojrzeć na Dicka. Ogromnie żałował ich obojga. Bardzo Dicka polubił; ta sympatia była szczerą i osobistą. Jeśli chodzi o Mary, to choć jej współczuł, po prostu przyjął, że się kompletnie zagubiła, cóż więc można było powiedzieć? „To sprawa dla psychologa”, zawyrokował, głównie na własny użytek. Dobrze by było zresztą, żeby Dick też skorzystał z terapii. Ten człowiek był wykończony nerwowo, stale się trząsł, twarz miał tak wychudłą, że cała struktura kostna wyraźnie rysowała się pod skórą. W ogóle nie nadawał się do pracy, ale upierał się, by każdy moment dziennego światła spędzać w polu; nie potrafił zejść z pola, dopóki nie zapadł zmierzch. Tony musiał go ściągać niemal siłą; do zwykłych obowiązków doszła mu rola niemal pielęgniarza. Coraz bardziej nie mógł się doczekać wyjazdu Turnerów.

Trzy dni przed datą podróży Tony spytał, czy może zostać u siebie po południu, ponieważ nie czuje się dobrze. Pewnie z nadmiaru słońca; miał ostry ból głowy i mdłości, piekły go oczy. Nie przyszedł na południowy posiłek, tylko leżał w swojej chacie, która, choć gorąca, była chłodna w porównaniu z tym piecem, jakim był dom Turnerów. O czwartej obudził się z niespokojnego, gorączkowego snu i bardzo chciało mu się pić. Butelka po whisky, zwykle zawierająca wodę, okazała się pusta; służący zapomniał ją napełnić. Tony wyszedł więc w jaskrawy żółty blask, żeby przynieść sobie wody z domu. Tylne drzwi były otwarte; wszedł cicho, nie chcąc obudzić Mary, która – o czym wiedział – sypiała po południu. Wziął szklanę z suszarki, wytarł ją starannie, po czym poszedł do bawialni po wodę. Na półce służącej za pomocniczy stolik stał ceramiczny dzban z filtrem. Tony podniósł pokrywę i zajrzał do środka; filtr pokryty był żółtą mazią, ale z dzbana leciała czysta woda, choć ciepła i o nieco zatęchłym smaku. Napił

się raz, potem drugi i napełniwszy butelkę, odwrócił się, żeby wyjść. Zasłona między pokojem pełniącym rolę bawialni a sypialnią była odsunięta i zobaczył to drugie wnętrze. Zaskoczony, stanął jak wryty. Mary na skrzynce po świecach siedziała przed kwadratowym lustrem wiszącym na gwoździu wbitym w ścianę. Była w krzykliwie różowej halce, spod której ostro sterczały kościste, żółte ramiona. Obok niej stał Moses i Tony zobaczył, jak ona wstaje i podnosi ręce, a służący pomaga jej włożyć sukienkę. Następnie usiadła, ujęła rękami włosy i potrząsnęła nimi gestem pięknej kobiety podziwiającej własną urodę. Moses zapinał sukienkę, Mary patrzyła w lustro. Kiedy skończył, cofnął się i czekał, a ona wzięła się do szczotkowania włosów. „Dziękuję, Moses” – powiedziała głośno, władcym tonem. Odwróciła się i dodała bardziej poufale: „Lepiej już idź. Pan zaraz przyjdzie”. Tubylec wyszedł z pokoju. Kiedy zobaczył białego człowieka, patrzącego z niedowierzaniem, zawahał się, po czym ruszył dalej, mijając go bezszelestnie ze złowrogim błyskiem w oku. Jego złość była tak widoczna, że Tony poczuł lęk. Gdy został sam, usiadł na krześle, otarł pot z twarzy i mocno potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić. Przychodziły mu do głowy sprzeczne myśli. Na tyle długo już tu był, że przeżył szok; jednocześnie jego „postępowość” została mile usatysfakcjonowana tym świadectwem hipokryzji białej klasy rządzącej. Otóż właśnie hipokryzja – jak to określał Tony – była pierwszą rzeczą, jaka uderzyła go po przyjeździe do kraju, w którym wszędzie tam, gdzie mieszka samotny biały mężczyzna, wśród tubylców natychmiast pojawia się mnóstwo mieszanych rasowo dzieci. Z drugiej jednak strony wystarczająco dużo naczytał się książek z zakresu psychologii, by rozumieć seksualny aspekt segregacji rasowej, ten, u którego podstaw leży zazdrość białego człowieka o nadzwyczajną potencję tubylca, i był zdumiony, że istota tak pilnie strzeżona, biała kobieta,

bez trudu omija tę barierę. A przecież poznany na statku doktor, który miał za sobą wiele lat praktyki na odległych terenach wiejskich, powiedział mu, że zdziwiłby się, wiedząc, jak wiele białych kobiet ma tego rodzaju kontakty z czarnymi mężczyznami. Wtedy jeszcze Tony rzeczywiście by się zdziwił; mimo całej „postępowości” było to bowiem dla niego trochę tak jak kontakty ze zwierzętami.

Nagle wszystkie te myśli pierzchły, gdy stanął twarzą w twarz z Mary – biedną, skrzywioną psychicznie kobietą, najwyraźniej w ostatnim stadium załamania nerwowego, która właśnie wyszła z sypialni, wciąż trzymając jedną rękę we włosach. Na widok jej twarzy, która była niewinna i szczerą – choć na wpół obłąkana – uznał, że jego podejrzenia są nonsensowne.

Ujrzawszy go, stanęła jak wryta i patrzyła z lękiem. Z wolna jednak niepokój ustąpił z jej twarzy, która stała się pusta i obojętna. Nie rozumiał tej nagłej zmiany. Odezwał się niby żartobliwie, a w sumie dość niezręcznie:

– Była w Rosji caryca, która do tego stopnia nie uważała swoich służących za ludzi, że chodziła przy nich nago. – W ten sposób postanowił wytłumaczyć incydent; inny sposób byłby dla niego za trudny.

– Naprawdę? – spytała z powątpiewaniem, jakby zaskoczona.

– Czy ten Murzyn zawsze panią ubiera i rozbiera?

Gwałtownie uniosła głowę, w jej oczach pojawiła się chytryść.

– Nie ma zbyt wiele do roboty – odparła, jeszcze wyżej zadzierając głowę. – Niech więc jakoś zapracuje na swoje wynagrodzenie.

– To nie jest w zwyczaju tutaj, w tym kraju, prawda? – spytał wolno, kompletnie tym wszystkim zaskoczony.

Zauważył, że słowa „w tym kraju”, będące niczym zew solidarności dla większości białych ludzi, na niej nie robią

wrażenia. Dla niej istniała tylko farma. Nawet nie to, istniał tylko ten dom i to, co się w nim znajdowało. Teraz zaczął rozumieć – co wzbudziło jego przerażenie i litość – jej całkowitą obojętność dla Dicka. Odcięła się od wszystkiego, co kłóciło się z jej poczynaniami, co przypominałoby o zasadach, według których powinna postępować zgodnie z otrzymanym wychowaniem.

Odezwała się nagle:

– Powiedziały, że nie jestem taka, nie jestem taka, nie jestem taka. – Zupełnie jakby się zaciął gramofon.

– Jaka? – spytał, nic nie rozumiejąc.

– Taka. – Ta krótka odpowiedź zawierała w sobie spryt i tryumf.

Boże, ta kobieta jest kompletnie szalona! – rzekł do siebie. I pomyślał: Czy rzeczywiście? Czy to możliwe? Nie zachowuje się jak szalona. Zachowuje się po prostu tak, jakby żyła we własnym świecie, w którym ogólnie przyjęte standardy w ogóle się nie liczą. Jakby zapomniała o swoich pobratymcach. Ale, z drugiej strony, czym jest szaleństwo, jeśli nie wycofaniem się w siebie, ucieczką od świata?

Przerażony i zdezorientowany, Tony siedział na krześle obok dzbana z wodą, ściskając w ręku butelkę i szklanę, i patrzył z niepokojem na Mary. Tymczasem ona zaczęła mówić smutnym, cichym głosem, który sprawił, że młody człowiek znów zmienił zdanie, dochodząc do wniosku, że ona nie jest szalona, przynajmniej nie w tym momencie.

– Tyle czasu minęło, odkąd tu przyjechałam – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Już nawet nie pamiętam ile... Dawno powinnam wyjechać. Nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Nie wiem, czemu przyjechałam. Ale teraz jest inaczej. Zupełnie inaczej. – Urwała. Na jej twarzy pojawiła się żalność, w oczach malował się ból. – Nic nie wiem. Nie rozumiem. Dlaczego tak się dzieje? Wcale tego nie chciałam. Ale on nie odejdzie, nie odejdzie. – I nagle

zupełnie innym głosem rzekła ostro: – Po co pan się tu zjawiał? Wszystko szło dobrze, póki pana nie było. – Rozpłakała się żałośnie, jęcząc: – On nie odejdzie.

Tony wstał i chciał podejść do niej. Jedyne, co czuł teraz, to litość; zapomniał o swoich rozterkach. Coś sprawiło, że się odwrócił. W drzwiach stał służący, Moses, i patrzył na nich oboje z groźną, złą twarzą.

– Odejdź – powiedział Tony. – Odejdź natychmiast.

Objął Mary, a ona wzdrygnęła się i wbiła mu palce w ciało.

– Odejdź – odezwała się nagle zza jego ramienia do tubylca.

Tony uświadomił sobie, że w ten sposób manifestuje swoje prawa, używa go jak tarczy w walce o odzyskanie utraconego przywództwa. Była jak dziecko stawiające się dorosłemu.

– Madame chce, żebym odszedł? – spytał służący cicho.

– Tak, odejdź.

– Madame chce, żebym odszedł przez tego pana?

To nie treść słów sprawiła, że Tony poderwał się i ruszył w stronę drzwi, ale sposób, w jaki zostały wypowiedziane.

– Wynoś się – powiedział, dławiąc się z gniewu. – Wynoś się, zanim cię wyrzucę.

Obrzuciwszy go długim, niedobrym spojrzeniem, tubylec wyszedł. Po chwili wrócił. Ignorując Tony'ego, zwrócił się do Mary:

– Madame wyjeżdża z farmy, tak?

– Tak – odparła Mary słabym głosem.

– Madame nigdy nie wróci?

– Nie, nie, nie! – wykrzyknęła.

– Ten pan też wyjeżdża?

– Nie! – wrzasnęła. – Odejdź.

– Idziesz czy nie?! – krzyknął Tony.

W tym momencie mógłby zabić tego czarnego; miał

ochotę chwycić go za gardło i dusić tak długo, aż uszłoby z niego życie. I wtedy Moses odszedł. Słyszeli, jak przechodzi przez kuchnię i wychodzi tylnymi drzwiami. Mary łkała, przechylając głowę. „Odszedł, odszedł – płakała. – Odszedł, odszedł”. W rozhisteryzowanym głosie dała się słyszeć ulga. Nagle odepchnęła Tony’ego i jak kompletna wariatka wysyczała gniewnie:

– To ty go wyrzuciłeś! Już nigdy nie wróci! Wszystko było dobrze, póki się tu nie zjawiłeś.

I upadła na kanapę, zalewając się łzami. Tony usiadł koło niej, objął ją, pocieszał. Zastanawiał się: „Co ja powiem Turnerowi?”. Co zresztą miał powiedzieć? Najlepiej zostawić całą sprawę w spokoju. Ten człowiek i bez tego był na wpół oszalały od trosk. Mówienie mu czegokolwiek byłoby okrucieństwem; w każdym razie i tak za dwa dni ci dwoje wyjadą z farmy.

Postanowił, że porozmawia z Dickiem w cztery oczy i zasugeruje, żeby tego tubylca natychmiast zwolnić.

Ale Moses nie wrócił. Nie pojawił się wieczorem. Tony usłyszał, jak Dick pyta, gdzie jest służący, i odpowiedź Mary: „Odprawiłam go”. Głos miała obojętny i głuchy; zauważył, że mówiąc do Dicka, w ogóle go nie widzi.

W końcu Tony zrezygnowany wzruszył ramionami i postanowił nic nie robić. Następnego ranka udał się w pole, jak zwykle. Nadszedł ostatni dzień pobytu Dicka; było sporo do roboty.

## Rozdział 11

Mary obudziła się nagle, jakby ze snu wyrwało ją szturchnięcie jakiegoś dużego łokcia. Była jeszcze noc. Dick spał obok. Zawiasy okna skrzypiały lekko. Patrząc w jego ciemny prostokąt, widziała gwiazdy błyszczące między konarami drzew. Niebo było rozjaśnione, ale z nutą zimnej szarości; gwiazdy świeciły jasno bladym światłem, dobywającym z mroku wnętrza pokoju. Błysk widziany przez Mary na ścianie był taflą lustra. Gdzieś w osadzie zapiał kogut, zaraz potem kilka innych, donośnych głosów odpowiedziało na świt. Światło dnia? Światło księżyca? Oba. Zlały się w jedno; za pół godziny będzie świtać. Ziewnęła i ułożywszy głowę na nierównej, gruzłowatej poduszce, wyciągnęła się wygodnie. Przyszło jej do głowy, że zwykle budzi się z trudem i opuszcza bezpieczne zacisze łóżka z niechęcią. Dzisiaj była natomiast spokojna i odprężona. Umysł pracował jasno, ciało miało się dobrze. Podłożywszy ręce pod głowę, patrzyła w mrok kryjący znajome ściany i meble. Leniwie w wyobraźni odtwarzała wygląd pokoju, umiejscawiając kolejno szafy i krzesła; potem w myślach oglądała z zewnątrz dom, wyłuskany z nocy, jakby trzymała go na dłoni. W końcu wyobraziła sobie, że patrzy na otoczony buszem dom z dużej wysokości, i ogarnęła ją



wielka, tkliwa, pełna spokoju litość. Miała wrażenie, iż trzymając w dłoni tę biedną, żalostną farmę wraz z jej mieszkańcami, chroni ją przed spojrzeciami okrutnego świata. Strasznie chciało się jej płakać. Po policzkach spłynęły łzy i zapiekły boleśnie. Uniosła rękę i dotknęła skóry. Zetknięcie szorstkiego palca z wysuszoną skórą policzka przywróciło ją do rzeczywistości. Płakała jeszcze, ale już inaczej; płakała nad sobą, choć nadal zachowując pełen wyrozumiałości dystans do wszystkiego. Dick poruszył się, obudził i od razu usiadł. Wiedziała, że odwrócił głowę w jej stronę i nasłuchuje w ciemności, leżała więc zupełnie nieruchomo. Poczowała nieśmiały dotyk jego ręki na policzku. To wstydlive, przepraszające dotknięcie zirytowało ją i cofnęła śpiesznie głowę.

- Co się stało, Mary?
- Nic – odparła.
- Żałujesz, że wyjeżdżasz?

Pytanie wydało się jej śmieszne; w ogóle jej nie dotyczyło. Nie chciała myśleć o Dicku. Dla niego pozostała jej jedynie obojętna, pozbawiona wszelkich emocji litość. Czy nawet w tym ostatnim momencie nie może jej zostawić w spokoju?

- Śpij – powiedziała. – Jeszcze jest noc.

Głos jej wydał mu się normalny; nawet to odrzucenie też było na tyle znajome, że nie wybiło go ze snu. Za chwilę znowu spał, wyciągnięty wygodnie, jakby się w ogóle nie budził. Jednak teraz nie mogła już o nim zapomnieć: wiedziała, że leży obok, czuła jego nogi tuż przy swoich. Przepęłniła ją gorycz wobec tego człowieka, który nigdy nie dawał jej spokoju. Ciągle był i z uporem przypominał o tym, o czym pragnęła zapomnieć, żeby mogła pozostać sobą. Usiadła, oparła głowę na złączonych dłoniach, uświadamiając sobie nawrót dawnego napięcia, wrażenia, jakby była sztywno rozciągnięta między niedającymi się poru-

szyc biegunami. Wolno i bezmyślnie kołysała się w przód i w tył, starając się zapaść z powrotem w ten rejon umysłu, gdzie Dick nie istniał. Albowiem dawno dokonał się wybór – jeśli taką oczywistość w ogóle można nazwać wyborem – między Dickiem a tym drugim, i Dick został unicestwiony. „Biedny Dick”, stwierdziła, nareszcie spokojnie, znowu nabierając do niego dystansu. W tym momencie poczuła ukłucie strachu, będące zapowiedzią tego strachu, który miał nadejść później. Wiedziała o tym doskonale; miała wrażenie, że jest przezroczysta, wszystko widzi i wszystko w sobie niesie. Tylko nie Dicka. Nie. Spojrzała na skulonego pod kocem męża, na jego twarz, bladą w świetle budzącego się świtu, który nadciągał od niewielkiego prostokąta okna. Ze światłem nadchodził ciepły, duszny powiew. „Biedny Dick”, pomyślała po raz ostatni i nie wracała już więcej do niego myślą.

Wstała z łóżka i stanęła przy oknie. Niski parapet znajdował się na wysokości ud. Wychyliwszy się z okna, mogłaby dotknąć otaczającej dom ziemi, która ciągnęła się, wznosząc lekko, aż do linii drzew. Gwiazdy już znikły. Niebo było bezbarwne i rozległe. Kotlinę spowijał jeszcze mrok. Wszystko znajdowało się na pograniczu koloru. Na liściach tylko nieśmiało błyskała zieleń, lśnienie nieba było prawie niebieskie, postrzępiony gwiazdzisty kontur kwiatów poinsecji zaledwie sugerował intensywność szkarłatu.

Z wolna na niebie rozlewał się cudny różowy rumieniec, zabarwione od niego drzewa czekały na spotkanie świtu. Wychylona przez okno, Mary patrzyła, jak świat nabiera kształtów i kolorów. Noc się skończyła. Pomyślała, że kiedy słońce wstanie, skończy się ta chwila; cudowna chwila spokoju i przebaczenia, dana jej przez miłosiernego Boga. Przywarła do parapetu, kurczowo czepiając się resztek szczęścia, a umysł miała jasny jak samo niebo. Dlaczego tego ostatniego ranka obudziła się spokojnie i z przyjemne-

go snu, a nie, jak zwykle, z jednego z tych wstrętnych koszmarów, które prześladowały ją potem przez cały dzień, tak iż wydawało się, że nie ma granicy między horrorami nocy a horrorami dnia? Jak to się stało, że patrzy teraz na wschód słońca, jakby świat został na nowo dla niej stworzony, i doznaje tej cudownej, głębokiej radości? Znajdowała się w mydlanej bańce światła, kolorów i rozkosznych dźwięków ptasiego śpiewu. Na wszystkich drzewach siedziało mnóstwo śpiewających ptaków, które głośiły jej szczęście, chórem wykrzykując je w niebo. Lekko jak piórko wybiegła z pokoju na werandę. Było tak pięknie, tak pięknie, że ledwo mogła znieść ten cud, to zarumienione niebo z czerwonymi smugami i czerwonawą mgiełką zasnuwającą intensywny błękit; piękne, nieruchome drzewa z mnóstwem śpiewających ptaków; barwne gwiazdziste poinsecje, bijące w oczy postrzępionym szkarłatem.

Czerwień rozchodząca się ze środka nieba zabarwiała mgłę dymu nad wzgórzami i rozświetlała drzewa gorącą, jaskrawą żółcią. Świat był kolorowym cudem, a wszystko to dla niej, wszystko dla niej! Aż chciało się jej płakać z ulgi i radosnej beztroski. Wtedy usłyszała dźwięk, którego nigdy nie mogła znieść, pierwszą cykadę odzywającą się wśród drzew. Zwiastowała słońce, a jakże ona słońca nienawidziła! Właśnie wstawało; za czarnymi skałami pojawiła się ponura czerwona krzywizna i słup gorącego żółtego światła wystrzelił w błękit. Kolejne cykady włączały się do jednostajnego, donośnego chóru, zagłuszając śpiew ptaków. Ten uporczywy niski ćwierk dla niej był głosem słońca obracającego się wokół rozpalonego jądra, głosem ostrego, silnego światła, głosem narastającego upału. Zaczęło pulsować jej w głowie, rozboleły ramiona. Mdły czerwony krąg wyskoczył nagle nad wzgórze i cały kolor spłynął z nieba; ciągnął się teraz przed Mary pejzaż suchy, spłaszczony przez słońce, burobrązowooliwkowy, zasnuty dymem osia-

dającym na drzewach i przesłaniającym wzgórze. Niebo się zatrzasnęło, grube żółtawe ściany dymu ruszyły na jego spotkanie. Świat skurczył się, zamknięty w upale, mgle i jaśkrawym świetle.

Zadrżała, ocknęła się i spojrzała dokoła, zwilżając suche usta językiem. Oparta plecami o cienką ceglana ścianę, wyciągała przed siebie ręce, jakby broniąc się przed dniem. Opuściła je, odsunęła się od ściany i obejrzawszy się, popatrzyła na miejsce, w którym stała przed chwilą. „Tam – powiedziała na głos. – To będzie tam”. Ten dźwięk własnego głosu, zimnego, rzeczowego, proroczego, zabrzmiał jak ostateczne ostrzeżenie. Ścisnęła dłońmi głowę i weszła do środka, uciekając z przeklętej werandy.

Dick nie spał, wkładał właśnie spodnie i zaraz miał pójść uderzyć w gong. Stojąc nieruchomo, czekała na dźwięczny ton. Nadpłynął, a wraz z nim pojawił się strach. On był tam gdzieś i słyszał gong zapowiadający ostatni dzień. Widziała go wyraźnie. Stał oparty o drzewo, patrząc na dom, i czekał. Wiedziała o tym. Ale jeszcze nie, powiedziała do siebie, jeszcze nie teraz; ma przed sobą dzień.

– Ubierz się, Mary – polecił Dick cicho.

Dopiero gdy powtórzył te słowa, dotarły do jej mózgu i postusznie poszła do sypialni, gdzie zaczęła wkładać ubranie. Nie mogąc dać sobie rady z guzikami, podeszła do progu i już miała zawołać Mosesa, który zwykle zapinał jej sukienkę, podawał szczotkę i związywał włosy, wykonując te czynności za nią, a ona nie musiała wtedy myśleć. Przez rozsunięte zasłony zobaczyła, że Dick i ten młody człowiek siedzą przy stole i jedzą posiłek, który nie ona przygotowała. Przypomniało się jej, że Moses odszedł. Co za ulga! Będzie sama, sama przez cały dzień. Przynajmniej skupi się na tej jednej jedynej rzeczy, na której naprawdę jej zależało. Zobaczyła, że Dick wstaje i z wyraźnym bólem na twarzy zaciąga haftowane płótno; zrozumiała wtedy, że stała w sa-

mej bieliźnie w obecności tego młodego człowieka. Policzki poczerwieniały jej ze wstydu. Zanim jednak zbawcza niechęć go wyparła z jej świadomości, zapomniała o Dicku i o młodym człowieku. Wolno, pomalutku dokończyła ubierania się, robiąc długie przerwy między poszczególnymi czynnościami – przecież ma przed sobą cały dzień – i wreszcie wyszła z sypialni. Na stole pozostały naczynia; panowie udali się do pracy. Na półmisku pełno było zastygłego, białego tłuszczu; pomyślała, że musieli wyjść już dość dawno.

Apatycznie pozbierała talerze, zaniosiła je do kuchni, napełniła zlew wodą i zapomniała, co ma dalej robić. Stojąc nieruchomo, z opuszczonymi beczynnymi rękami, pomyślała: „On czeka gdzieś na dworze, pod drzewami”. W panice obiegła dom, pozamykała drzwi i okna, po czym padła na kanapę, czując się jak zajęć skulony w kępie trawy, z biciem serca obserwujący zbliżające się psy. Ale na razie nie ma co czekać; umysł podpowiadał, że ma cały dzień. Dopiero gdy nadejdzie noc... Znow trochę rozjaśniło się jej w głowie.

O co w tym wszystkim chodzi? – zastanawiała się ospale, przyciskając palce do oczu, aż ujrzała pod powiekami złote błyski. Nie rozumiem, powiedziała. Nie rozumiem... W myślach wrócił obraz jej samej, stojącej wysoko nad domem, na jakiejś niewidzialnej górze, patrzącej w dół jak sędzia na salę sądową. Tym razem jednak nie doznała ulgi, tylko udręki, gdy w krótkim momencie bezlitosnej jasności umysłu zobaczyła siebie. Kiedy już będzie po wszystkim, zobaczą ją właśnie taką: koścista, brzydka, żałosna kobieta, której nie zostało z danego jej życia nic oprócz jednej myśli – że między nią a wściekłym słońcem jest cienka płachta rozpalonego żelaza, a między nią i ostateczną ciemnością jest krótki okres dziennego światła. A że czas upodobnił się do przestrzeni, patrząc z góry, widziała nie tylko Mary Turner kołyszącą się w kącie kanapy, pojękującą i trącą oczy,

lecz także dawną Mary Turner, głupią dziewczynę, nieświadomie zmierzającą do takiego końca. Nie rozumiem, powiedziała znowu. Nic nie rozumiem. Jest tu gdzieś zło, ale na czym polega, tego nie wiem. Nawet słowa nie były jej własne. Jęknęła w nieznośnym napięciu, jednocześnie wydając na siebie niełatwy wyrok i będąc osądzana, wiedząc jedynie, że cierpi mękę nie do opisania. Przecież zło było czymś, co potrafiła wyczuć; czyż nie żyła z nim przez całe lata? Jak długo? Jeszcze zanim przyjechała na farmę! Nawet tamta dziewczyna je znała. I co zrobiła? I czym ono było? Co zrobiła? Nic, i to z własnego wyboru. Stopniowo doszła do tego, że siedzi bezradnie na starej, zniszczonej, śmierdzącej kurzem kanapie i czeka nadejścia nocy, która przyniesie jej kres. I słusznie; wiedziała o tym. Ale dlaczego? Przeciw czemu zgrzeszyła? Sprzeczność między wydanym na siebie wyrokiem a poczuciem niewinności – bo przecież była popychana do działania przez coś kompletnie niezrozumiałego – rozbijała spójność obrazu. Podniosła raptownie głowę, bo przyszło jej na myśl, że drzewa zewsząd napierają na dom, obserwują, czekają nadejścia nocy. Kiedy jej nie będzie, pomyślała, dom zostanie zniszczony. Zamordowany przez busz, który go zawsze nienawidził, zawsze trwał dokoła w milczeniu, czekając na odpowiedni moment, by ruszyć naprzód i pochłonąć go na wieki, tak by nic nie zostało. Ujrzała dom pusty, z butwiejącymi meblami. Najpierw przyjdą szczury. Już biegały w nocy po belkach, ciągnąc za sobą długie, gołe ogony. Będą się roić na meblach i murach, gryząc i niszcząc wszystko, aż nie zostanie nic oprócz cegieł i żelaza, a podłogi pokryje gruba warstwa ich odchodów. Następnie przyjdzie kolej na żuki: wielkie, czarne, chrzęszczące żuki przywędrują z *veldu* i zamieszkają w szparach między cegłami. Niektóre już były, ruszały czułkami i patrzyły oczkami jak szpileczki. Potem zaczną się deszcze. Niebo podniesie się

i oczyści, drzewa urosną, zieleń stanie się bujniejsza, powietrze będzie lśniło jak woda. W nocy deszcz będzie bębnił w dach bez chwili przerwy, aż na pustej przestrzeni przed domem wystrzeli trawa, za nią pójda krzaki; w następnym sezonie pnące porośnie werandę i zrzuci blaszanki z roślinami, które stoczą się w kielkującą masę młodej vegetacji; geranium będzie rośło obok dzikich chaszczy. Gałąź wepchnie się przez wybite okno, ramiona drzew pomalutku będą napierać na cegły, tak że te w końcu poddadzą się, skruszą i rozpadną w ostateczną ruinę wraz z płachtami rdzewiejącej blachy zaczepionymi na krzakach, z żabami oraz robakami długimi jak szczurze ogony albo białymi i tłustymi jak ślimaki bez skorupy. W końcu busz pochłonie całą tę zwaloną masę, i nie zostanie nic. Ludzie będą szukać domu. Natrafią na kamienny schodek sterczący obok pnia i powiedzą: „Tu musiał stać kiedyś dom Turnerów. Zabawne, jak szybko busz porasta wszystko, co się zostawi na jego pastwę!”. I grzebiąc w tym miejscu, odsuwając nogą jakąś roślinę, znajdą klamkę sterczącą z płataniny łodyg albo fragment porcelany w stosie kamyków. A kawałek dalej będzie pagórek rdzawego błota przykryty gnijącą strzechą, przypominającą włosy nieboszczyka; tyle zostanie z chaty Anglika; w miejscu, gdzie był sklep, pojawi się rumowisko. Dom, sklep, kurniki, chata – wszystko zniknie, nic nie zostanie, busz zarośnie wszystko! W myślach widziała masy zielonych, wilgotnych gałęzi, grubej wilgotnej trawy i natrętnych krzaków. Nagle wszystko się zamknęło; wizja się skończyła.

Podniosła głowę i rozejrzała się. Siedziała w małym pokoju pod blaszanym dachem, po jej ciele spływał pot. Wszystkie okna były zamknięte, to przecież nie do wytrzymania. Wybiegła na dwór. Nie ma sensu siedzieć tak i czekać, czekać, aż drzwi się otworzą i wejdzie śmierć. Po twardej, spalonej ziemi, lśniacej od drobin piasku, pobiegła

w stronę drzew. Drzewa nienawidziły jej, ale nie mogła wysiedzieć w domu. Weszła między nie i od razu poczuła na ciele ich cień; dokoła słychać było cykady dzwoniące bez końca, natarczywie. Wchodziła coraz głębiej w busz, myśląc: „Spotkam go i będzie po wszystkim”. Przedzierała się przez połacie jasnej trawy, krzaki czepiały się jej sukienki. W końcu przystanęła i oparta o drzewo zamknęła oczy. W uszach jej szumiało, skóra bolała. Zastygła w oczekiwaniu. Ależ ten hałas był nie do zniesienia! Jedno brzęczenie rozlegało się całkiem blisko. Otworzyła oczy. Przed nią rosło młode drzewko, jego szarawy pień miał zgrubienia jak stare, pokręcone drzewo. Ale to nie były zgrubienia. Siedziały tam te trzy okropne owady śpiewające swoją pieśń; nie zważając na nią, niepomne niczego z wyjątkiem życiodajnego słońca. Podeszła bliżej i przyjrzała się im. Że też takie małe stworzonka wydają tak okropny dźwięk! Nigdy jeszcze ich nie widziała. Nagle uświadomiła sobie, że od tylu lat mieszka w tym domu otoczonym buszem i ani razu nie weszła między drzewa, nigdy nie zeszła ze ścieżki. Co roku, przez gorące suche miesiące, z napiętymi do granic możliwości nerwami słuchała tego piekielnego odgłosu i nigdy nie widziała owadów, które go wydawały. Podniosła głowę. Stała w pełnym słońcu, które zdawało się wisieć tak nisko, że wystarczyłoby sięgnąć ręką, by je zerwać z nieba: wielkie czerwone słońce, zasnutę dymem. Wyciągnęła w górę rękę, która otarła się o liście; coś odleciało z furkotem. Z cichym okrzykiem strachu pobiegła z powrotem na polanę. Tam stanęła nieruchomo, przyciskając dłoń do gardła.

Przed domem stał tubylec. Przyłożyła rękę do ust, żeby zdławić krzyk. Po chwili okazało się, że to inny tubylec; miał w ręku kartkę. Trzymał ją tak, jak niepiśmienni krajowcy obchodzą się zawsze z zapisanym papierem, jakby to było coś, co może im wybuchnąć w twarz. Podeszła do niego i wzięła kartkę. Przeczytała: „Nie wrócimy na lunch. Za



dużo roboty. Przyślij herbatę i kanapki". Ten słaby sygnał dochodzący z zewnętrznego świata nie zrobił na niej większego wrażenia. Zirytowała się tylko, myśląc: znowu Dick. Z kartką w ręku wróciła do domu i pootwierala okna, gniewnie je szarpiąc. Co ten służący sobie myśli! Tyle razy kazała mu zostawiać okna otwarte... Spojrzała na kartkę; skąd się to tu wzięło? Usiadła na kanapie, zamknęła oczy. Przez szare majaki snu usłyszała pukanie do drzwi i najpierw zerwała się, po czym usiadła ze znużeniem i z drżeniem czekała. Pukanie rozległo się znowu. Ociężale wstała z kanapy i podeszła do drzwi. Za nimi stał tubylec. „Czego chcesz?” – spytała. Wskazał z daleka kartkę leżącą na stole. Przypomniało się jej, że Dick prosił o herbatę. Zaparzyła ją, nalała do butelki po whisky i posłała przez tubylca, zapomniawszy kompletnie o kanapkach. Myślała tylko, że młodemu człowiekowi będzie się chciało pić; nie był przyzwyczajony do tego kraju. Słowa „ten kraj”, bardziej docierające do jej świadomości niż Dick, drażniły ją jak wspomnienie, którego nie chciała wskrzeszać. Ale wciąż myślała o młodym człowieku. Zamknąwszy oczy, widziała go wyraźnie: młoda, trochę nijaka, sympatyczna twarz. Był dla niej dobry; nie potępił jej. Nagle stwierdziła, że intensywnie o nim myśli. Uratuje ją. Zaczeka na jego powrót. Stała w drzwiach, patrząc na zżółkłą, wyschniętą kotlinę. On czeka wśród drzew, a gdzieś w kotlinie jest młody człowiek, który przybędzie przed nocą i ją ocali. Prawie nie mrugała powiekami w jasnym słońcu. Ale co się stało z tym dużym polem, tam dalej, które zawsze o tej porze roku zmieniało się w rdzawą połąć! Porośnięte było krzakami i trawą. Ogarnęła ją panika; no tak, jeszcze nie umarła, a busz i tak podbija farmę, już wysyła pierwszych zwiadowców, już zajmuje dobrą glebę krzakami i trawą; busz wie, że ona umrze! Młody człowiek... W tej chwili nie myślała już o niczym innym tylko o tym, jak ją pocieszał, jak

bezpieczne było jego ramię. Wychyliła się nad murkiem werandy i spomiędzy stojących na nim kwiatów geranium wypatrywała nad kotliną chmury rdzawego pyłu, zwiastującej nadjeżdżający samochód. Ale prawda, nie mają już samochodu; samochód został sprzedany... Siły ją opuściły, usiadła, oddychając z trudem, i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, światło zmieniło się, przed domem ciągnęły się cienie. W powietrzu czuło się już późne popołudnie, gorące, pełne kurzu, świetliste, donośnie dźwięczący dzwon żółtego światła, który wlewał się do głowy jak ból. Spała. Przespała cały ostatni dzień. A może on wtedy wszedł do domu i szukał jej? W przypiływie rozpaczliwej odwagi zerwała się i poszła do frontowego pokoju. Był pusty. Ale nie miała wątpliwości co do tego, że tu był; obserwował ją przez okno. Drzwi kuchenne są otwarte, oto dowód. Może to właśnie ją obudziło, jego obecność tutaj, spojrzenie; może nawet wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć? Wzdrygnęła się i zadrżała.

Młody człowiek ją ocali. Pocieszona myślą o jego powrocie, co niedługo już pewnie nastąpi, wyszła z domu tylnymi drzwiami i poszła w stronę jego chaty. Przy przechodzeniu przez niski ceglany próg musiała się nachylić. Ach, jak ten chłód we wnętrzu rozkoszny był dla skóry! Usiadła na łóżku i oparła głowę na rękach, czując pod stopami zimno cementowej podłogi. Wstała; nie wolno jej znowu zasnąć. Pod kolistą ścianą chatki stał rząd butów. Spojrzała na nie z podziwem. Dobre, eleganckie buty; od lat takich nie widziała. Podniosła jeden i dotykając z namaszczeniem lśniącej skóry, spojrzała na markę. „John Craftsman, Edynburg”. Zaśmiała się, nie wiedząc dlaczego. Odłożyła but. Na podłodze stała wielka waliza, której nie miałyby siły unieść. Otworzyła ją. Książki! Jej podziw znacznie wzrósł. Tak dawno nie widziała książek, że miała trudności z czytaniem. Spojrzała na tytuły: *Rhodes i jego wpływ, Rhodes*

*i duch Afryki, Rhodes i jego misja.* „Rhodes” – powiedziała w zamyśleniu na głos. Nic o nim nie wiedziała, z wyjątkiem tego, czego uczono ją w szkole, a tego nie było zbyt wiele. Tyle że podbił kontynent. „Podbił kontynent”, powiedziała głośno, dumna, iż pamięta to zdanie po tak długim czasie. „Rhodes siedział na odwróconym wiadrze przy wykopie, marząc o swoim domu w Anglii i o niepodbitych dotąd ziemiach”. Zaczęła się śmiać; wydało się jej to nadzwyczaj zabawne. Po chwili zapomniała o Angliku, Rhodesie i książkach. Pomyślała: „Ależ ja nie byłam w sklepie”. Wiedziała, że musi tam pójść.

Ruszyła wąską ścieżką, która już prawie znikła. Było to właściwie przejście wycięte w buszu, zarośnięte trawą. Kilka kroków od niskiego budynku z cegły przystanąła. No i jest, wstrętny sklep. Obecny przy śmierci, tak jak towarzyszył jej przez całe życie. Pusty w środku; gdy tam wejdzie, na półkach nie będzie nic; mrówki tylko pozostawiały na ladzie czerwone ślady swoich przemarszów, a ściany otulały płachty pajęczyn. Pusty, ale wciąż jest i stoi. W przyptywie nienawiści uderzyła pięścią w drzwi. Otworzyły się na oścież. Dawny zapach wciąż się utrzymywał i od razu ją spowitł: stęchły, ciężki i słodki. Zajrzała do wnętrza. Stał za ladą, jakby sprzedawał towary. Moses, czarny mężczyzna, patrzył na nią leniwie, ale groźnie i z pogardą. Wydała lekki okrzyk, wypadła ze sklepu i uciekła z powrotem ścieżką, oglądając się za siebie. Drzwi poruszyły się, lecz on nie wyszedł. A więc tam czekał! Teraz była pewna, że spodziewała się tego przez cały czas. Oczywiście, a gdzież by miał czekać, jak nie w przeklętym sklepie? Wróciła do chatki. Młody człowiek już wrócił i spoglądał na nią zdziwiony; pochylony nad książkami rozrzuconymi przez nią na podłodze, wkładał je z powrotem do walizki. Nie, on nie potrafi jej ocalić. Ciężko usiadła na łóżku, czuła się chora i bezradna. Nie ma ratunku. Musi przez to przejść do końca.

Widząc jego zdziwioną i zmartwioną twarz, odniosła wrażenie, że kiedyś już coś takiego przeżywała. Gorączkowo zaczęła szukać w przeszłości. Tak. Dawno, dawno temu zwróciła się do innego młodego mężczyzny, mężczyzny z farmy, bo miała problem i nie wiedziała, co robić. Myślała, że wychodząc za niego, uratuje się przed samą sobą. A potem czuła tę samą co teraz pustkę, gdy w końcu okazało się, że nie ma ratunku i że będzie żyć na farmie do śmierci. Nawet w śmierci nie było nic nowego. Wszystko to tak dobrze znane; również poczucie bezradności.

Wstała z miejsca z niespodziewaną godnością, co zamknęło Tony'emu usta, gdyż pełne litości współczucie, z jakim miał zamiar się do niej zwrócić, teraz wydało mu się nie na miejscu.

Sama musi pójść tą drogą, pomyślała. Tego nauczyło ją życie. Gdyby wiedziała to dawno temu, nie stałaby tutaj teraz, zdradzona po raz drugi, po raz drugi niepewnie zawierzywszy istocie ludzkiej, po której nie ma co oczekiwać, że weźmie za nią odpowiedzialność.

– Pani Turner... – odezwał się z zakłopotaniem młody człowiek. – Czy pani chciała ze mną o czymś porozmawiać?

– Tak – odparła. – Ale to nie ma sensu. To nie pan... – Nie wyjaśniła nic więcej. Obejrzała się na wieczorne niebo; na blednącym błękitnie rysowały się podłużne kształty różowych chmur. – Piękny wieczór – rzekła obojętnie.

– Owszem. Pani Turner...? Rozmawiałem z pani mężem.

– Tak? – spytała uprzejmie.

– Pomyśleliśmy... Dobrze by było, żeby jutro, kiedy dojadą państwo do miasta, udała się pani do lekarza. Pani jest chora.

– Jestem chora od wielu lat – odparła cierpko. – W środku. Gdzieś w środku. Właściwie nawet nie chora, rozumie pan? Coś gdzieś jest nie tak. – Skinęła mu głową i prze-

stąpiła przez próg. Odwróciła się. – On tu jest – szepnęła tajemniczo. – Tam. – Pokazała sklep.

– Tak? – spytał grzecznie młody człowiek, nie chcąc jej denerwować.

Wróciła do domu, przyglądając się po drodze zabudowaniom, które wkrótce przestaną istnieć. Tam, gdzie kiedyś chodziła po ciepłym piasku ścieżki, wśród drzew i trawy panoszyć się będą zwierzęta i owady.

Weszła do domu gotowa na długie czuwanie przed śmiercią. Z rozmysłem, pełna stoickiej dumy, zasiadła na starej kanapie, wygniecionej w kształt jej ciała, złożyła ręce na kolanach i patrząc w okno, czekała na zmierzch. Po chwili uświadomiła sobie, że przy stole, pod zapaloną lampą, siedzi Dick i patrzy na nią.

– Skończyłaś się pakować? – spytał. – Wiesz, że jutro rano musimy wcześniej wyjechać.

Zaczęła się śmiać.

– Jutro! – powtórzyła. Zaniosała się śmiechem.

On wstał i śpiesznie wyszedł, przyciskając dłoń do ust.

Dobrze, teraz jest sama.

Potem przyglądała się, jak mężczyźni przynoszą naczynia, jedzenie i zasiadają do posiłku. Zaproponowali jej filiżankę jakiegoś płynu, odmówiła niecierpliwie, nie mogąc się doczekać, kiedy sobie pójdą. Wkrótce będzie po wszystkim; wkrótce, za kilka godzin, będzie po wszystkim. A oni nie chcieli iść. Siedzieli tam chyba ze względu na nią. Wyszła na zewnątrz, po omacku szukając krawędzi drzwi. Upał nie zelżał; niewidoczne ciemne niebo pochylało się nad domem, ciężąc na nim. Za plecami usłyszała, że Dick mówi coś o deszczu. „Będzie padać – powiedziała do siebie. – Jak już będę martwa”.

– Idziemy spać?! – zawołał w końcu Dick.

Pytanie nie mogło mieć z nią chyba nic wspólnego. Stała

na werandzie, wiedząc, że tu ma czekać, i wypatrywała w ciemności ruchu.

– Chodź spać, Mary!

Zrozumiała, że musi się położyć, inaczej nie dadzą jej spokoju. Automatycznie zgasiła lampę we frontowym pokoju i poszła zamknąć kuchenne drzwi na klucz. To bardzo ważne, żeby były zamknięte; musi osłaniać tyły, cios przyjdzie od frontu. Za drzwiami stał Moses zwrócony w jej stronę. Otoczony gwiazdami. Nogi się pod nią ugięły, cofnęła się i zamknęła drzwi na klucz.

– On jest na zewnątrz – oznajmiła Dickowi niemal bez tchu, jakby tego właśnie należało się spodziewać.

– Kto?

Nie odpowiedziała. Dick wyszedł na dwór. Słyszała, jak chodzi, widziała poruszający się snop światła lampy.

– Tam nic nie ma, Mary – powiedział po powrocie.

Skinęła głową, przyjmując to do wiadomości, i raz jeszcze poszła sprawdzić kuchenne drzwi. Teraz mrok nocy był pusty; Mosesa tam nie było. Pomyślała, że pewnie skrył się w buszu przed domem i tam na nią czeka. Wróciła do sypialni i zastygła na środku pokoju. Jakby zapomniała, jak ma się poruszać.

– Nie rozbierasz się? – spytał w końcu Dick tym swoim beznadziejnym, cierpliwym głosem.

Posłusznie zdjęła ubranie i położyła się do łóżka, czujna i rozbudzona, nasłuchując. Wyciągnął rękę i dotknął jej; natychmiast zobojętniała. Był daleko, nie liczył się, jak ktoś po drugiej stronie grubej szklanej ściany.

– Mary? – odezwał się.

Milczenie.

– Mary, posłuchaj. Jesteś chora. Musimy pójść do lekarza.

Wydawało się jej, że mówi to młody Anglik; to on troszczył się o nią, wierzył w jej niewinność, udzielił absencji.

– Oczywiście, że jestem chora – przyznała ufnie, zwraca-

cając się do Anglika. – Zawsze byłam chora, odkąd pamiętam. Jestem chora tutaj. – Usiadła i pokazała klatkę piersiową.

Ale ręka jej opadła i zapomniała o Angliku; głos Dicka pobrzmiewał jej w uszach jak echo niosące się doliną. Nasłuchiwała nocy na zewnątrz. Pomału ogarnął ją strach, o którym wiedziała, że musi przyjść. Położyła się, odwróciła twarz w stronę ciemności poduszek, ale w oczach miała pełno światła i na tle światła zobaczyła ciemny, czekający kształt. Usiadła znowu, trzęsąc się. Stał w pokoju, tuż obok! Ale pokój okazał się pusty. Nie było nic. Usłyszała huk pioruna i jak wiele razy przedtem ujrzała odbicie błyskawicy na pogrążonej w cieniu ścianie. Teraz wydawało się jej, że noc zbliża się do niej, a mały domek gniewił się jak świeca pod wpływem gorąca. Usłyszała trzask, trzask; niespokojne ugięcia żelaza w górze, i była przekonana, że to ogromne czarne ciało, niczym ludzki pająk, pełźnie po dachu, starając się dostać do środka. Była sama, była bezbronna. Była zamknięta w małym czarnym pudełku, ściany zbliżały się do niej, dach napierał z góry. Była w pułapce, przyparta do muru i bezradna. Musi stąd wyjść, jemu na spotkanie. Popędzana strachem, a jednocześnie pewna słuszności swoich poczynań, wstała z łóżka, nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu. Pomału, poruszając się niemal niedostrzegalnie, spuściła nogi z łóżka w ciemność; nagle wystraszyła się ciemnej otchłani podłogi i szybko pobiegła na środek pokoju. Przystanęła. Odbity na ścianie refleks błyskawicy kazał biec dalej. Przechodząc obok zasłony, otarła się o włochaty materiał, który przypominał w dotyku zwierzęcą skórę. Otrząsnęła się, gotowa do dalszej ucieczki przez frontowy pokój pełen złowieszczych kształtów. Znowu zwierzęce futro, tym razem pod stopami. Długie łapy dzikiego kota chwyciły ją za nogi; jęknęła cicho ze strachu i obejrzała się w stronę kuchennych drzwi. Były zamknięte i ciemne. Wy-

biegła na werandę. Zaczęła się cofać, aż oparła się plecami o ścianę. Teraz była osłonięta; stała tam, gdzie powinna. Doskonale wiedziała, że tak właśnie ma czekać. Wróciła do jakiejś takiej równowagi. Mgła strachu rozwiała się; w świetle błyskawicy ujrzała leżące na werandzie oba psy, patrzące na nią z podniesionymi głowami. Za trzema cienkimi słupami i parawanem geranium nie było widać nic, dopóki znów nie spłynęła błyskawica, a wtedy na otulonym chmurami niebie ukazały się zachłanne ramiona drzew. Patrząc na nie, miała wrażenie, że są coraz bliżej; z całej siły przywarła plecami do ściany, czując przez nocną koszulę szorstkie cegły wbijające się w ciało. Potrząsnęła głową, jakby się chciała od czegoś uwolnić, a drzewa stały nieruchomo i czekały. Wydawało się jej, że dopóki będzie skupiać na nich uwagę, nie zakradną się do niej. Musi się skoncentrować na trzech rzeczach: na drzewach, żeby nie rzuciły się na nią, gdy nie będzie patrzeć; na drzwiach wejściowych, z których mógł nadejść Dick; i na błyskawicy, która biegała i tańczyła, oświetlając zwały burzowych chmur. Stopy wparła mocno w ciepłe szorstkie cegły podłogi, plecy przycisnęła do ściany i skulona, patrzyła przed siebie, mając wyostrzone wszystkie zmysły i oddychając płytko małymi haustami powietrza.

Wtedy, po tym, jak grzmot ryknął i zatrzęsł drzewami, a niebo zapłonęło, ujrzała sylwetkę mężczyzny wyłaniającą się z ciemności, idącą w jej stronę, sunącą bezszelestnie po schodkach. Psy wstały czujnie i patrzyły, a ich ogony kołysały się w przyjacielskim powitaniu. Dwa jardy od nich Moses przystanął. Wyraźnie widziała potężne ramiona, zarys głowy, lśnienie oczu. Na jego widok coś się niespodziewanie zmieniło, obudziło się w niej przeogromne poczucie winy; była wobec niego nielojalna, zdradziła go, i to na rozkaz Anglika. Czuła, że wystarczy podejść, wyjaśnić, przebłagać, a strach zniknie. Otworzyła usta, chcąc coś powie-



dzieć, i wtedy właśnie zobaczyła jego rękę, wzniesioną nad głową, trzymającą długi, zakrzywiony kształt; zrozumiała, że już za późno. Przeszłość przestała istnieć. Błagalnie otwarte usta wydały początek krzyku, który został przerwany czarnym klinem dłoni wepchniętym między szczęki. Ale dławiący krzyk trwał w jej brzuchu; podniosła ręce jak szpony, usiłując go powstrzymać. I wtedy busz zemścił się; taka była jej ostatnia myśl. Drzewa ruszyły gwałtownie naprzód jak dzikie bestie, głosem ich nadejścia był grzmot. Kiedy pod wpływem przemożnego strachu mózg w końcu się poddał, nad ramieniem przyciskającym jej głowę do ściany ujrzała zniżającą się drugą rękę. Nogi się pod nią ugięły, z ciemności wyskoczyła błyskawica i spłynęła po zagłębiającym się ostrzu.

Puściwszy ją, Moses patrzył, jak osuwa się na podłogę. Jednostajny bębniący dźwięk nad głową przywrócił mu świadomość tego, gdzie się znajduje. Poderwał się i czujnie rozejrzał na wszystkie strony. Psy u jego stóp warczały, ale ich ogony nadal poruszały się; ten człowiek je karmił i zajmował się nimi; Mary ich nie lubiła. Moses delikatnie je odsunął; patrzyły na niego zdziwione, skomląc cicho.

Zaczęło padać. Wielkie krople zabębniły o plecy Moseśa, chłodząc ciało. Inny odgłos padających kropel zmusił go do spojrzenia w dół na trzymany w ręku kawałek metalu, który znalazł w buszu i przez cały dzień czyścił i ostrzył. Na ceglana podłogę kapiała z niego krew. Następne jego poczynania były dziwnie niekonsekwentne. Najpierw, jakby ze strachem, rzucił narzędzie na podłogę; potem opanował się i podniósł je. Wystawił je poza murek werandy na strumienie ulewnego teraz deszczu i po chwili cofnął rękę. Następnie zawahał się i znów się rozejrzał. Wepchnął kawałek metalu za pas, wystawił dłonie na deszcz i po chwili, już czysty, gotów był ruszyć przez ulewę z powrotem do swojej chaty w osadzie i udawać, że jest niewinny. Ten zamiar

też zmienił. Wyciągnął narzędzie, spojrzął na nie i po prostu rzucił na ziemię obok Mary z nagłą obojętnością, gdyż co innego przyszło mu do głowy.

Ignorując śpiącego za ścianą Dicka, który się nie liczył, jako że został pokonany dawno temu, Moses przeskoczył lekko przez murek werandy, lądując zgrabnie w strugach ulewy, które w jednej chwili przemoczyły go do suchej nitki. W ociekających deszczem ciemnościach ruszył w stronę chaty, brnąc po łydki w wodzie. Stanąwszy w progu, zajrzał do środka. Nic nie było widać, usiłował zatem coś usłyszeć; wstrzymawszy oddech, nasłuchiwał wśród szumu deszczu oddechu Anglika. Bez skutku. Schyliwszy się, przestąpił próg i cicho podszedł do łóżka. Wróg, którego przechytrył, spał. Tubylec z pogardą zawrócił w stronę domu. Wydawało się, że zamierza go minąć, lecz kiedy znalazł się obok werandy, przystanął, oparł rękę na murku i zajrzał. Było niemal czarno, zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć. Zaczekał na załzawione deszczem lśnienie błyskawicy, oświetlającej po raz ostatni dom, werandę, skulone ciało Mary na ceglanej podłodze i psy chodzące niespokojnie wokół niej, cały czas skomlące cicho i niepewnie. Po chwili nadeszła – potężne wyładowanie światła jak mokry świt. Był to ostateczny moment jego tryumfu, tak idealny i doskonały, że Moses przestał odczuwać potrzebę ucieczki, całkowicie zobojętniał. Gdy zapadły na powrót ciemności, zabrał rękę z murku i w deszczu wolno poszedł w stronę buszu. Trudno powiedzieć, jakie uczucia – żalu, litości, a może zranionej ludzkiej wrażliwości – towarzyszyły satysfakcji płynącej z dokonanej zemsty. Po przejściu zaledwie kilkuset jardów przez ociekający wodą busz zszedł ze ścieżki i oparł się o drzewo rosnące na mrowisku. Tam pozostał, dopóki nie przyszli i go nie znaleźli.